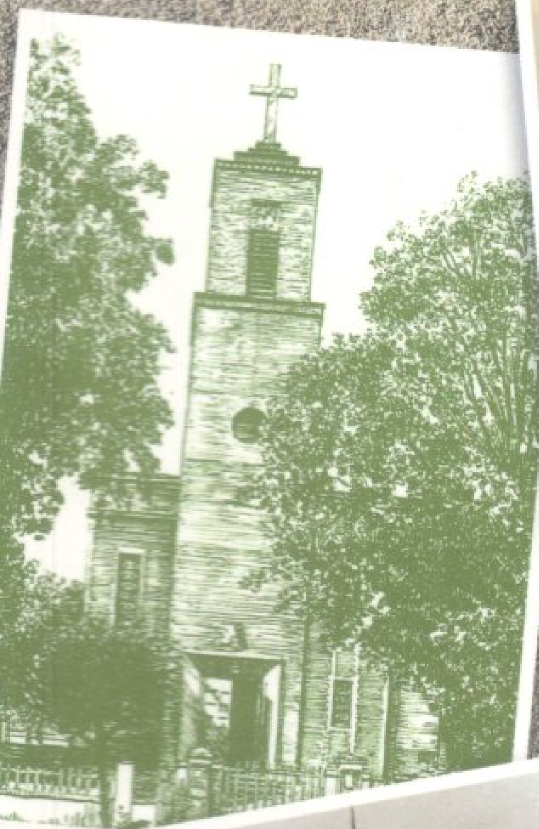
SŁAWOJ KOPKA

ZELÓW.

ZDARZYŁO SIĘ









Księży Młyn
Dom Wydawniczy

ZELÓW.
ZDARZYŁO SIĘ



Włodku, Adamie – dziękuję

SŁAWOJ KOPKA

ZELÓW.

ZDARZYŁO SIĘ



Księży Młyn
Dom Wydawniczy

Redaktor prowadzący
Teresa Łozowska

Redakcja
Monika Ulatowska

Projekt okładki
Ania Skurska

Skład
Tomasz Kuc

ISBN 978-83-7729-684-4

KSIĘŻY MŁYN Dom Wydawniczy Michał Koliński
90-345 Łódź, ul. Księży Młyn 14
tel./faks 42 632 78 61, 42 630 71 17, 602 34 98 02
infolinia: 604 600 800 (codziennie 8-22, także sms), gg 414 79 54
www.km.com.pl; e-mail: biuro@km.com.pl

Łódź 2022. Wydanie 1

Spis treści

To wszystko drzemie głęboko gdzieś w nas...

Przed laty, tuż po wojnie, mieszkałem w Zelowie, chodziłem do ochronki, jak w zgodzie z przedwojenną tradycją nazywano wówczas pierwsze w osadzie przedszkole, pobierałem nauki w zelowskiej podstawówce i liceum, a gdy na stałe wyjechałem z domu, regularnie odwiedzałem moich rodziców, spotykając się przy okazji ze szkolnymi przyjaciółmi i znajomymi.

W szkołach moimi kolegami byli ostatni zelowscy Żydzi, przyjaźniłem się z Czechami (z Karolem siedziałem w jednej ławce), wiedziałem o niemieckim pochodzeniu kilkorga uczniów. Dobrze wspominam tamten czas, choć jak przez mgłę pamiętam, że jeden z kolegów, nadgorliwy katolik, który chciał zostać księdzem (ostatecznie został organistą), próbował przy szkolnej studni „ochrzcić" rodzeństwo pochodzenia żydowskiego, Bolka i Marylę Jabłońskich. Gdy w 1957 roku wrócili do szkoły księża, pamiętam koleżanki i kolegów pochodzenia czeskiego wychodzących z klasy na czas lekcji religii, na korytarz lub szkolne boisko. Niezwykłe zaciekawienie w Zelowie wzbudzał coroczny „zajazd cygański" – kolorowy tabor przez kilka tygodni biwakował w pobliskim lasku. Niewiele wówczas zrozumiałem z awantury pod moim domem i pod cmentarzem, jaką sąsiedzi i znajomi zgotowali popularnemu „siłaczowi", żeby uniemożliwić jego pochówek na poświęconej ziemi, bo okazało się, że był z sekty „złej wiary".

Już wówczas, chyba w IX czy X klasie licealnej, słyszałem wiele dobrego o pastorze Trandzie, który m.in. udzielał korepetycji z matematyki i miał znajdować wspólny język, a nawet przyjaźnić się z proboszczem Szarejką. Żyłem w przekonaniu o idyllicznym wręcz współżyciu kilku narodowości, wyznawców różnych religii, którzy od prawie 200 lat tworzyli zelowską społeczność, choć intuicyjnie wyczuwałem, że nie jest to pełna prawda o Zelowie.

Kiedy po kilkudziesięciu latach na pewnym spotkaniu z licealnymi przyjaciółmi okazało się, że część z nich nie pamiętało wielu zdarzeń, kilkoro ostentacyjnie

unikało wspominania „przykrych historii", a dwoje wręcz zaprotestowało i powiedziało, by *nie psuć nimi miłej atmosfery* – może nazbyt gwałtownie zaoponowałem i zadeklarowałem, że ja to opiszę. Życzliwie odradzano. Po pierwszej publikacji, poświęconej zelowskim Żydom, i jak mi się wydawało, bardzo dużym zainteresowaniu tematem, jeden z przyjaciół ściągnął mnie na ziemię; zaproponował skorzystanie z jego garażu, bo „szkoda byłoby, gdyby porysowali ci samochód", dodając jeszcze: *Uważaj na siebie*. Wzruszyłem ramionami: *E tam, no co ty?*.

Nic nie było w stanie mnie już powstrzymać, bo pierwsze chwile spędzone w archiwaliach, parę osób, które otwierały mi oczy na wiele lokalnych zdarzeń, oglądanie zdjęć, które okazały się najskuteczniej zachęcać do snucia spontanicznych opowieści, czasem wspomnień, a nawet zwierzeń – wszystko to czyniło moje postanowienie nieodwracalnym. Ufano mi coraz bardziej. Napisałem kilka książek, głównie na użytek lokalny, każda rozeszła się w kilkuset egzemplarzach. Teraz Zelowem chcę zainteresować szersze grono czytelników, zwłaszcza miłośników historii „nie z tej ziemi", bo zdarzenia tu przedstawione takimi, w moim przekonaniu są.

Trzy wydarzenia, które przywołuję z przeszłości, dzisiaj stałyby się, każde z osobna, sensacjami medialnymi – Zelów nawiedziłyby dziesiątki stacji telewizyjnych i reporterów, miejscowi chętnie by się dla nich wypowiadali, nie szczędząc szczegółów najdrastyczniejszych, bo taki dziś „trynd"; ludzie dla kilkudziesięciu sekund lub paru minut na ekranie są gotowi odpowiedzieć na każde pytanie i jeszcze coś dodać od siebie. Gdy jestem w Zelowie, bywam czasem proszony o przyjazd „z kimś z kamerą". Mam podejrzenie graniczące z pewnością, że opowiadaliby wtedy chętniej o Zelowie, niż czynią to w rozmowie ze mną.

Te trzy zdarzenia, z pierwszej powojennej dekady, nie miały tego „szczęścia", szybko poszły w niepamięć lub świadomie zostały przemilczane, a z czasem zapomniane. Dopiero od niedawna, pewnie od momentu, gdy na Facebooku zaczęły pojawiać się zdjęcia dawnego Zelowa, wśród młodych zelowian pojawiła się ciekawość.

Pierwsze zdarzenie dotyczyło zelowian pochodzenia czeskiego, których – po 150 latach dominacji w osadzie („panoszenia się") – wypędzono z Zelowa; drugie – procesu tzw. białych kołnierzyków, który znany przed laty socjolog Jan Szczepański uznał za pierwszą tego typu aferę w Polsce Ludowej; trzecie – szkolnej tragedii, której sprawcą był dyrektor szkoły, a ofiarami jej uczniowie. Puentą tych wydarzeń był gazetowy serial pod znamiennym tytułem *Proces przeciwko miastu*.

I. Czesi w Zelowie – jak większość stała się mniejszością

Nie byłem pierwszy w próbach odkrycia polsko-czeskich tajemnic Zelowa. Już dawniej, w lutym 1995 roku, Andrzej Dębkowski, dobrze znany zelowianom poeta, literat, animator kultury i lokalny kronikarz, pisał:

> Żyjąc w Zelowie, można łatwo zauważyć, że egzystencja tu jest nieco dziwna i trudna. A związane jest to z historią założenia miasta, jego wielonarodowościowym rodowodem, nietolerancją, brakiem odpowiedniej edukacji. Kiedy młodzi nie zdają sobie z niczego sprawy, ludzie ze starszego pokolenia pamiętają o całej niechlubnej przeszłości tego miasta. O Czechach, którzy nie chcieli pozwolić na budowę katolickiej kaplicy, o Czechach będących wartownikami w zelowskich obozach pracy w czasie II wojny światowej, o Polakach prześladujących Żydów, o Polakach zajmujących bezprawnie poczeskie ziemie i budynki w czasie bierutowsko-gomułkowskich czystek. To wszystko naprawdę miało miejsce i to wszystko drzemie głęboko gdzieś w nas. Nikt o tym nie mówi i dusi w swoich bezsensownych i niedostępnych gniazdach nienawiści. Przykładem niech będą tzw. „Tygodnie Ekumeniczne", które spełzły na niczym. Zostały zadeptane różnicą interesów kościelnych hierarchów[1].

Była to bodaj pierwsza wzmianka – po peerelowskiej, ugładzonej, niedotykającej drażliwych spraw narracji o różnorodności etniczno-religijnej Zelowa – sygnalizująca, że jest jakiś problem z jego przeszłą historią miasta.

Mnie do zajęcia się „czeskim problemem" zainspirowały zasłyszane tu i ówdzie informacje o napięciach pomiędzy urzędem burmistrza a plebanią pastora, których początek datowano na okres ustrojowego przełomu w Polsce.

1 A. Dębkowski, *Dlaczego nie lubię Zelowa?*, „Wieści Zelowskie" nr 2/12, 1995.

Bezpośrednio zaś – wypowiedź burmistrza Zelowa, który w 2007 roku, z okazji obchodów 50-lecia nadania praw miejskich, podsumował na łamach „Informatora Zelowskiego":

> Przesłanie jubileuszowego roku miało przypomnieć niezwykłą zelowską historię, historię zgodnego budowania gminnej wspólnoty przez pokolenia ludzi wywodzących się z różnych środowisk religijnych i narodowościowych. Szkoda, że pod koniec roku ta atmosfera została nieco zmącona przez niesione przez niektóre media, ale – wywołane przecież w Zelowie – echa antypolskich i antykatolickich kompleksów. Głosy te są przejawem jakichś dziwnych roszczeń, aby zelowską historię zawłaszczyć dla jednego tylko środowiska religijnego czy narodowościowego. To nie głosy środowisk, a jednostek pochodzących z określonych środowisk i dlatego nie jestem w stanie się nimi nadto przejąć. Mogły wywołać chwilową irytację, ale to wszystko[2].

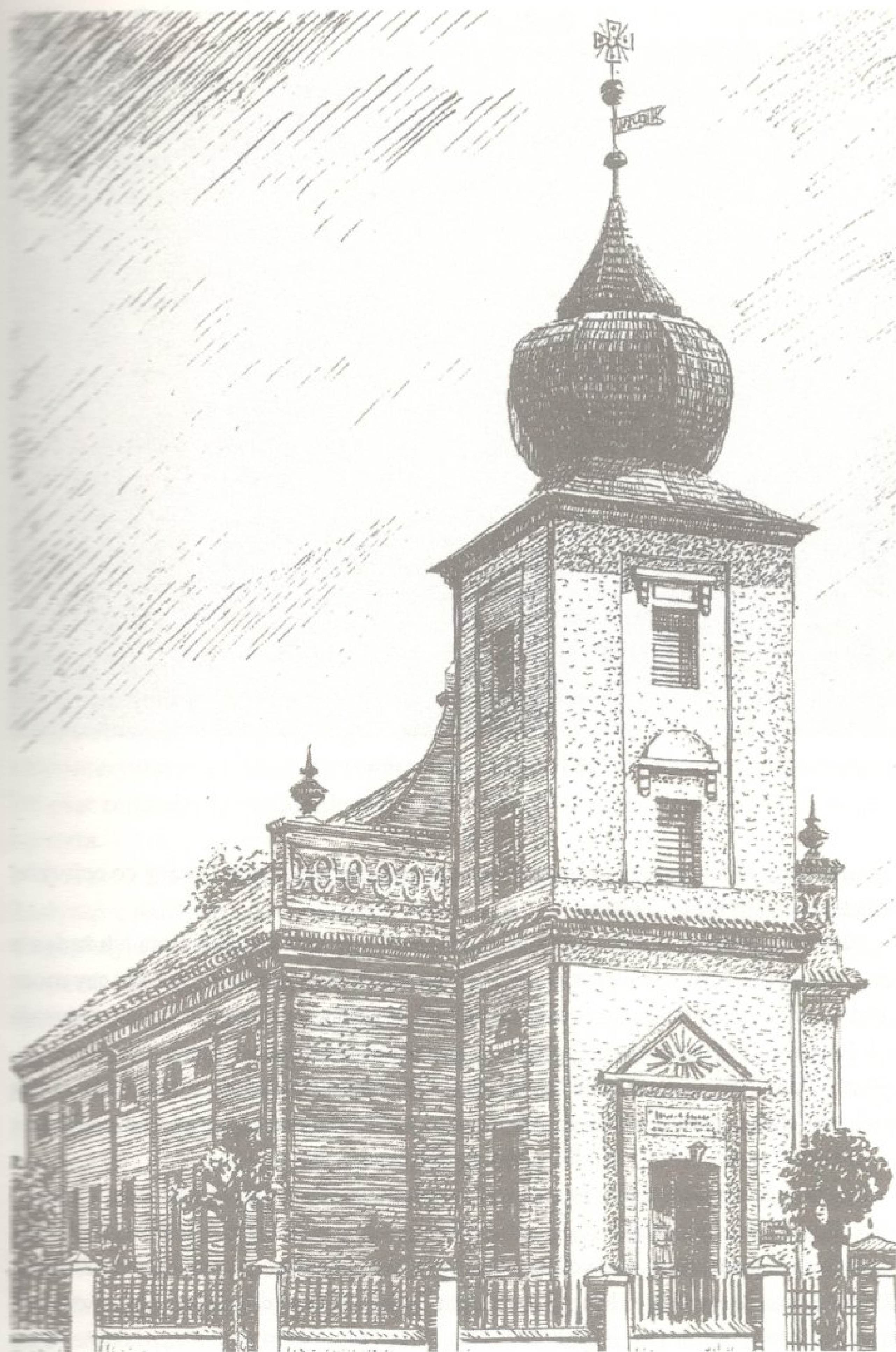
Bez wątpienia coś mocno uwierało zelowską społeczność, skoro po prawie 200 latach padły słowa gniewne, oskarżające o *zawłaszczanie zelowskiej historii* przez *określone środowisko*, o *gniazdach nienawiści*. I choć burmistrz skwitował nonszalancko, że mogą one wywołać *chwilową irytację*, to przeczuwałem, że z posianego złego ziarna plon nie może być dobry. Późniejsze wydarzenia potwierdziły te przypuszczenia.

Zanim o tym opowiem, zawróćmy koło historii o 200 lat i zaspokójmy ciekawość – skąd wzięli się Czesi w Zelowie?

Ziemia obiecana

Trzeba było kilku wieków, żeby z nicości wyłonił się Zelów. A stało się to za sprawą Braci Czeskich, a precyzyjnie ujmując – ich potomków, wędrujących od dziesięcioleci przez Europę (od czasu przegranej przez reformatorów religijnych bitwy w 1620 roku pod Białą Górą) w poszukiwaniu swojej ziemi obiecanej. Pod koniec XVIII wieku usłyszeli, że może nią być mało zaludniona osada w okolicach Łasku. W grudniu 1802 roku tę leżącą na cywilizacyjnym uboczu polską wieś pod pruskim wówczas zaborem, podlegającą królowi Fryderykowi Wilhelmowi III (wtedy w woj. sieradzkim, w powiecie szadkowskim), nabyli za 26 759 talarów pruskich (równowartość 154 000 złotych polskich) od Józefa Świdzińskiego (herbu Półkozic), podupadłego właściciela majątku, na który

2 *Przeszłość dla teraźniejszości, teraźniejszość dla przeszłości*, „Informator Zelowski", grudzień 2007.



Od 1825 roku góruje nad Zelowem kościół ewangelicko-reformowany



Tablica upamiętniająca pierwszych czeskich osadników

składało się kilka tysięcy mórg, jakieś lasy i nieużytki, w tym liczący co najwyżej kilkanaście „dymów" Zelów.

Nabywcy przejęli wieś „czystą jak szklanka", bowiem wcześniej na ich żądanie musiało ją opuścić 20 polskich rodzin. Nieudokumentowana pogłoska, czy może plotka przewijająca się gdzieś w annałach, wskazywałaby na łatwość transakcji, bowiem tenże szlachcic Świdziński miał być zadłużony u jakiegoś „przebiegłego" Żyda. W każdym razie to oni, Czesi, tchnęli życie w tę ziemię dotąd lichą i ubogą („laski, piaski i karaski"), bo nawet rzeki płynące przez tę nędzną krainę były raczej rzeczkami, a ściślej ujmując, strumykami.

Czeskie źródła dostępne w zelowskim Muzeum-Ośrodku Dokumentacji Dziejów Braci Czeskich dokładnie odnotowują nazwiska nabywców włości Świdzińskiego, które dały prawdziwy początek wsi, osady, a potem miasta Zelowa. Zelowskimi Remusem i Romulusem, czy bliżej Warsem i Sawą, było czterech mężczyzn o imieniu Jan: Jersak, Matejko, Polaczek i Pospiszył. Nazwiska te są do dziś obecne w miasteczku.

W ostatni dzień wiosny 1803 roku czescy osadnicy, którzy z rodzinami już napłynęli do pierwszych zbudowanych obejść, wybrali swoją władzę, starszych zboru, mających zarządzać społecznością. Czechów łączyła przede wszystkim religia, więc zarządcy spełniali głównie rolę zwierzchników religijnych. Zapisano w księgach, że pierwszym nowo narodzonym w „czeskim" już Zelowie był Jan Nemec, syn Jana i Marii z Kumpoltów, który przyszedł na świat 23 marca 1803 roku. Odnotowano też pierwsze zgony, których przyczyną miały być ciężkie warunki przy budowie pierwszych drewnianych chałup.

W 1807 roku pojawił się kantor (przewodnik zboru) i pierwszy nauczyciel szkoły religijnej, zaraz potem Jana Andersza obrano sołtysem, a w jakiś czas później – stosownie do statusu już nie wsi, ale osady wraz z przyległościami – nazwano go wójtem. Pełnił tę funkcję przez lat 15, co wskazywałoby, że był człowiekiem roztropnym i rozważnym.

Potem historia potoczyła się już wartko, może nawet wbrew intencjom założycieli, którzy nie domagali się ani specjalnych praw, ani jakichkolwiek przywilejów, cenili sobie przede wszystkim spokój i możliwość swobodnego powiększania dobytku. Osada dynamicznie się rozwijała i cywilizowała, w 1813 roku było 54 gospodarzy, 20 lat później wieś liczyła już 145 domów i 850 mieszkańców, w 1864 roku – 1520 wiernych w 320 rodzinach. Od 1825 roku nad Zelowem góruje kościół, wzniesiony na najwyższym miejscu osady; nietypowy dla polskiego budownictwa sakralnego, bo z wielką cebulastą „banią" wieńczącą wieżę, charakterystyczną z kolei dla świątyń ewangelickich. W 1868 roku osada miała już plac centralny i cotygodniowy jarmark. Niewiele później pojawił się telegraf i poczta.

Przez 40 lat zborem, a więc i osadą, rządził mocną ręką pastor Jan Mozes. Zasłynął z patriotycznej postawy w okresach powstań narodowych, listopadowego i styczniowego. Głosił po polsku kazania (jego matka ponoć była Polką). Jednocześnie usilnie zwalczał Żydów, którym miał za złe „rozpanoszenie się" (pierwsza wzmianka o Żydach w Zelowie pochodzi z maja 1817 roku) i psucie czeskich obyczajów, m.in. przez rozpijanie wiernych jego kościoła w swojej, jedynej wówczas, karczmie. Ostatecznie doprowadził do tego, że musieli na jakiś czas opuścić osadę, czym naraził się przynajmniej części swoich parafian, którzy prowadzili już wtedy z Żydami intratne interesy.

Mimo to w 1891 roku Żydzi stanowili już drugą co do wielkości grupę narodowościową, i na tyle wpływową, że pomimo protestów pastora uzyskali prawo do nabywania nieruchomości. Pojawili się pierwsi „posesjonaci" (kamienicznicy), Boruch i Majer Rosenblumowie oraz Majer Tanski. Zaraz potem Żydzi założyli swój cmentarz, a po 20 latach zbudowali drewniany dom modlitwy (bożnicę) i szkołę dla swoich dzieci.

Dominacja

Na przełomie wieków XIX i XX Zelów to już osada coraz bardziej przypominająca miasteczko, dość wspomnieć, że gdzieś do roku 1840 liczyła więcej mieszkańców niż pobliska Łódź, która za chwilę miała „wybuchnąć" przemysłowo. Trzy cegielnie: Czecha Jersaka, braci Libermanów i Polaka Kosika miały decydujący wpływ na rozwój budownictwa i infrastruktury, drewniane zabudowania ustępowały murowanym kamieniczkom. A rozwijający się wokół przemysł tworzył nowy wizerunek Zelowa, który – niczym dynamicznie rozwijająca się Łódź – stawał się przemysłowy i fabrykancki. Czesi, początkowo stawiający na wełnę (z własnych hodowli owiec), szybko zaczęli się przebranżawiać i wykorzystywać coraz łatwiej dostępną bawełnę. Powstały manufaktury łączące dotychczasowych tkaczy ręcznych, pojawiali się liweranci, głównie Żydzi, dostarczający niezbędnych surowców oraz materiałów i pomagający w zbyciu gotowych wyrobów.

Zelowski przemysł tamtego czasu najbardziej kojarzy się z fabryką, która powstała w 1907 roku w samym centrum osady – była własnością Żyda Jakuba Lewiego. Jej obiekty stoją do dzisiaj przy ulicy Kilińskiego, mieszczą się w nich szkoły zawodowe. Wtedy była to pierwsza fabryka, w której pojawiły się krosna mechaniczne. Ten zelowski fabrykant był największym przemysłowcem w regionie (niczym łódzki Poznański), w Łodzi miał własne biuro sprzedaży.

Druga duża fabryka powstała za sprawą Czecha Józefa Jersaka – też blisko centrum, przy ulicy Żeromskiego – po latach stała się największą w Zelowie. Jej właściciel, miejscowy, więc niby swój, okazał się drapieżnym kapitalistą: oszukiwał pracujących, płacił marnie albo wcale, a zastępujące pieniądze kupony można było zrealizować wyłącznie we wskazanych sklepach. Swoim postępowaniem wywarł, zdaje się, niebagatelny wpływ na rozwój „świadomości klasowej" i organizowanie się „klasy robotniczej". Protesty i strajki stały się codziennością na tyle dokuczliwą, że bodaj w 1936 roku starosta powiatowy zaniepokojony sytuacją „zagrażającą bezpieczeństwu osady" wysłał go do Berezy Kartuskiej.

W okresie przemysłowego boomu z dziewięciu większych fabryk aż sześć należało do Żydów i Czechów. Polskim wyjątkiem była farbiarnia Jana Bartczaka, którą przejął po czeskim teściu, i wspomniana cegielnia Leona Kosika.

Symbolem dominacji Czechów w osadzie stała się kamienica wybudowana przez nich w najbardziej prestiżowym miejscu, czyli w Rynku. Niby dwupiętrowa, ale z dużą nadbudówką (jakby trzecim piętrem), z szerokimi i wysokimi oknami oraz pomieszczeniami na parterze przeznaczonymi na działalność handlowo-usługową, sprawiała w ówczesnym otoczeniu ledwie jednopiętrowych budynków wrażenie monumentalnej. A potem powstała druga, bliźniacza, przy głównej ulicy, zbudowana przez piekarza Pejgę.



Czeska „dominanta", kamienica w Rynku

Mimo silnego przywiązania do kościoła i bożnicy, duchowni coraz bardziej tracili wpływ na wiernych, choć naturalnie wciąż odgrywali rolę znaczącą. W osadzie „rozpychała się" coraz bardziej klasa robotnicza. Pomimo szykan konspiracyjna bibuła, mniej lub bardziej legalne pisemka i ulotki rozchodziły się jak przysłowiowe ciepłe bułeczki. Z Łodzi i Pabianic docierali emisariusze proletariatu, na miejscu pojawiali się wyraziści liderzy, zarówno w czeskiej, jak i w polskiej społeczności.

To z tego czasu pochodzi niepotwierdzona pogłoska, że w Zelowie przez jakiś czas kwaterował organizator partii Proletariat Ludwik Waryński, a w 1905 roku w osadzie znalazł schronienie Józef Piłsudski, wówczas kalwin, bo nikt by nie podejrzewał jego obecności na „takim zadupiu". Jak wiadomo, legendy też tworzą historię, ale przez dziesięciolecia nikt w Zelowie nie znalazł pomysłu na ich wykorzystanie, choćby w celach promocyjnych „miastka".

Pierwszy konflikt, prawie bitwa...

Konflikty były naturalnym pokłosiem coraz bardziej licznej i polaryzującej się społeczności (pod koniec XIX wieku Czechów było około 3500, Żydów – 1500, Polaków – mniej niż 1000), ale nie przybierały jakichś drastycznych form.

Zarzewiem najpoważniejszego stać się miała bitwa o kościół, na który – jak pisał cytowany wyżej A. Dębkowski – Czesi nie chcieli pozwolić. Czeska historyczka prof. Edyta Štěřikova w broszurze poświęconej historii Zelowa, zamieszczonej przed laty na stronie internetowej zboru, przyznała, że choć w przeszłości *Czesi i Polacy w Zelowie mieli wiele wspólnych celów, to jednakże bronili się przed założeniem polskiej parafii katolickiej w osadzie, ponieważ żyły w nich niemiłe wspomnienia o wygnańswie ich przodków*[3]. Co prawda wygnani zostali z ziemi czeskiej, ale przez katolików właśnie.

A może Czesi nie tyle „nie chcieli pozwolić", bo w końcu chodziło „tylko" o kaplicę, ile sprzedać odpowiedniego placu pod jej budowę. Katolicy zamierzali nabyć plac w prestiżowym miejscu, a wszystko w centrum należało do Czechów, więc wydawało się to przeszkodą nie do pokonania.

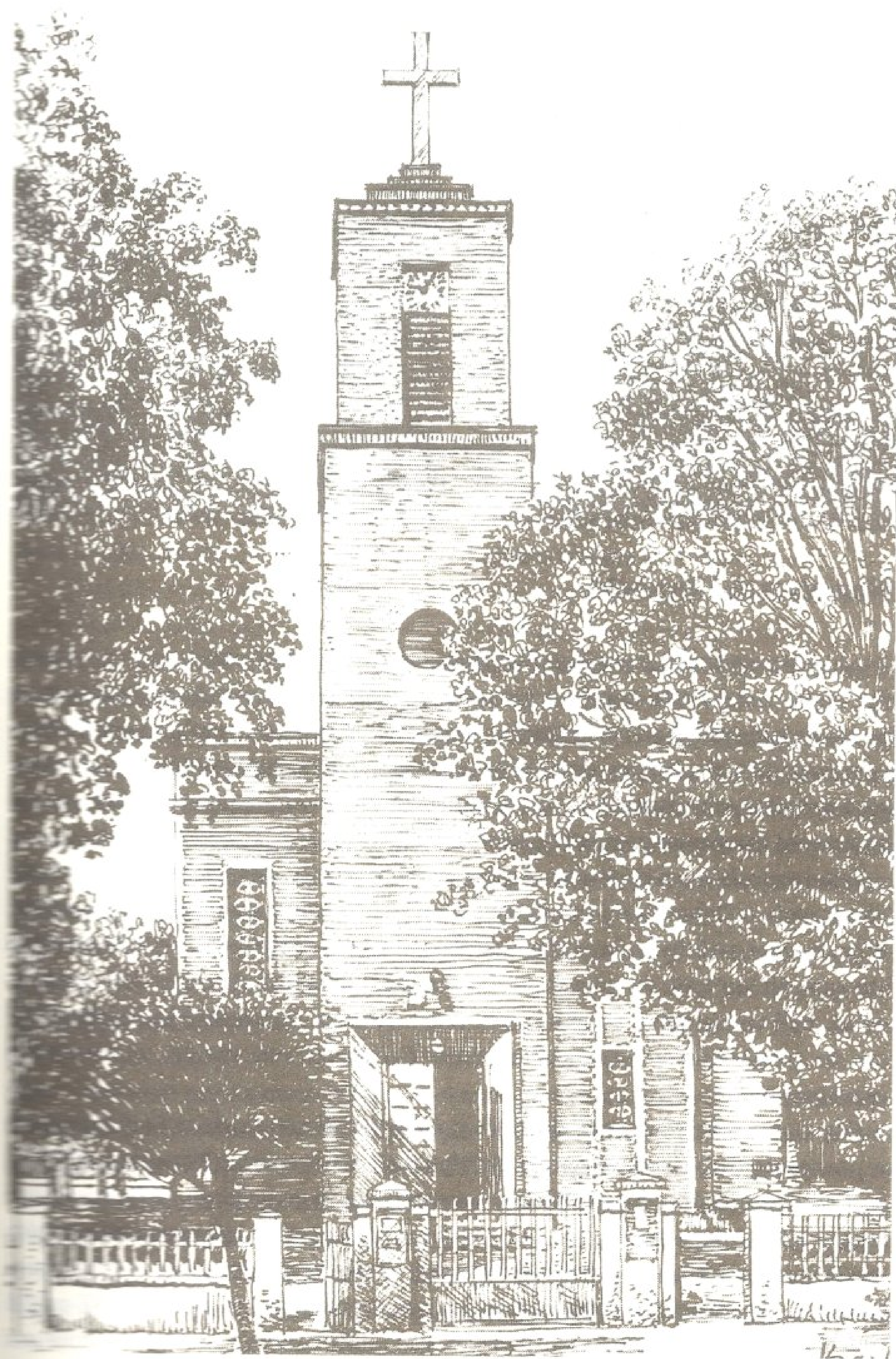
Prawie 100 lat później miejscowy proboszcz, pisząc broszurę o zelowskiej parafii, nie omieszka przywołać głównego argumentu przeciwko *innowiercom wszystkich wyznań dominujących w Zelowie*, których *nastawienie nie było przyjazne dla Polaków...*

Ksiądz Kazimierz Ciosek przypomina prośbę skierowaną przez parafian do biskupa diecezji łódzkiej o utworzenie probostwa, w której argumentowali: *Jest nas tu tysiąc sześćset dusz, sama bieda, chałupnicy, zlepek z całej Polski, a potrzebujący szczególniejszej opieki duchowej. Żyjemy bowiem otoczeni siedmioma tysiącami żydów i czechów, należących do jedenastu sekt religijnych a mających swoje świątynie i domy modlitwy. Duszpasterz w tym dziwnem w Polsce jedynem środowisku, stanie się obrońcą wiary i Polskości*[4].

Ostatecznie decyzję o zakupie placu pod przyszłą kaplicę podjęto – pisze autor po blisko 100 latach od tych wydarzeń – *pomimo sprzeciwu innowierców*. Według wersji oficjalnej proboszcza Kazimierza: *11 kwietnia 1916 r. zostaje spisana dobrowolna umowa z W. Gąsiorowskim w sprawie zakupu placu i budynku po browarze parowym przy ulicy Hindenburga* [później Sienkiewicza]. *Za wyżej wymieniony plac i budynek kupujący zobowiązani są zapłacić kwotę 350 rubli (którą właściciel odebrał przy podpisywaniu umowy), a następnie będą płacić dzierżawę w wysokości 10 rubli rocznie. W ten sposób parafia nabyła budynek, który następnie przerobiono na kaplicę*[5].

Wiele źródeł podaje, że transakcja najprawdopodobniej była „ustawiona" z pełną świadomością przez obie strony dla uspokojenia atmosfery – upatrzony grunt został wygrany... w karty przez katolika Wacława Guderskiego od Czecha Władysława Gąsiorowskiego. Umowę spisano, jak to się mówi, zanim

3 E. Štěřikova, w: *Księga pamiątkowa Światowego Kongresu Potomków Braci Czeskich*, 2003.
4 K. Ciosek, *75 lat parafii MBCz w Zelowie 1926–2001*, Zelów 2001.
5 Tamże.



Kościół katolicki w latach 70. XX wieku

jeszcze karty „nie ostygły", czyli od ręki. Wygrany grunt, w centrum osady, na którym według księdza stał budynek (w rzeczywistości była to jedna z siedmiu ówczesnych piwiarni), Wacław Guderski przekazał społeczności katolickiej. Piwiarnię zaadaptowano na kaplicę pod wezwaniem Matki Boskiej Częstochowskiej.

W latach następnych, pomimo utrudnień ze strony innowierców, dokupowano kolejne morgi i tworzono infrastrukturę z myślą o przyszłym kościele. Gdy w 1926 roku biskup łódzki Wincenty Tymieniecki wydał akt erekcyjny nowej parafii Zelów, rozpoczęły się - mimo kolejnych kłód rzucanych przez innowierców - przygotowania do budowy „koniecznie murowanego obiektu". 4 listopada 1933 roku biskup dokonał poświęcenia kościoła w stanie surowym. Trzy lata później, w odległości 300 metrów od czeskiego kościoła, zabrzmiały dzwony w świątyni katolickiej. Ta nowoczesna, w stylu modernistycznym reduta do obrony wiary i polskości dorównywała mu imponującą bryłą.

Wondraczek i Wysocki

Trudno przesądzić, jak wyglądałby Zelów, gdyby nie wybuch I wojny światowej. Być może zostałaby tu doprowadzona, jak planowano, kolej żelazna, zbudowano by solidne drogi i osada-miasteczko stałaby się faktycznie „małą Łodzią". Wiele na to wskazywało, bo przedsiębiorczość miejscowych kapitalistów, ich dynamika, a nawet wyobraźnia zdawały się nieograniczone. Z całą pewnością wojna zahamowała intensywny rozwój gospodarczy Zelowa.

Wiodącą rolę w krzewieniu narodowego ducha w Zelowie miało odegrać m.in. Towarzystwo Ochotniczej Straży Pożarnej, które powstało na początku wieku. W jego szeregach było dużo „światłych obywateli" (wójtowie, przedsiębiorcy), ale znaleźli się tam też zwykli mieszkańcy, reprezentujący wszystkie społeczności. Byli to nie tylko strażacy, lecz patriotycznie nastawieni ludzie, świadomi, że paramilitarna organizacja może być zaczynem czegoś ważniejszego w przyszłości.

Gdy w połowie 1915 roku do Zelowa dotarła informacja, że w Łodzi, a potem w powiatowym Łasku powstały oddziały Polskiej Organizacji Wojskowej (POW), to właśnie ze środowiska strażaków wyszedł impuls do działania. I kiedy w listopadzie 1918 roku zelowscy peowiacy zauważyli niepokój w plutonie niemieckim stacjonującym w Zelowie oraz spostrzegli, że około 30-osobowy oddział przygotowuje się do opuszczenia miejsca pobytu, komendant placówki POW, polski rzeźnik Adolf Przepiórkowski (w niektórych publikacjach mylnie przypisuje mu się czeskie pochodzenie), poprowadził zwartą grupę i po prostu rozbroili oni



Paweł Wondraczek



Zygmunt Wysocki

żołnierzy. Wystawili własne warty w osadzie, przejęli obiekty administracyjne, zawiesili biało-czerwone flagi – faktycznie objęli władzę.

Z rozlicznych pól bitewnych, z frontu południowego wschodniego, wracali zelowianie, z tarczą: Czesi Paweł Wondraczek z Virtuti Militari, a Józef Hejzrał z Krzyżem Walecznych; Polak Zygmunt Wysocki za wykazaną w boju odwagę otrzymał Krzyż Walecznych; „za wybitne zasługi" Krzyż Walecznych przyznano też Adolfowi Przepiórkowskiemu[6]. Zasługi powinny jednoczyć wspólnotę, ale czy tak rzeczywiście było?

Odzyskiwanie Zelowa

Choć Zelowowi poświęcono kilka poważnych publikacji, mało jest dostatecznie zweryfikowanych źródeł ukazujących, jak wyglądały pierwsze miesiące w niepodległym Zelowie, po latach w książkach przeważa czeska narracja, i z niej to wynikałoby, że pierwszą radę gminną tworzyli wyłącznie Czesi, którzy funkcję wójta powierzyli Józefowi Jersakowi. I że czeski monopol w zarządzie gminy przełamany został dopiero w 1925 roku, gdy urząd wójta objął Polak Wacław Guderski – funkcję tę pełnił przez dwa lata, po czym znów wójtami zostawali

6 S. Kopka, *Żołnierze komendanta. Chłopcy malowani z Zelowa*, 2018.

Czesi. Dopiero w 1927 roku do 17-osobowego zarządu mieli wejść przedstawiciele narodowości polskiej, niemieckiej i żydowskiej.

Ten czeski przekaz – choć w innych publikacjach o Zelowie przez lata nigdy niepodważony – wydaje się mało prawdopodobny. Skromne źródła zdają się potwierdzać przypuszczenie, że byli peowiacy i legioniści, a także coraz aktywniejsi liderzy polskiej społeczności nie byli na tyle pasywni, żeby dać się zdominować dotychczasowej większości – z wiarygodnych dokumentów wynikałoby, że już w pierwszej radzie gminnej w 1918 roku oprócz Czechów byli Polacy, Żydzi i Niemcy. A wspomniany powyżej W. Guderski był co najmniej wicewójtem, o ile nie wręcz wójtem. Świadczyłoby o tym m.in. tzw. tableau przedstawiające Zarząd Gminy i członków rady miejskiej z lat 1919–1927 – jest na nim 17 osób: u samej góry Wacław Guderski – wójt; radni: J. Bartkiewicz, E. Zatorski, P. Jersak, F. Kropidłowski, J. Petrykowski, J. Ławniczak, J. Pajchert, A. Guderski, A. Michalak, P. Szpryngel, dwa nazwiska nieczytelne, poza tym: K. Gapik st. post., K. Kupec woźny, S. Wysocki mł. pom.[7]

Współczesny spór o struktury władzy gminnej sprzed kilkudziesięciu laty, który zainicjowała wnuczka Wacława Guderskiego (sama też drąży archiwa), zapewne doprowadzi do „odkryć" i ustaleń, jak kształtowała się władza w Zelowie w 1918 roku. W każdym razie na nagrobku Wacława Guderskiego na zelowskim cmentarzu znajduje się inskrypcja, że w latach 1919–1927 był on wójtem Zelowa.

Dobrze byłoby, gdyby w tę ważną pracę włączyli się przedstawiciele społeczności czeskiej, choć zapału z tej strony raczej nie widać. Jeszcze lepiej byłoby, gdyby temu ważnemu przedsięwzięciu patronowały władze miejsko-gminne.

Wracając jednak do pierwszych lat dwudziestolecia międzywojennego – wyraźnie widać, iż choć Zelów nie został w pełni „odzyskany dla Polski", to powoli przestawał znajdować się pod dominacją czeskich ewangelików. Przykładem jest tu spór, jaki rozgorzał, gdy zdecydowano o wzniesieniu na głównym placu pomnika Tadeusza Kościuszki. Ostatecznie Czesi i Polacy nie doszli do porozumienia w sprawie wspólnej uroczystości – pomnik odsłaniany był dwukrotnie (w 1923 i 1924 r.).

Powstanie niepodległej Czechosłowacji wywołało duże emocje i pojawił się odzew na wezwania do reemigracji. Część Czechów opuszczających wówczas Zelów coraz częściej brała też pod uwagę nasilające się w Polsce szykany wobec mniejszości narodowych – zapewne znaczny wpływ na stosunek do mniejszości czeskiej miało zajęcie przez Czechosłowację Zaolzia. Ostatecznie polsko-czeski spór o południową granicę rozstrzygnęły w Wersalu mocarstwa zachodnie

7 Tableau – kopia w zasobach autora.

w sposób, który Polacy odebrali jako klęskę. Nie mogło to pozostać bez wpływu na nastroje w Zelowie. Jednymi z pierwszych opuszczających osadę byli, kierowani patriotycznym zewem, młodzi Czesi, (choćby z powodu uniknięcia służby w polskim wojsku).

Wspomniana prof. Štěřikova po latach pisała:

> Po pierwszej wojnie światowej doszło w Zelowie do pierwszych poważniejszych tarć na tle narodowościowym. W swojej bezgranicznej radości z uzyskanej niepodległości współobywatele polscy, mimo że byli w mniejszości, zaczęli się uważać za jedyną siłę decydującą o życiu w osadzie. Ujawniły się silne tendencje polonizacyjne i niekiedy także katolizacyjne, a potomkowie czeskich wygnańców po raz pierwszy w niewybredny sposób byli odsyłani tam skąd przyszli ich przodkowie. [...] W pierwszej połowie lat dwudziestych doszło do pierwszej fali reemigracji z Zelowa do Czechosłowacji[8].

Przez kilka następnych lat napięcie falowało. Jego źródłem był bezwzględny... kapitalizm, objawiający się wśród fabrykantów, których najbardziej reprezentatywnym przedstawicielem był czeski właściciel największej manufaktury. Okazał się na tyle bezlitosny wobec pracowników, że gdy nasiliły się protesty i wybuchały co rusz strajki, starosta powiatowy „dla zapewnienia bezpieczeństwa", o czym wspomniano wcześniej, postarał się o wikt i opierunek dla Józefa Jersaka w Berezie Kartuskiej. Z drugiej strony, wzrastający w siłę lokalny ruch robotniczy jednakowo angażował obie strony, które zgodnie współdziałały, przeciwstawiając się wyzyskowi (ruchowi przewodził czeski komunista Teofil Miller).

Być może wspólna walka przysłoniłaby ostatecznie tlące się konflikty, gdyby nie Hitler – zawłaszczył on Czechosłowację, a polskie wojsko wkroczyło na Zaolzie. Narodowy entuzjazm z tego powodu objawił się także w Zelowie, na którego centralnym placu manifestacje poparcia gromadziły setki zelowian. Czesi mogli czuć się zaniepokojeni.

Okupacyjny „test"

Druga wojna światowa stała się swoistym testem dla zelowskich ewangelików. Niemcy – którzy od samego początku stosowali terror wobec kilkutysięcznej społeczności żydowskiej, by w końcu zamknąć ją w getcie, a jesienią 1942

8 E. Štěřikova, *Rys historyczny osadnictwa czeskiego*, „Przewodnik po Muzeum", 2006.

roku zameldowali zwierzchności, że Zelów jest „wolny od Żydów" - wywozili polskich mieszkańców do obozów śmierci i na roboty przymusowe, Czechów najwyraźniej uznali za „religijnych braci" i pozwolili im, na równi z luteranami, na odprawianie nabożeństw. Niemcy sprowadzili nawet do Zelowa tzw. komisję rasową, która udowadniała „wspólnotę krwi" obu narodów.

Profesor Štěřikova, wielokrotnie opisująca losy zelowskich Czechów, próbowała pomniejszać ich późniejsze „winy": *Podczas drugiej wojny światowej niemieccy okupanci wbijali nowe kliny między zelowskie grupy narodowościowe w ten sposób, że już sama przynależność narodowa miała decydować o pozycji w społeczeństwie. Żydów likwidowano, Polaków prześladowano, a Czechów bez przebierania w środkach zmuszano do przyjmowania narodowości niemieckiej*[9].

Proczeska polityka okupanta obliczona była oczywiście na poróżnienie miejscowej społeczności, a odmienne kenkarty i wiele innych ułatwień w codziennym bytowaniu, z których Czesi skwapliwie korzystali, rzeczywiście posiały ziarno niezgody. Utrwalała się dotychczasowa wzajemna niechęć, pogłębiały antagonizmy, co bez względu na wynik wojny, zapowiadało przyszły konflikt. Jeśli chodzi zaś o podpisywanie folkslisty, to pomimo usiłowań pastora Jarosława Niewieczerzała, który wszelkimi sposobami miał powstrzymywać swych wiernych przed taką decyzją, niestety, wielu Czechów niespecjalnie opierało się przed złożeniem podpisu. Na zachowanej liście 1300 folksdojczów Czesi stanowią znaczącą liczbę. I choć pod koniec wojny, zwłaszcza gdy także ich zaczęto wcielać do Wehrmachtu, relacje polsko-czeskie zaczęły się nieco „normalizować", nie miało to już znaczącego wpływu na polski osąd dotyczący czeskich sąsiadów, bo w pamięci tkwiły silne urazy i narastające poczucie zawodu ich postawą w czasie okupacji. Nie zapomniano, jak zachowywali się czescy sprzedawcy w sklepach wobec Polaków, jak okazywali butę i korzystali z uprzywilejowanej pozycji; jak bogacili się na Żydach, szukających pomocy w ukryciu się czy ucieczce do Generalnego Gubernatorstwa. Pierwsze po wojnie zebranie (24 stycznia 1945 r.) wyłoniło tymczasowy zarząd gminy składający się z ośmiu osób, po czterech Polaków i Czechów, oraz wybrało na tymczasowego wójta czeskiego komunistę Teofila Millera, a kolejny, Józef Swoboda, został wicekomendantem MO. Jednak po kilku dniach (2 lutego), być może pod wpływem sowieckich oficerów „przywrócono właściwe proporcje", wybierając 20-osobowy zarząd, w którym przewagę mieli już Polacy, i to oni zdecydowali o wyborze Lucjana Busiakiewicza na wójta gminy Zelów. Gdy po fali krytyki ze strony komunistów, wśród których sporą część, może

9 Tamże.

nawet większość, stanowili Czesi, został on odwołany, a nawet aresztowany (pod zarzutem nieprawidłowości w zarządzaniu mieniem poniemieckim), na jego miejsce wybrano Zygmunta Wysockiego, członka Stronnictwa Demokratycznego, dominującej w osadzie organizacji kupców, byłych peowiaków i wojskowych (w 2000 r. zostanie pierwszym zelowianinem, którego imię nadano jednej z ulic w mieście).

Układ sił we władzach gminy jeszcze nie zwiastował kłopotów, jakie miały spaść na wciąż pozostających większością Czechów, ale niepokój czuć było w powietrzu.

Matecznik wzywa

W anonimowym maszynopisie z 1945 roku, prawdopodobnie autorstwa członka lokalnej władzy, czytamy o powojennym entuzjazmie z powodu odzyskanej wolności i o tym, że ludność Zelowa zaraz przystąpiła do pracy.

I w czasie tej pracy następuje ferment – pisze nieznany autor. Bo z jednej strony *Czesi chcą stworzyć szkołę;* z drugiej zaś przyjeżdża *były ks. B. Radechowsky i agituje Czechów, aby wyjechali do Czech. Budzą się dawno przebrzmiałe niesnaski i animozje wojenne obudzone przez Niemców*[10].

Obecność pastora Bohumila Radechowskiego, w przeszłości związanego z Zelowem, potwierdza łódzki badacz prof. L. Olejnik:

> Nie w pełni jasne są okoliczności jego wystąpienia w zelowskim kościele ewangelicko-reformowanym w dniu 4 września 1945 r. W trakcie wygłoszonego kazania poruszył on sprawę tzw. szóstego pokolenia. Było to stworzone przez niego proroctwo o ostatnim rzekomo pokoleniu zelowskich Czechów, które po blisko 150-letnim pobycie na ziemiach polskich miało wreszcie powrócić do ojczyzny. Radechowski czynił też obietnice, które Czesi słyszeli już wcześniej, o możliwości otrzymania w Czechosłowacji dużych, poniemieckich gospodarstw[11].

Faktycznie, tak jak po pierwszej wojnie, w 1945 roku z Czechosłowacji nadchodziły apele do powrotu wszystkich wychodźców czeskich z ubiegłych wieków w rodzinne strony, do odradzającej się ojczyzny. W Koszycach przedstawiciel tworzących się władz Zdenek Fierlinger oświadczył, że *po*

10 *Krótki zarys dziejów Zelowa*, trzystronicowy maszynopis z 10.10.1945.
11 L. Olejnik, *Zbór ewangelicko-reformowany w Zelowie na tle dziejów tej miejscowości (od 1939 r.)*, Muzeum w Zelowie, 1998.

wyzwoleniu Czechosłowacja będzie musiała otworzyć granice przed wszystkimi Czechami i Słowakami rozproszonymi w świecie[12]. Wkrótce rząd Czechosłowacji oficjalnie wezwał swoich rodaków z zagranicy do powrotu do ojczyzny przodków i zapowiedział zrekompensowanie im strat poniesionych w konsekwencji pozostawienia majątku na obczyźnie. Przedstawiciele Czechów zelowskich przesłali petycję do władz czechosłowackich w Koszycach, w której prosili o umożliwienie reemigracji. Pod petycją podpisali się Josef Tomesz i Karol Zaunar oraz Wilhelm Nowak[13]. Argument, że po wysiedlonych stamtąd Niemcach jest sporo gospodarstw i domów, a reemigranci mogą oczekiwać rekompensat za mienie pozostawione na obczyźnie, mógł podobnie działać na wyobraźnię zelowskich Czechów, jak na Polaków mieszkających w Zelowie oraz okolicy i też oczekujących „dziejowej sprawiedliwości" w postaci rekompensat za utracone w czasie okupacji mienie, zdrowie, czasem życie najbliższych. Póki co, nie czekając na dziejową sprawiedliwość, zelowianie zaczęli ją wymierzać sami.

Aby Polska była czysta jak szklanka

Posypały się oskarżenia o kolaborację Czechów z okupantem, o masowe wpisywanie się na listę folksdojczów, o to, że jako strażnicy i nadzorcy znęcali się nad więźniami w dwu obozach pracy na terenie Zelowa. Opowiadano o złym odnoszeniu się do Polaków w sklepach prowadzonych przez Czechów. Wypominano, że pod pretekstem pomocy ukrywającym się w pobliżu Zelowa Żydom, przy przeprowadzaniu ich przez granicę do Generalnego Gubernatorstwa (przebiegała blisko Zelowa) lub przed wywiezieniem do obozów, Czesi po prostu ich okradali. Istotnego znaczenia nabrała kwestia domostw i gospodarstw opuszczonych przez Niemców oraz pozostałych po Żydach. Z różną „starannością" przydzielano je Polakom, często uznając tzw. fakty dokonane, czyli wcześniejsze ich zajęcie przez zelowian lub ludność napływającą z pobliskich wsi. Nie dla wszystkich starczyło... i wtedy wzmogło się zainteresowanie mieniem czeskim. Najpierw pojawiły się wyzwiska i opluwanie, z czasem co odważniejsi wchodzili na podwórka Czechów i do domów, liczyli narzędzia i naczynia, oznaczali sprzęty, które miały im się należeć za doznane krzywdy, lub nie zważając na protesty, bezceremonialnie je zabierali. Najścia były coraz częstsze, a nocne „wizyty" budziły grozę.

12 Tamże.
13 *Wczoraj i dziś... Życie i teraźniejszość braci czeskich w Zelowie*, Muzeum w Zelowie, 1998.

Opisał je po latach w swoich wspomnieniach Jarosław Stejskał:

> Pozostał jeden wróg (po nieobecnych już Żydach i Niemcach), z którym postanowiono zrobić porządek, aby Polska była czysta jak szklanka. Rozbój i grabienie mienia ludności narodowości czeskiej stało się nagminne. Nie było jednej spokojnej nocy, aby nie uprowadzono dobytku z obory, albo też nie dokonywano kneblowania domowników i kradzieży mienia. Większość ludności czeskiej zdecydowała się na wyjazd. Za drobny grosz sprzedawali domy, bydło, byle jak najszybciej opuścić niegościnny kraj[14].

Początkowo napady te przypisywano bandom grasującym na obrzeżach osady, ale gdy okazało się, że nikt nie ściga napastników, a nawet pojawiły się głosy, iż mają przyzwolenie milicji, a w końcu, że sami funkcjonariusze z miejscowego komisariatu MO biorą udział w nocnych „rekwizycjach", Czesi zaczęli masowo opuszczać Zelów. Jesienią 1945 roku władze zboru, nie znajdując wsparcia u miejscowych władz ani w lokalnej społeczności, zaczęły alarmować władze powiatowe i wojewódzkie, a w końcu krajowe.

Polska tylko dla Polaków

Do początkowej tolerancji lokalnych władz wobec coraz bardziej agresywnych zachowań części mieszkańców w stosunku do czeskich sąsiadów przyczynił się bez wątpienia dekret z 28 lutego 1945 roku o wyłączeniu ze społeczeństwa polskiego wrogich elementów, co odnosiło się bezpośrednio do folksdojczów, ale wielu interpretowało to w szerszym kontekście i uważało, że dotyczy on także mniejszości przez okupanta uprzywilejowanych, a więc i zelowskich Czechów. Przysłowiowej oliwy do ognia dolał wojewoda łódzki Jan Dąb-Kocioł, który po licznych skargach kierowanych przez zdesperowanych Czechów 18 października 1945 roku pojawił się w Zelowie. Jego wypowiedzi nie były przychylne wobec członków czeskiej społeczności, którzy od 150 lat mieszkając w Zelowie, *na ziemi polskiej się wzbogacili*. Mocno zabrzmiały jego słowa, że *Polska jest tylko dla Polaków*[15].

Gdy wojewoda polecił, żeby władze lokalne zapanowały nad „spontanicznymi" wyjazdami Czechów", wójt Busiakiewicz w wydanym zarządzeniu zakazał im sprzedawania oraz wydzierżawiania posiadanych nieruchomości i gospodarstw.

14 J. Stejskał, *Skończył się dzień utrapień*, „Gazeta Kulturalna" nr 4–9, 2012.
15 A. Cecuła, *Wygnanie Czechów*, „Fakty i Mity" nr 19, 2012.

Wprowadził także limity wywożonego mienia pod rygorem odpowiedzialności karnej zgodnie z prawem o ochronie państwa – co z wyjątkową skrupulatnością sprawdzali milicjanci, poddając kontroli kolumny wozów konnych z mieniem zmierzających do nieodległej stacji kolejowej w Kozubach, opodal Sędziejowic. Czesi nie czuli się bezpieczni do ostatniej chwili, w nocy i nad ranem oczekujących na pociąg reemigrantów napadano, bito i okradano. Wśród napastników rozpoznawano zelowskich funkcjonariuszy milicji.

Wersja oficjalna

Wojewoda łódzki pisał do Ministerstwa Administracji Publicznej tak:

> Nie ulega wątpliwości, że to ks. Radechowsky spowodował masowy wyjazd do Czech. Masowa ta repatriacja odbywała się w sposób tajemniczy i miała wszelkie cechy bezładnej ucieczki, gdyż odbywała się przeważnie w nocy. Wyjeżdżający pozostawiali gospodarstwa rolne zupełnie zdewastowane. [...] Sprzedawali nawet budynki. Inwentarz żywy lub plony sprzedawali, bądź zabijali wywożąc mięso i tłuszcze. Wywozili ze sobą również znaczną gotówkę. Okoliczności te spowodowały, że zbrodnicze elementy zaczęły urządzać napady rabunkowe w czasie ich podróży nocą. [...] Z końcem listopada 1945 r. nastąpiło uspokojenie umysłów i ruch emigracyjny zupełnie ustał, a nawet co jest znamienne, że Czesi którzy wyemigrowali zaczęli w roku 1946 powracać z powrotem i obejmowali swoje stanowiska. Obecnie życie w Zelowie jest zupełnie normalne, mieszka i pracuje tam około 359 osób obywateli polskich narodowości czeskiej[16].

I... oficjalna

Inaczej widzieli to Czesi. Konsystorz Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w Łodzi, reprezentujący zelowskich Czechów, alarmował Ministerstwo Sprawiedliwości, opisując przypadki dyskryminacji i szykan wobec miejscowej społeczności. Resort odpowiedział, że: *ustawa z 6 maja 1945 r. o wyłączeniu ze społeczeństwa polskiego wrogich elementów nie ma zastosowania do obywateli*

16 Wszystkie cytaty z dokumentów pochodzą z Akt Gminy Zelów (APŁ, APP) oraz archiwum Parafii Ewangelicko-Reformowanej w Zelowie, kserokopie w zbiorach autora.

Konsystorz
Ewangelicko-Reformowanego
Rzeczypospolitej Polskiej
Piotrkowska 85

L. 114/45.

Łódź, dnia 4 pazdziernika 1945.

wpł. 19.10-45 r.
26/8/45 r.

173

Do

Urzędu Gminy Z e l ó w

W sprawie obywateli polskich
narodowości czeskiej.

Konsystorz przesyłając w załączeniu odpis pisma skierowanego do Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Łasku, prosi również Władze Gminne o roztoczenie opieki nad obywatelami polskimi narodowości czeskiej, będących członkami Parafii Reformowanej w Zelowie i Faustynowie, przed aspołecznymi wystąpieniami jednostek.

P r e z e s : *[signature]*

w/z Sekretarza:

[signature]



Prośba Konsystorza o „roztoczenie opieki..."

polskich narodowości czeskiej, którzy w Polsce od lat dawnych osiadli, nie zmienili swej przynależności narodowej w okresie okupacji niemieckiej. Nie ma znaczenia okoliczność, iż władze okupacyjne traktowały ich odmiennie od ludności polskiej w interesie niemieckiej polityki siania niezgody między narodami słowiańskimi.

Inny adresat, Urząd Miejski w Łodzi odpisał, że *Starostwa Grodzkie Łódzkie otrzymały wyjaśnienie co do niestosowania represji względnie dyskryminacji*

w stosunku do obywateli polskich narodowości czeskiej, którzy również przed wojną narodowość tę deklarowali.

W Zelowie nie wgłębiano się w subtelności korespondencji czynników władzy z Czechami, emocje górowały nad racjonalnym osądem dotyczącym sąsiadów, nie wszystkich co prawda oskarżano o podpisanie folkslisty, ale nie przeszkadzało to w codziennych kontaktach używać powszechnego uogólnienia o czeskich folksdojczach: *zresztą oni wszyscy byli z Niemcami.*

4 października 1945 roku Konsystorz skierował pismo do Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Łasku:

> Ponieważ doszło do wiadomości Konsystorza, że w parafiach w Zelowie, Faustynowie i Kucowie zdarzają się przypadki bicia, grabieży i szykanowania obywateli polskich narodowości czeskiej, członków wymienionych Parafii Polskiego Kościoła Reformowanego, Konsystorz przesyłając przy niniejszym pisma Ministerstwa Sprawiedliwości, prosi Władze Bezpieczeństwa o roztoczenie opieki nad wyżej wspomnianymi i wzięcie ich w ochronę przed występnymi poczynaniami aspołecznych jednostek z prośbą o interwencję i przeciwdziałaniu bezprawiu.

Do władz gminy Zelów napisał zaś: *Konsystorz przesyłając w załączeniu pisma skierowane do UBP w Łasku, prosi również Władze Gminne o roztoczenie opieki nad będących członkami parafii Reformowanej przed aspołecznymi wystąpieniami jednostek.*

Konkretnej reakcji nie było, szykany nasilały się, milicjanci jawnie zmuszali Czechów do pozbywania się majątków (równie jawnie ich okradali) i wyjazdu. Groteskowy w sumie napad na wicekomendanta komisariatu MO J. Swobodę, w samo południe, podczas którego użyto broni „na postrach", wskazywał, że nawet pozostawanie w strukturach miejscowej władzy nie daje ochrony. Warto w tym miejscu zauważyć, że w tle konfliktu narodowościowego równolegle toczyła się walka o władzę w osadzie. Mimo starań miejscowych komunistów i wsparcia zwierzchnich władz partyjnych, gwałtownie topniały szeregi lokalnej organizacji PPR, a tym samym znikała możliwość zdobycia przewagi we władzach gminnej administracji. Topniały, bo większość członków PPR stanowili Czesi z charyzmatycznym liderem Teofilem Millerem na czele, a oni także w popłochu opuszczali niegościnny Zelów (z ok. 300 członków w maju, ich liczba we wrześniu spadła do 86, a pod koniec 1945 r. do niespełna 40). Dopiero na przełomie lat 1949 i 1950, już po kongresie zjednoczeniowym i powstaniu PZPR, komuniści się wzmocnili i na dobre przejęli władzę w gminie.

ul. Piotrkowska 85
L.dz. 113/45

Do

Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Łasku

P a b i a n i c e

Sprawa obywateli polskich
narodowości czeskiej.

Ponieważ doszło do wiadomości Konsystorza, że w Parafiach w Zelowie, Faustynowie i Kucowie zdarzają się często przypadki bicia, grabieży i szykanowania obywateli polskich narodowości czeskiej, członków pomienionych Parafii Polskiego Kościoła Reformowanego, Konsystorz przesyłając przy niniejszym odpis pisma Ministerstwa Sprawiedliwości, prosi Władze Bezpieczeństwa o roztoczenie opieki nad wyżej wspomnianymi i wzięcie ich w ochronę przed występnymi poczynaniami aspołecznych jednostek.

P r e z e s :

/-/ R.Gerlicz

w/z Sekretarza:

/-/ Ks.Dr E.Konar-Jelinek

Pieczęć Konsystorza

„...zdarzają się często przypadki bicia..."

List do premiera

15 października 1945 roku Konsystorz w alarmującym tonie pisał do premiera polskiego rządu Edwarda Osóbki-Morawskiego o wrogiej postawie ludności polskiej wobec zelowskich Czechów, jawnie nawołującej: *Wynoście się do Czech, ale tylko w spodniach pójdziecie!*

> Zaczęło teraz dochodzić do rękoczynów, do szykanowania i do bicia, a miejscowa milicja odmawia pokrzywdzonym ochrony. [...] W Zelowie biją [przechodniów na ulicy], grabią, zabraniają nauczania języka czeskiego. Ruch migracyjny przybrał na sile. W maju rb. poczęły wyjeżdżać także osoby starsze, potem już całe rodziny

robotnicze, a wreszcie gdy zaczęły się nocne napady i grabieże – nawet rodziny rolnicze. W czasie tych nocnych napadów i grabieży, dokonywanych tylko na Czechach, napadniętych bito dotkliwie aż do łamania żeber. Milicja zelowska ze swym komendantem na tego rodzaju gwałty nie reagowała, przeciwnie naigrywała się z poszkodowanych. W następstwie takiej sytuacji ludność czeska Zelowa, osiadła tamże od blisko 150 lat, poczęła się już gromadnie przenosić do Czech, wyzbywając się swego dobra za grosze, które zresztą z reguły w najbliższą noc im grabiono, ba, wreszcie doszło do grabieży w biały dzień w drodze Czechów na dworzec przez osobniki w mundurach milicyjnych. Czesi masowo uciekają do Czechosłowacji, a ostatnio wojewoda Dąb-Kocioł wydał zarządzenie ograniczające prawa obywateli Czechów. [...] Prosimy Obywatela Premiera o natychmiastowe uchylenie zarządzenia [mowa o zarządzeniu Rady Gminy, na polecenie wojewody łódzkiego, o ograniczeniu praw ob. narodowości czeskiej] oraz zbadanie Sprawy Zelowskiej i położenie kresu bezprawiom nad obywatelami narodowości czeskiej, należącej bez wyjątku do Polskiego Kościoła Ewangelicko-Reformowanego.

Profesor Štěřikova, dokumentująca sprawy czeskiej diaspory, pisała po latach:

Potomkowie założycieli Zelowa w swoim siedlisku byli bezprawnie narażeni na psychiczne (pogarda, odtrącenie i słowne wypędzanie z Polski) i fizyczne gwałty. Liczne bandy kryminalne wykorzystywały sytuację i napadały i grabiły czeskie rodziny. Czesi w Zelowie nie byli pewni nawet życia. [...] Uciekali ze swego miejsca urodzenia tylko z kilkoma walizkami i cieszyli się, gdy w drodze na stację kolejową (w Kozubach) nie zostali ograbieni z tych niewielu rzeczy, które byli w stanie zabrać ze sobą[17].

W odpowiedzi na pismo skierowane do premiera Ministerstwo Administracji Publicznej nakazało wojewodzie uspokojenie sytuacji w Zelowie, w tym anulowanie dyskryminującego Czechów zarządzenia gminnej rady. Do wyjaśnienia „sprawy zelowskiej" włączyło się Ministerstwo Spraw Zagranicznych i resort sprawiedliwości, do Zelowa przyjechała rządowa komisja i przez cztery dni (od 23 do 27 listopada 1945 r.) prowadziła swego rodzaju śledztwo. Potwierdziło ono większość zarzutów strony czeskiej. W jego następstwie zwolniony został komendant komisariatu (co przyszło tym łatwiej, że okazało się, iż zataił swą akowską przeszłość) i kilkunastu milicjantów.

Choć Warszawa z zaangażowaniem próbowała uspokoić sytuację w Zelowie i naciskała na lokalne władze, by łagodziły napięcia w porozumieniu ze

17 E. Štěřikova, *Rys historyczny osadnictwa czeskiego*, „Przewodnik po Muzeum", 2006.

społecznością czeską, rozwiązywały konflikty i przeciwdziałały negatywnym nastrojom, zwłaszcza wśród parafian katolickich – skutek był jednak daleki od oczekiwań. Gorączki wyjazdowej nie powstrzymał też czechosłowacki poseł Hejert, który dwukrotnie przyjeżdżał do Zelowa, pragnąc powstrzymać falę wyjazdów. Niewielki skutek odniosły również apele Jarosława Niewieczerzała, pastora o niekwestionowanym przecież autorytecie wśród lokalnej społeczności (mizerny efekt miały także jego próby powstrzymywania Czechów przed podpisywaniem folkslisty w czasie okupacji). Jego wierni kierowali się własną logiką i może nie do końca zrozumiałymi motywami – ale głównie powodował nimi strach, zwłaszcza przed nasilającym się bandytyzmem.

Chłopcy z lasu

W rejonie Piotrkowa Trybunalskiego i Bełchatowa, a także w okolicach Zelowa aktywne było podziemie poakowskie, ale jego działalność była wymierzona głównie w struktury nowej władzy i działaczy komunistycznych oraz urzędników. Nie są znane przypadki, by występowało np. przeciwko Czechom tylko dlatego, że byli Czechami. I chyba do wyjątków należy zaliczyć mord na Czechach Teofilu Semeradtcie i Teofilu Bureszu oraz Polaku Ryszardzie Stępniu, którzy zostali zabici w drodze powrotnej z sądu, w którym świadczyli przeciw członkom ugrupowania „Bojara". Na ich ciałach pozostawiono kartki z napisem: „Tak zginie każdy Polak zdrajca, który za judaszowe pieniądze sprzedaje swoich braci bolszewickim oprawcom. Wyrok wykonało kierownictwo Walki z Bezprawiem"[18]. (Wspomniany „Bojar" to Ludwik Danielak, który po ujęciu jego dowódcy „Warszyca" podjął samodzielną działalność. Sąd skazał go na karę śmierci, po latach został uznany za „wyklętego" i zrehabilitowany; wielu do dzisiaj uznaje go za pospolitego bandytę).

Znane są natomiast przypadki zwalczania przez podziemie niepodległościowe grup podszywających się pod „leśnych", gdy w istocie trudniły się one zwykłym i bezideowym bandytyzmem.

Tak właśnie, wykorzystując sytuację, na terenie Zelowa i okolic pojawiło się kilka typowych dla tamtego okresu band i osób, które poniekąd „specjalizowały się" w napadach na zelowskich Czechów i rabowaniu ich mienia. Jedną z nich była „grupa Waltosiów", której przewodzili trzej bracia (nazwa zmieniona, bo najstarszy z braci, w 1990 roku uznany za „wyklętego", został formalnie zrehabilitowany). Jeden z jej uczestników zamieszkał nawet w Zelowie tylko po to, żeby informować swoich kompanów o nastrojach w miasteczku i wskazywać,

18 Wojskowy Sąd Rejonowy w Łodzi Sr 174/54 IPN Ld 6/2338 t. 1, Ld Pf 10/374 t. 1, 2.

kto może być łatwym celem. Według sądu, który w 1953 r. skazał członków tej „grupy" na wieloletnie więzienie, rozpoczęli oni swą działalność od napadów rabunkowych w Zelowie i okolicy na przygotowanych do wyjazdu do Czechosłowacji Czechów. Oto sądowy opis kilku z nich:

> 22 listopada 1945 roku wieczorem „grupa" w całym składzie dokonała napadu rabunkowego na ob. Waltę Jana, zam. w Zelowie, gdzie po sterroryzowaniu domowników jeden z bandytów ubrany w mundur Wojska Polskiego zażądał pieniędzy od Walty Jana, a gdy ten odmówił wydania został pobity i wepchnięty z rodziną do piwnicy [...] zrabowali wówczas palto, 2 ubrania, około 39 funtów bawełny, 4 poszwy, zegarek, harmonię i 300 zł gotówki oraz środki żywności. Tego samego wieczoru bandyci udali się do zagrody ob. Walty Józefa, gdzie przy użyciu broni kazali się domownikom położyć na podłodze i oświadczywszy, że są „z lasu" przeprowadzili rewizję zabierając jedną osnowę, dwie sztuki towaru, garderobę i 1000 zł gotówki. [...]
> Tego samego miesiąca listopada 1945 roku dnia bliżej nieustalonego [...] udała się do ob. Pospiszyła Jana w Zelowie, gdzie sterroryzowawszy domowników bronią palną, bandyci kazali im się położyć na podłodze i zażądali pieniędzy. Gdy ich nie otrzymali, zaczęli szukać zabierając pieniądze w kwocie 5000 zł, garnitur, zegarek na rękę, dewizkę złotą i toaletę fryzjerską. Przy tym pobity został Pospiszył Jan za to, że nie chciał wydać pieniędzy. Podczas tego napadu obrabowany został również Pospiszył Sławomir, któremu bandyci zabrali dwa zegarki, dwa garnitury i inne rzeczy. [...]
> Przy końcu listopada 1945 roku dnia bliżej nieustalonego banda dowiedziawszy się, że w Zelowie przez obywateli przy współudziale Milicji wystawiana jest warta uzbrojona w karabin postanowiła ją rozbroić. W tym celu bandyci zaprowadzeni przez [...] do [...], który tej nocy miał służbę, pod groźbą użycia broni odebrali mu przez Milicję dany karabin. Następnie bandyci kazali się zaprowadzić do ob. Andersza Józefa, któremu przy użyciu przemocy zrabowali różne przedmioty jak garderobę, pieniądze i różne rzeczy, które kazali zanieść obecnym do lasu.
> Po dokonaniu tego banda udała się do ob. Jersaka Józefa i jego rodziny, gdzie po rozbiciu okna bandyci weszli do mieszkania i podając się za „chłopców z lasu", pod groźbą użycia broni zrabowali różne przedmioty jak garderobę, bieliznę, pieniądze i zegarek, przy czym Jersak Józef – Karol został pobity. Jersakowi banda wówczas zabrała konia z wozem, na który bandyci załadowali zrabowane rzeczy i odjechali. Tej samej jesieni banda dokonała jeszcze trzech napadów rabunkowych w m. Ignaców koło Zelowa na obywateli narodowości czeskiej, którzy wyjeżdżali do Czechosłowacji zabierając im garderobę, bieliznę i różne

przedmioty stosując te same metody podczas napadów co poprzednio...Powyższe ustalenia Sąd oparł na wyjaśnieniach wszystkich oskarżonych [...] na zeznaniach przesłuchanych na rozprawie świadków[19].

„Grupę Waltosiów" ostatecznie rozbito i osądzono za ponad 20 udowodnionych czynów przestępczych, choć w rzeczywistości miała ich znacznie więcej na koncie. Nie zawsze działała w pełnym 14-osobowym składzie, do jej najaktywniejszej części należały najbardziej zdeterminowane i bezwzględnie sobie ufające osoby. To „grupie Waltosiów" przypisuje się także zasadzki i większość napadów na Czechów, zmierzających ze swym dobytkiem do leżącej najbliżej Zelowa stacji kolejowej w Kozubach, skąd odjeżdżali do Czechosłowacji.

Pod trybunał

Choć zgodnie z zaleceniem władz centralnych wojewoda łódzki zdawał się łagodzić swoje wcześniej nieprzejednane stanowisko („Polska tylko dla Polaków"): *Zachowaniem swoim* [Czesi], *jakkolwiek nic im ponadto zarzucić nie można, nie starali się w czasie okupacji różnicę tę wyrównać i zaznaczać swoją łączność ze społeczeństwem polskim, wśród którego od przeszło stu lat żyli i pracowali i na ziemi polskiej się wzbogacili* – to nie było w nim przesadnie dobrej woli[20].

Prasa łódzka sporo miejsca poświęcała polsko-czechosłowackim sporom granicznym na południu Polski i rozmowom toczonym na najwyższych szczeblach władzy, ale na temat zelowskich konfliktów milczała. Nie odnotowano wizyty wojewody łódzkiego ani komisji rządowej w Zelowie, nie pisano o szykanach wobec zelowskich Czechów; o napadach na Czechów ukazała się jedna wzmianka[21], wiele miejsca poświęcano natomiast „karłom reakcji" i „zdrajcom Narodu Polskiego".

W zszywkach roczników z tego okresu udało się odnaleźć jeden artykuł, który co prawda ujmował problem bardzo ogólnie, ale w czytelny, jak się wydaje, sposób mógł nawiązywać do sprawy zelowskich Czechów. Publikacja nosiła tytuł *Narodowości uprzywilejowane podczas wojny* i podpisana była literką B:

Przed wojną sprawa narodowości obywateli Państwa Polskiego nie była zagadnieniem zasadniczym. [...] Dopiero gdy Polskę zajęły wojska niemieckie, kiedy „Herrenvolkowie" zaczęli się pastwić nad Polakami, maltretować, wysiedlać,

19 Wojskowy Sąd Rejonowy w Łodzi Sr. 224/53 IPN Ld 6/2189 t. 3, Ld 498/424.
20 Wszystkie cytaty dokumentów pochodzą z Akta Gminy Zelów, op. cit.
21 „Dziennik Łódzki", 1.01.1947.

> rozstrzeliwać... naraz okazało się, ze mamy bardzo dużo obywateli narodowości polskich o narodowości niepolskiej, a mianowicie rosyjskiej, ukraińskiej, białoruskiej, czeskiej i innej. [...] Którzy za masło, lepsze uposażenie, odpowiednie stanowisko schlebiali niemieckiej polityce.

Osoby uprzywilejowane przez okupantów nie powinny nadal korzystać z przywilejów – pisał dalej B. Wskazując, iż *niektórzy uderzyli się w piersi i złożyli deklarację o wierności dla Narodu Polskiego* pytał: *Dlaczego dotychczas nie uczynili tego Rosjanie, Ukraińcy, Czesi i inni zaliczani do grupy uprzywilejowanych?* Zdaniem autora społeczeństwo oczekuje *rychłego wyjaśnienia sytuacji osób zaliczonych do narodowości uprzywilejowanych oraz pociągnięcie tych osób pod trybunał. Tego wymaga sprawiedliwość i racja stanu*[22].

Publikacja zapewne spełniła swą rolę, i choć zelowscy radni nie wzięli pod uwagę „trybunału", to wiedzieli, co zrobić dla zelowskiej racji stanu. Zwłaszcza że „problem czeski", zdawało się już rozwiązany, niespodziewanie powrócił i wymagał pilnych rozstrzygnięć.

Nie powinni wracać do Polski

Ostatecznie z Zelowa jesienią 1945 roku wyjechało około 3000 Czechów, w następnych miesiącach dalsze 500 osób (niemal 90 procent przedwojennej ludności), w Zelowie zostało około 100 rodzin (według władz wojewódzkich 359 osób). „Problem czeski" jednak nie zniknął, powrócił już w pierwszej połowie następnego roku. Wielu Czechów bowiem rozczarowało się Czechosłowacją. Przyjęci na początku przez prezydenta Benesza na Hradczanach i zachęceni do zagospodarowania się na ojczystej ziemi, ze strony lokalnych społeczności nie doczekali się równie uprzejmego powitania. Niekiedy spotykali się nawet z wrogością, gdy przydzielano im opuszczone poniemieckie gospodarstwa, na które byli chętni miejscowi gospodarze. Sami zresztą reemigranci, przywykli do życia w „gromadzie", do swoich sąsiadów, źle znosili rozproszenie ich po wielu miejscach, głównie na Morawach. Z trudem wsłuchiwali się w... język czeski, odmienny od tego, którym posługiwali się w Zelowie; obce im były miejscowe zwyczaje, nawet te religijne. Spora część zatęskniła za Zelowem.

Rozgoryczeni, czasem bezradni na swojej i nie swojej ziemi, przy postępującej kolektywizacji gospodarstw i laicyzacji życia w Czechosłowacji w skali niespotykanej wtedy w Polsce, podejmowali decyzje (tak jak Karol Jersak oraz kilka

22 *Narodowości uprzywilejowane podczas wojny*, „Dziennik Łódzki", 31.01.1946.

Wyciag z protokólu Nr.5/47

z posiedzenia Gminnej Rady Narodowej,gm.Zelów odbytego w Zelowie w dniu 13 czerwca 1947 roku.
Posiedzenie rozpoczeto o godz,11.40.-
Przewodniczacy ob.Perlicjusz Romuald.
Obecni czlonkowie:

1/ ob.Dobrosik Jozef
2/ " Straszewski Adam
3/ " Grzelczak Antoni
4/ " Janowski Michal
5/ " Perlinski Tadeusz
6/ " Pelczynski Tomasz
7/ " Przepiorkowski Adolf
8/ " Mastej Tomasz
9/ " Klimaszewski Michal
10/ " Bronowski Kazimierz
11/ " Klimaszewski Jan
12/ob.Krawczyk Mieczyslaw
13/ " Ornaf Czeslaw
14/ " Mik Boleslaw
15/ " Pospiszyl Wlodzimierz
16/ " Pierzynka Jozef
17/ " Piotrowski Jozef
18/ " Szymczak Kazimierz
19/ " Zwierzchowski Lucjan
20/ " Kaminski Wladyslaw
21/ " Bartkiewicz Jozef

Nieobecni usprawiedliwieni:

22/ ob.Zatorski Edward
23/ " Kaminski Boleslaw
24/ " Mokwinski Mieczyslaw
25/ob.Radziszewski Jozef
26/ " Guminiak Edward
27/ " Gasiorowski Waclaw

Nieobecny nieusprawiedliwiony:
28/ ob.Kusmierczyk Franciszek.

Na posiedzeniu obecni byli ob.Wysocki Zygmunt-podwojci p.o.wojta gm.,ob.Szymanski Wladyslaw,ob.Swoboda Jozef i ob.Kosik Leon - czlonkowie Zarzadu Gminnego.-
Protokolowal ob.Gapik Kazimierz,sekretarz gminy.
Po stwierdzeniu prawomocnosci posiedzenia.przewodniczacy otworzyl obrady.Przyjeto nastepujacy

P o r z a d e k d z i e n n y:

4/ odczytanie korespondencj i rozpatrzenie podan.

P o w z i e t o u c h w a l y:

Przewodniczacy odczytal nastepujace korespondencje:

4 3/ Polecenie Starostwa Powiatowego w Lasku z dnia 11.VI.1947 r. Nr.A.P.IV.7/316/47.-w sprawie stwierdzenia obywatelstwa Tomesza Jana-Adolfa i zony Marii i z dnia 6.V.1947/Nr.A.P. IV-7/224/47.-w sprawie stwierdzenia obywatelstwa Latislowa Pawla- zabierali glos:
a/ob.Zwierzchowski Lucjan,że jeżeli ktoś w czasie okupacji korzystal z przywilejów narodowości czeskiej- wypierając sie na piśmie,ze nic wspolnego z narodowoscia polska nie ma,a nastepnie w roku 1945 porzuca Polske i ucieka za granice nielegalnie bez wymeldowania sie,to trudno o takich obywatelach wydawać opinie dobra.
b/ob.Przepiórkowski Adolf,że tacy ludzie,którzy czując sie czechami porzucili polske i wyjechali do Czechos-lowacji gdzie przyjeto ich jako bohaterow,nadajac im gospodarstwa, przydzielajac prace w/g posiadanych zawodow,a którzy znowu chca powracac do Polski,gdyż im tam obecnie warunki nie odpowiadaja - staja sie uciazliwymi tak dla wladz polskich jak i czechoslowackich.
c/ob.Ornaf Czeslaw,że taki obywatel,który gardzil Polska, za okupacji byl tylko czechem i rozmawial tylko po czesku korzystal z przywilejów okupanta,a po wyzwoleniu nie chcial iść służyć do wojska polskiego - dziś nie powinien wracać do polski.
Po wysluchaniu powyższego Gminna Rada Narodowa w glosowaniu [illegible] 13 glosami przy 8 wstrzymujacych sie od glosowania

Radni zdecydowali: NIE dla powrotu Czechów...

innych rodzin) o powrocie do Zelowa. Ale nie było to proste i nie zawsze możliwe. Gdy bowiem *niektóre zbiegłe czeskie rodziny, po uciszeniu się najgwałtowniejszych burz, chciały wrócić do swoich opuszczonych domów, wpływowi polscy współobywatele nie zgadzali się na to*[23] – pisała prof. Štěřikova. Opór był tym większy, że część pozostałego po nich majątku została przez władze rozdysponowana, a bardziej zapobiegliwi przejęli domy „niczyje", nie czekając na przyzwolenie.

13 czerwca 1947 roku zebrała się rada gminy, nie po raz pierwszy w „takiej sprawie". Obradowano od godziny 11.40 do 19.30. Obecnych było 21 członków, w tym jeden radny narodowości czeskiej; nieobecnych siedmiu, w tym jeden narodowości czeskiej. Wśród radnych był dyrektor szkoły podstawowej i zasłużony legionista, członkowie Stronnictwa Demokratycznego i Polskiej Partii Robotniczej. Obecny był też zarząd gminy z przewodniczącym, sekretarzem gminy i wicekomendant posterunku MO, narodowości czeskiej. Porządek dzienny przewidywał odniesienie się do polecenia starosty powiatowego w sprawie obywatelstwa trojga osób narodowości czeskiej, którzy ubiegali się o powrót do Zelowa.

Radni nie byli przyjaźnie nastawieni wobec dawnych współmieszkańców, którzy chcieli wrócić – przeważał pogląd, że „nie ma na to zgody". Argumentowano, iż zbyt chętnie korzystali z przywilejów, którymi obdarowali ich okupanci, a przede wszystkim podkreślano łatwość, z jaką podpisywali folkslistę.

Jeżeli ktoś w czasie okupacji korzystał z przywilejów narodowości czeskiej, wypierając się na piśmie, że nic wspólnego z narodowością polską nie ma, a następnie w roku 1945 porzuca Polskę i ucieka za granicę nielegalnie bez wymeldowania się, to trudno o takich obywatelach wydawać opinie dobre – mówił radny Lucjan Zwierzchowski.

Tacy ludzie, którzy czując się Czechami porzucili Polskę i wyjechali do Czechosłowacji, gdzie przyjęto ich jako bohaterów, nadając im gospodarstwa, przydzielając pracę według posiadanych zawodów, a którzy znowu chcą powracać do Polski, gdyż im tam obecnie warunki nie odpowiadają, stają się uciążliwymi tak dla władz polskich, jak i czechosłowackich – wtórował były peowiak, radny Adolf Przepiórkowski.

Czesław Ornaf był najbardziej stanowczy: *Taki obywatel, który gardził Polską, za okupacji był tylko Czechem i rozmawiał po czesku, korzystał z przywilejów okupanta, a po wyzwoleniu nie chciał iść służyć do wojska polskiego, dziś nie powinien wracać do Polski*[24].

W głosowaniu rada 12 głosami przy 8 wstrzymujących się nie wyraziła zgody na powrót takich obywateli do Polski. Pod dokumentem podpisał się

23 E. Štěřikova, *Rys historyczny osadnictwa czeskiego*, „Przewodnik po Muzeum", 2006.

24 Akta Gminy Zelów, APP, op. cit.

przewodniczący R. Perlicjusz, protokołował K. Gapik. Na odpisie z 17 czerwca *zgodność niniejszego wyciągu z oryginałem stwierdza* podpisem p.o. wójta gminy Z. Wysocki.

Tylko nieliczni otrzymali zgodę na powrót lub jego zalegalizowanie (41 osób – według informacji wojewody łódzkiego z 1949 r.). Dla niektórych miało to, jak szeptano wtedy i mówiono nawet po latach, konkretną cenę „płaconą pod stołem".

Zelów przez dość długi czas odzyskiwał „równowagę", dotychczasowa większość stała się mniejszością i zdecydowanie traciła na znaczeniu. Upaństwowienie poczeskich fabryk i handlu, objęcie najważniejszych posad przez Polaków uznano za „dziejową sprawiedliwość". I choć na ulicach nazywano nieraz Czechów pogardliwie Pepikami, kalwinów uznawano za „kocią wiarę", a praktykujących określano „kotami", to napięcie opadało.

Najwyraźniej opatrzność sprawiła, że w 1952 roku do Zelowa trafili „posłańcy Boga", do zboru pastor Zdzisław Tranda, do katolickiej parafii Antoni Szarejko – ich wspólny wysiłek sprawił, że relacje polsko-czeskie przez lata się ucywilizowały. Choć jak się okazało, kilkadziesiąt lat później ich następcy bardzo się starali, żeby demony z przeszłości powróciły.

II. Armagedon – o roku ów...

Wydarzenia poznańskie w czerwcu 1956 roku oraz październikowy przewrót we władzach partii i państwa (powrót Władysława Gomułki) obudziły nadzieje w Polakach na przewietrzenie kraju po sowieckich „pomocnikach" i demokratyczne przemiany. Zmieniały się władze na każdym szczeblu, pojawiały się lokalne inicjatywy, snuto plany rozwoju i poprawy codziennego życia. W Zelowie – osadzie bez wodociągów i kanalizacji, gdzie nieczystości wylewano wprost na ulice, z rynsztokami pełnymi brei, w której płynęły pracowicie wyżłobione przez chłopców łódeczki z kory i kartonu; osadzie, w której zaopatrzenie było marne, a najbardziej dokuczał brak węgla, zastępowany torfem z okolicznych łąk – lokalne władze umyśliły, że byłyby szanse na większe dostawy, gdyby osada, od dwu lata formalnie mająca status osiedla, uzyskała prawa miejskie. Zresztą ich zdaniem Zelów, wyróżniający się przemysłowo, z jedną z największych w regionie fabryką bawełnianą, powstałą z upaństwowienia trzech czeskich manufaktur i silną tradycją ruchu robotniczego, o wiele bardziej zasługiwał na ten splendor niż np. nieodległy i niezbyt poważany przez nich Bełchatów czy urzędniczo-emerycki Łask. Wcale nie groteskowym argumentem było i to, że piłkarze zelowskiego „Włókniarza", których mecze przyciągały nawet 3000 widzów, bezlitośnie „obijali" tamtejszych rywali z boiska.

Zamierzenie było ambitne i władze Zelowa wierzyły, że odzyskanie osady zdominowanej do niedawna przez czeską większość, sukcesy w utrwalaniu „polskiego władztwa" nad „prawie miasteczkiem" zostaną docenione. Liczono przy tym na wsparcie kierownictwa fabryki, które co prawda zostało narzucone przez łódzkie władze, ale dyrektorom i inżynierom stworzono takie warunki, żeby czuli się jak u siebie. Tak się właśnie poczuli, lecz ta historia zostanie przedstawiona dalej.

Tymczasem wojewódzkie władze w Łodzi, jak i powiatowe w Łasku, z niejasnych powodów nie popierały próśb o nadanie praw miejskich. Nie pochylały



Zelów w połowie lat 60. ubiegłego wieku

się z troską nad słanymi im z Zelowa analizami oraz wnioskami i najwyraźniej wstrzymywały przesyłanie dokumentów do Warszawy.

Determinacja zelowskiej „wierchuszki" była jednak tak duża, że mając do wyboru mniej lub bardziej realne pomysły na ominięcie administracyjnych przeszkód, zdecydowano się na przedsięwzięcie niekonwencjonalne, wydawało się zgoła groteskowe, z całą pewnością szalone...

Spotkanie w grudniu 1956 roku dwóch mieszkańców Zelowa z premierem Józefem Cyrankiewiczem miało miejsce naprawdę – w lokalnej pamięci przetrwało wspomnienie, że to właśnie kaszanka, kiełbasa i bimber okazały się najskuteczniejszym orężem...

Kaszanka, kiełbasa i bimber, czyli jak Heniek i Józek dokonali cudu

> Do Warszawy pojechaliśmy we dwóch, ja i Józek Chojnacki, on sekretarz z urzędu gminy, ja sekretarz partyjny z fabryki. Bez zapowiedzi, w ciemno. Ale wyposażeni, w jednej teczce kiełbasa i kaszanka, i coś tam jeszcze, w drugiej

papiery. Jedno i drugie do przekazania w ważne ręce. Dojechaliśmy do Łasku, potem w pociąg do Łodzi.
Czekaliśmy długo na Fabrycznym, do Warszawy dotarliśmy nad ranem. Martwiłem się o nasze wyroby, najlepszą na świecie kaszankę i kiełbasę, bo choć pakowaliśmy jeszcze ciepłe, a na zewnątrz było mroźnie, to zależało nam, żeby na stół premiera dotarły jak najszybciej.
W końcu jesteśmy pod gmachem, chyba w Alejach Ujazdowskich, a może to był Dom Partii? Nie pamiętam. Przez okna widać było choinki, bo to było tuż przed Bożym Narodzeniem, i te ozdobione choinki, przecież nowość po latach panowania Dziadka Mroza, nastroiły mnie i Józka jakimś ciepłem i nadzieją.
Podchodzimy do wejścia, a tu żołnierz, chyba z ochrony, nie dopuszcza nas do drzwi. Coś mówimy, tłumaczymy, że my do premiera, ale on nawet nie chce słuchać, no bo jak to, tak z ulicy, bez uprzedzenia, do samego premiera. I to skąd? Z Zelowa? Jakiego Zelowa? Ze wsi? Więc Józek mu coś klaruje w czym rzecz, pokazuje jakieś papiery, a ja, nawet dziś powstrzymuję się, żeby nie mówić, ale jak nie mówić, jak tak było. Więc Józek gada, a ja temu żołnierzowi wciskam do kieszeni paczkę papierosów, może jeszcze coś, choć „zapasu" nie naruszam, ale ten nie ustępuje. W końcu mięknie i mówi, że niczego nie obiecuje, ale wchodzi do gmachu. Za jakąś chwilę wychodzi i przywołuje nas. Ja znowu mu wciskam coś tam do kieszeni , a on mówi, że nas wpuści do korytarza, posiedzimy przy dyżurce, ale czy coś będzie, to on nie wie. Sprawdza nam wypchane teczki, moją i Józka, pociąga nosem, kiwa głową, no, no...
Nie pamiętam już, ile czekaliśmy, sami palić nie mieliśmy już co, więc nasz już żołnierz poczęstował teraz nas naszymi papierosami, w każdym razie było już późne popołudnie, zmierzchało, coraz bardziej martwiłem się o kaszankę, najlepszą na świecie, gdy naraz skądś rozległo się wołanie: „Delegacja z Zelowa proszona do premiera".
„Delegacja z Zelowa proszona do premiera", to woła któryś z żołnierzy i wskazuje na schody. Wchodzimy na pierwsze piętro, a tam kolejny żołnierz powtarza gromkim głosem: „Delegacja z Zelowa proszona do premiera". Kolejne schody, potem następne aż na trzecie piętro i cały czas to poprzedzające nas wołanie. W otwartych drzwiach stoi kobieta, pewnie sekretarka premiera, bo wyraźnie patrzy w naszą stronę i zaprasza do środka. Mówi, żeby zostawić te nasze teczki, ale jak zostawić, jak tam kaszanka, najlepsza na świecie...
Otwiera wielgachne drzwi i anonsuje: „Delegacja z Zelowa do towarzysza premiera". Wchodzimy. Za ogromnym biurkiem, w oddali, widzimy znaną z portretów postać. Podnosi się nieśpiesznie, podchodzi do nas, nie ma wątpliwości – to sam Józef Cyrankiewicz. „Ładnie pachniecie", mówi, i prosi sekretarkę żeby

zabrała teczki. Józek wyciąga przygotowane papiery, z wnętrza teczki unosi się oszałamiający zapach zelowskich wyrobów...

Premier bierze przygotowane przez nas pisma i kładzie na biurko. Nie pamiętam, czy nas czymś poczęstowano, ale chyba nie, bo w sumie byliśmy w gabinecie dosyć krótko. Pamiętam słowa: „Dobrze, że troszczycie się o ludzi, niczego nie obiecuję, ale postaram się pomóc". Uścisnął nam ręce i doprowadził do drzwi. „W Zelowie pozdrówcie Józka Papugę" – mówi, i patrząc na nasze zdziwione twarze, dodaje: „Byliśmy razem w obozie, w Oświęcimiu, wiele mu zawdzięczam".

Naszego żołnierza nie było, ale i tak nie mielibyśmy się czym odwdzięczyć, bo poza zapachem kaszanki, w teczkach już nic nie mieliśmy...[25]

Tę historię usłyszałem po raz pierwszy od swojego taty, a raczej w trakcie podsłuchiwanej przeze mnie jego rozmowy z przyjacielem Henrykiem Woźniakiem, podczas której zaśmiewali się do łez. Po latach, przed niespełna dekadą, H. Woźniak opowiadał mi tę historię kilkakrotnie, za każdym razem dodając jakiś pikantny szczegół, jak choćby ten o flaszce ukrytej w teczce z „najlepszym bimbrem na świecie" czy o Józku Papudze, któremu nie mogli przekazać pozdrowień od premiera, bo ten już od jakiegoś czasu mieszkał w Gdańsku.

Zastanawialiśmy się, na ile pomogła nam znajomość premiera z Józkiem z Zelowa, bo mimo naszej desperacji mieliśmy wątpliwości, czy jak już uda nam się dotrzeć do Cyrankiewicza, to zechce nas wysłuchać. Po naszej wizycie euforii w Zelowie nie było, ale sam fakt, że dotarliśmy do samego premiera, zrobił wrażenie na kolegach, choć, przyznaję, nie wszyscy uwierzyli w naszą relację, tym bardziej że co nieco ją ubarwialiśmy podczas kolejnych pogaduszek przy kielichu. No cóż, młodzi byliśmy, mieliśmy po trzydzieści lat...[26]

28 stycznia 1957 roku zelowianie obudzili się w mieście Zelowie. Wszyscy, włącznie z lokalną władzą i elitą, dowiedzieli się o tym z... warszawskiego radia. Do mieszkańców radosna wieść wytoczyła się z „Gospody ludowej", w której urzędnicy z pobliskiego urzędu świętowali zwycięstwo kaszanki, kiełbasy i bimbru nad zacietrzewieniem łaskich... dziadersów (jak już wspomniano, powiatowy Łask uchodził za miasto emerytów). Krytyka „hamulcowych" przezornie wyżej nie sięgała.

25 Notatki z rozmów z H. Woźniakiem, 2014–2015.

26 Tamże.

Dziennik Ustaw Nr 5 — 38 —

22

ROZPORZĄDZENIE PREZESA RADY MINISTRÓW

z dnia 28 stycznia 1957 r.

w sprawie utworzenia miasta Zelów w powiecie łaskim, województwie łódzkim

Na podstawie art. 5 ust. 1 ustawy z dnia 4 lutego 1950 r. o dokonywaniu zmian podziału administracyjnego Państwa (Dz. U. Nr 6, poz. 48) zarządza się, co następuje:

§ 1. Z obszaru osiedla Zelów w powiecie łaskim, województwie łódzkim tworzy się miasto Zelów w tymże powie[cie] i województwie.

§ 2. Rozporządzenie wchodzi w życie z dniem ogłosze[nia].

Prezes Rady Ministrów: *J. Cyrankiewicz*

Urzędowe potwierdzenie statusu miasta

Kto mógł wtedy przypuszczać, że tak wspaniale rozpoczęty rok przyniesie wydarzenia, które na lata przyćmią wizerunek stającego na własne, „polskie nogi" miasteczka.

To nie jest miasto z bajki

Wspomniane powyżej „polskie nogi" to bynajmniej nie współczesne skojarzenie z hasłami jednej z sił politycznych, ale określenie uzasadnione historyczną zmianą, która dokonała się w Zelowie po II wojnie światowej. I jakkolwiek brutalnie to brzmi, bo ceną było etniczne sczyszczenie z „niepożądanego elementu", miasteczko dostało szansę pokazania, na co stać gospodarza, gdy stanie na własnych, „polskich nogach". Status miasta zobowiązywał, nikt nie przewidywał, że upojeni sukcesem włodarze miasta i dyrektorzy fabryki utopią go w oparach gorzały i wstydu.

Zelów, zarówno ten dawny, jak i współczesny, to nie jest miasto z bajki. Nie leży na szlaku turystycznym i nie ma walorów, które zachęcałyby do zboczenia z głównych dróg. Nie znajduje się tu nic, co przykułoby choćby na chwilę uwagę przypadkowego gościa. No, może poza czterema kościołami, z których trzy znajdują się blisko siebie na jednej z najkrótszych ulic w centrum, a tylko jeden nieco na uboczu. Wszystkie chrześcijańskie, choć różnych wyznań: katolicki, ewangelicko-reformowany, ewangelicko-augsburski i baptystów. Jest jeszcze kaplica świadków Jehowy oraz synagoga, materialne świadectwo po drugiej co do wielkości grupie etnicznej. Każdy kościół miał chwile wzniosłe, dziś „cienko przędą", bo wiernych coraz mniej. W synagodze nie ma ich wcale, gdyż i Żydów w Zelowie już nie ma. Mieści się w niej poczta, z której można wysłać list do Izraela, np. do dzieci Abrama

i ich ciotki Poli, którzy kiedyś tu mieszkali i w końcu jako ostatni, w 1969 roku, wyjechali.

Użyte przed chwilą słowo „przędą" jest jak najbardziej usprawiedliwione, bo miasteczko, ujmując to najogólniej, na przędzy wyrosło. Symbolem Zelowa jest tkackie czółenko, które uhonorowano w herbie miasteczka, w szkolnej izbie pamięci poczesne miejsce zajmuje kołowrotek (*kręć się, kręć wrzeciono, wić się tobie wić*), w niejednym domu przetrwały jeszcze ręczne krosna, gdzieniegdzie w mieście można dostrzec resztki dawnych manufaktur, w których do dziś wegetują szczątki krosien ręcznych i mechanicznych; przy wylocie na Łask stoi dawna fabryka włókiennicza. W centrum po słynnej fabryce z szedowym dachem, w której w okresie prosperity zatrudnionych było ponad 3000 ludzi, nie został najmniejszy ślad; staraniem ambitnej burmistrzyni postawiono w jej miejsce galerię z paździerza.

Wszyscy mieszkańcy żyją z jednej fabryki włókienniczej - pisała w 1957 roku Barbara Seidler, warszawska reporterka, którą zwabiła „zelowska afera", choć co prawda w miasteczku jej stopa nie stanęła - *dwa tysiące oficjalnie, reszta mieszkańców żyje z fabryki nieoficjalnie. W małych domkach cały dzień pracują krosna. Jest ich 400 - pracują pod szyldem dwóch spółdzielni, skąd biorą surowiec, nietrudno się domyślić - za jedne półrocze braki w zelowskim zakładzie wynoszą 30 tys. kg na sumę 3 mln zł. W takiej to atmosferze małego miasteczka, bez kina, za to z knajpą, zrodziło się przestępstwo*[27].

Z tym kinem to akurat nieprawda, bo było już przed wojną, a po wojnie długo stanowiło jedyny przybytek kultury i przepadło dopiero wraz z socjalizmem, ale knajpa, choć jedna, w tej opowieści odegra ważną rolę, bo być może to ona była źródłem wszelkich plag, jakie spadły na miasto Zelów.

Dzisiejszy Rynek, noszący imię Jarosława Dąbrowskiego (przed wojną Henryka, potem Alter Markt i krótko Stalina), to skwer ze stojącym pośrodku postumentem ku czci Tadeusza Kościuszki (amerykańskiego celebryty - jak mówił niedawno jeden z prominentnych miejscowych umundurowanych), zarówno przed laty, jak i teraz, stałe miejsce państwowych oraz lokalnych urzędowych uroczystości. Tu jak w ubiegłym wieku zatrzymują się autobusy, dowożące do powiatowego Bełchatowa z jednej i do powiatowego Łasku z drugiej strony (oba miasta darzone są irracjonalną niechęcią). Choć bywało, że Zelów liczył więcej niż one ludności, a miejscowi piłkarze z „Włókniarza", o czym już wspomniano wcześniej, bezlitośnie ogrywali tamtejszych piłkarzy, nigdy nie wybił się ponad gminny status, co władze znosiły z największym bólem. Aż do 28 stycznia 1957 roku.

27 B. Seidler, *Panowie na Zelowie*, „Prawo i Życie", 20.09.1957.



Targowa środa...

Kamienna pustynia

Ale w tymże styczniu ani w miesiącach następnych nic znaczącego nie zaszło w polu widzenia przeciętnego zelowianina – Rynek nadal był kamienną pustynią, wybrukowaną polnymi otoczakami, którą co środę, w dzień targowy, wypełniała kawalkada wiejskich furmanek; handlowano drobiem i żywizną, w naprędce skleconych kramach można było nabyć wszystko, od płaszczy i kurtek po gumę do majtek. Nietrudno było o trefny towar, szeleściły „zielone" (dolary), połyskiwały szwajcarskie doxy i delbany. Jarmarczny rejwach trwał do późnego południa, a potem mężczyźni szli do narożnej knajpy oblewać udane albo szemrane interesy, a ponad kocimi łbami unosił się fetor uryny, świńskich i krowich placków, baranich i kozich bobków, a przede wszystkim końskiego łajna. Bardzo długo nikomu to nie przeszkadzało. Ani wspomniana knajpa na rogu placu i pryncypalnej ulicy, kończącej swój żywot, jak biczowali się sami jej mieszkańcy, w kartoflach.

„Gospoda ludowa", potocznie zwana knajpą, była jedna, choć w przeszłości w Zelowie *karczem nigdy nie brakowało*, źródła podają, że już na początku historii wsi, jakieś 200 lat wcześniej, istniał żydowski arendarz, czyli karczmarz. Gdzie stała oberża czy szynk, nie wiadomo, ale to był dobry powód, żeby to Żydom przypisać rozpijanie miejscowej ludności.

Zdaje się jednak, że to nie musi być prawda, bo w latach 1820–1835 zelowska karczma nie stanowiła prywatnej własności, ale „dzierżawę gminną". Prowadził

ją Wilhelm Andersz, do którego w *niedzielę schodzą się u niego parafianie i gaszą po nabożeństwie pragnienie dobrą wódką, a nie kiepskim piwskiem*[28]. To dla dobrej i mocnej wódki schodzili się u niego bogaci „współwłaściciele Zelowa", ale trudno było tam wypatrzyć kolonistów niemieckich czy biednych Żydów (a innych wtedy jeszcze nie było). Co nie wyklucza, iż jakiś wyszynk u chciwego Czecha, przyjmującego wbrew zakazom pastora na komorne Żydów, mógł istnieć, na co skarżył się półtora wieku temu ksiądz Jarosław Mozes.

...i siedlisko zelowskiej rozpusty

Pastor Mozes w ogóle skarżył się na nieobyczajne prowadzenie się parafian, gdyż z karczmy znajdującej się na zapleczu kościoła często dochodziły do jego uszu pijackie krzyki. W 1971 w książce *49 listów z powodu braci czeskich* Edward Martuszewski pisał na przykład: W *karczmie dzieci mają nieraz ciekawe widowisko, zwłaszcza gdy i kobiety sobie popiją. W zależności od sytuacji można zobaczyć w niej bójkę albo miłość. W karczmie dochodzą do głosu przekonania zelowian i kształtuje się opinia publiczna. Na przykład Gabriel Swoboda oświadczył przy wszystkich, że nikt w Zelowie nie ma mu nic do rozkazywania*[29].

Pewne zasługi w tym zakresie można byłoby przypisać niejednemu... pastorowi. Oto jednemu z pierwszych, Aleksandrowi Głowackiemu, zarzucano pijaństwo i ostatecznie zmuszono do rezygnacji. Pięćdziesiąt lat później pastor Ferdynand Fibich skarżył się na zelowian: *prawie wszystkie oddali się nałogowi wielkiemu, że nawet w niedzielę, soboty i święta uroczyste od rana aż do jutrzejszego dnia zasiadają w karczmach i tam kłócą się i biją*[30].

W annałach można przeczytać, że już przy wjeździe do osady od strony Łasku i na końcu Piotrkowskiej, czyli od strony Bełchatowa, można było wprawić się w „dobry stan". Przez lata opowiadano o karze boskiej – zapadnięciu się starej karczmy, będącej niegdyś „siedliskiem zelowskiej rozpusty". Miejsce to, które nazwano przepadliskiem, stało się stawem, w którym niejeden pijaczyna zakończył „parszywe życie".

W okresie międzywojennym funkcjonowało w osadzie niemal 10 piwiarni, znanych z dobrego czeskiego piwa, a jedna z nich, znajdująca się w centrum, nie oparła się zakusom katolików (jak już wspomniano), została wykupiona i przekształcona w kaplicę.

28 E. Martuszewski, *49 listów w sprawie braci czeskich*, Wydawnictwo Łódzkie, 1971.
29 Tamże.
30 Tamże.



Tak wyglądała XIX-wieczna piwiarnia w Zelowie

W czasie ostatniej wojny rozpijano Niemców i folksdojczów w knajpie „U Markiewicza", ale bywali tam też miejscowi, katolików nie wyłączając. Najstarsi przez lata nie chcieli nic na ten temat powiedzieć, a na pytanie, dlaczego po wojnie nikt Markiewicza „nie ruszał", opowiadano co najwyżej: *Dużo widział i wiedział.* Co widział i wiedział, i czy ta wiedza była jego polisą, do dziś pozostało tajemnicą. Poza tym po wojnie wydał córkę za miejscowego nauczyciela, co zdaje się skutecznie odebrało ludziom chęć do zadawania pytań.

„Gospoda ludowa" i kasiora

Tak, zelowskie knajpy zawsze odgrywały ważną rolę, były miejscem szczególnym, niemal kultowym, w którym *dochodziły do głosu przekonania zelowian i kształtowała się opinia publiczna*[31]. I choć tej ostatniej, „Gospody ludowej", już dawno nie ma, a w jej miejscu powstała biblioteka, to najstarsi mówią, że w jej ścianach zapisana jest historia rodzącego się ustroju sprawiedliwości społecznej i niesprawiedliwości dla ludzi.

31 Z. Chyliński, *Proces przeciwko miastu*, „Głos Robotniczy" nr 9–15, styczeń 1958.



Dawną gospodę przekształcono w... oazę ciszy i spokoju

W 1957 roku „Gospoda ludowa" skutecznie utrzymywała dynamikę wzrostu spożycia alkoholu, zgodnie z planem spółdzielni „Zgoda", przewidującym obrót do dwóch milionów złotych. Pod koniec roku pisano w lokalnej gazecie: *20 litrów czystej wypróżnia się co dzień w Gospodzie – tylko do listopada 1957 r. obrót wódką wyniósł prawie 4 mln zł, czyli dwa razy więcej niż budżet miasta – ten wynosił 2 mln 200 tys. zł.*

Znajomy zelowianin, bywalec, a nawet knajpowy weteran powiada, że gospoda dobrze służyła wszystkim, pili w niej chłopi, zwłaszcza w święto dyszla, urzędnicy, kierownicy, dyrektorzy i milicjanci. Ci ostatni mieli szczególne względy, bo niebywale atrakcyjna kruczoczarna barmanka była żoną jednego z nich.

Przy półlitrówkach opijano interesy i planowano przekręty, chwalono władzę i szydzono z niej, poufnym szeptem „lustrowano", jakbyśmy dziś powiedzieli, prezydenta Bieruta (zwłaszcza od czasu, gdy w miejscowym lesie znaleziono balon z broszurami pułkownika Światły „o czerwonej burżuazji"), premiera Cyrankiewicza i sekretarza partyjnego Tatarkównę-Majkowską (łódzką I sekretarz KW PZPR), ale też zelowskich notabli, bo każdy z nich miał prawdziwy lub urojony „ogon", czyli snujące się za nim czyny i działania niekoniecznie czyste.

Wielu konsumentów wychodziło z knajpy o własnych siłach, niektórych wyprowadzano za pobliską strażnicę pożarników, gdzie na łonie przyrody mogli się uwolnić od nadmiaru spożytych trunków i zakąsek. Jeszcze innych doprowadzano wprost do aresztu i po wytrzeźwieniu poddawano przesłuchaniom albo podsuwano im do podpisu zobowiązania do wiadomo jakich celów. Ciekawe, że w Zelowie od powojnia nigdy nie było problemu z kandydatami do milicji ani chętnymi do ORMO – ochotniczej rezerwy MO.

Knajpa była świadkiem nagle rozwijających się karier i spektakularnych upadków. Wspominany już wcześniej Karol Badziak, łódzki dziennikarz z zelowskim rodowodem, pisał na łamach warszawskiego tygodnika „Współczesność": *Charakter, oblicze, ton życiu miasteczka nadawał dotychczas spekulant, pospolity złodziej i zramolały kołtun.* [...] *Organa prokuratury i milicji doskonale znają to miasto. Do niedawna była to największa giełda czarnego rynku dla handlu przędzą bawełnianą. Zelów oprócz produkcji tkanin rokrocznie dostarcza do łódzkich więzień dziesiątki lokatorów. Wielu z nich do dziś jeszcze kontempluje tam w odosobnieniu i ciszy swoje wątpliwej wartości czyny*[32].

Kasiora

O czymś takim właśnie, i o „komplementariuszach" opowiem. Być może zelowska afera i tak by wyszła na światło dzienne, ale wiele przemawia za tym, że wypełzła właśnie z knajpy. Jakoś pod koniec 1955 roku w knajpie ucichły rozmowy o „drobnych" kradzieżach w fabryce; co prawda nadal stale kogoś zamykali i skazywali, ale karani rychło wracali, więc temat się powoli wyczerpywał, bo ile można mówić o cieniźnie: wynoszonych szpulkach, przerzucanej przez ogrodzenie belach przędzy i opasanych purpurą babach w pekaesach do miasta Łodzi. Zza fabrycznych murów docierały strzępy informacji, że „duża kasiora idzie na lewo". Mówiono, że kierownicy na oddziałach kombinują przy zarobkach i podatkach, że listy płac są zasłaniane tak, żeby „robol" widział tylko swoje nazwisko i należną mu kwotę. A już „racjonalizatorzy" mieli brać niemałe kwoty za niby wynalazki, tyle że musieli się dzielić. Z kim? No, wiadomo, z tymi co wyżej, bo to od nich zależało uznanie za wynalazek czegoś, co już dawno gdzieś wynaleziono.

Informacji przybywało tym bardziej, że tzw. niski, a czasem nawet średni personel fabryki z knajpy jak najbardziej korzystał. I coraz częściej szastał kasiorą, a gdy języki się plątały, to i owo dało się usłyszeć. Z czasem, że „to" właśnie idzie od samej góry. Początkowo wydawało się, że złe języki biorą na warsztat

32 K. Badziak, *Zanim powstanie oś przemysłowa*, „Współczesność" nr 10, 1960.

głównie inżynierów i dyrektorów, bo większość z nich nie była miejscowa, tylko przywieziona skądsiś „w teczkach". Przecież plany są wykonywane, więc premie im się należą - mówili jedni, a inni z przekąsem: „jakie plany, stale są przestoje, awarie" i kwitowali „plany to są, ale brane z sufitu".

Wóda się w knajpie lała, w wydzielonym na końcu pomieszczeniu za kotarą pojawiali się inżynierowie i dyrektorzy z fabryki, choć zwrócono uwagę, że jak na ich „możliwości", nie tak często - co niebawem się wyjaśniło, gdyż okazało się, iż piją jak smoki, ale w dyrektorskich gabinetach i służbowych mieszkaniach albo z dala od zelowskiej gawiedzi, w knajpie w powiatowym Łasku.

Jesienią 1956 roku, może po części na skutek politycznej odwilży, o „sitwie" w fabryce zaczęto mówić coraz głośniej, także na zebraniach aktywu partyjnego i związkowego, a nawet młodzieżowego. Z miejscowego posterunku wyciekały plotki, że fabryką interesuje się „wojewódzka" (Komenda Wojewódzka MO w Łodzi), w domysłach wymieniano bezpiekę, milicję z „centrali", prokuraturę. Potem okazało się, że faktycznie sprawę „zelowskiej afery" prowadzili śledczy aż z Komendy Głównej MO. W zakładzie pojawili się kontrolerzy ze zjednoczenia, czyli wojewódzkiej władzy zwierzchniej nad przemysłem lekkim.

W biurowcu zachodziły jakieś zmiany personalne, ktoś odchodził, ktoś przychodził, napięcie rosło, w knajpie od plotek aż buzowało, aż wiosną 1957 roku wybuchła bomba.

Nadchodzi armagedon

Zanim do rozbrojenia tej bomby przystąpili milicjanci i prokuratorzy, w miasteczku zdarzyła się taaaka historia - awantura z pochówkiem świadka Jehowy.

Nim jednak do niej doszło, wczesną wiosną 1957 roku Marian Wadlewski, przewodnik świadków Jehowy, niewielkiej lokalnej grupy religijnej, zaczął ogłaszać wszem i wobec, że nadchodzi armagedon, czyli koniec świata. To niby nic nowego, bo dość powszechnie było wiadomo, że cała ideologia tej sekty sprowadza się od lat do nieustannego przygotowywania się na nieuchronny koniec świata i spotkanie z Jahwe.

Dobry znajomy z Zelowa i koneser miejscowych tajemnic opowiadał mi po latach:

> Nie wiadomo, skąd się to u niego wzięło -- bo nieco wcześniej był to katolik i nawet dość gorliwy w wierze. Mówili jego sąsiedzi z Maurycowa, wsi na peryferiach Zelowa, że własnym pomysłem i za swoje pieniądze postawił kapliczkę ku czci Maryi, solidną, bo murowaną i ogrodzoną solidnym parkanem.

Potem miało dojść do jakiegoś sporu z proboszczem czy wikarym, chodziło o jego związek z kobietą, chyba niesakramentalny, i w efekcie we wsi powstała kilkuosobowa sekta „odszczepieńców", okazało się wkrótce, że przystali do świadków Jehowy. A to się już ludziom nie spodobało...[33]

Z Wadlewskim był jeszcze taki kłopot, że wcześniej wszyscy go znali, okresowo cieszył się nawet dużą popularnością, bo „moc w nim była ogromna" – był niedużego wzrostu, ale masywnej budowy ciała, bez trudu wyginał końskie podkowy i wszelkie żelastwo, zdradzał zapaśnicze talenty. Do lokalnej legendy przeszły jego gościnne występy w cyrku, który co jakiś czas pojawiał się w Zelowie; a gdy na jakiś czas znikał z domu mówiono, że robi karierę zapaśniczą i „siłacza", a nawet że z cyrkiem podróżuje do Ameryki. Z tą Ameryką to akurat nie wiadomo, czy to prawda, bo główne źródło jego utrzymania stanowił skup pordzewiałego żelastwa, czyli złomu, za którym peregrynował po całym powiecie, a nawet zapuszczał się cokolwiek dalej.

Gdy się „przechrzcił", wielu się od niego odsunęło, ale że był postacią znaną, jego donośny głos docierał do ludzi i nierzadko trafiał na podatny grunt, bo sporo mieszkańców uważało, że to, co się dzieje – tak w ogóle, a w szczególności właśnie w Zelowie – *to Sodoma i Gomora* i kara wcześniej czy później spadnie na ten *nędzny padół* (cytaty bynajmniej nie wymyślone przez autora). Nie ma co ukrywać, że Wadlewski, choć działał w nieprzyjaznym sobie środowisku katolickim (i znacznie bardziej tolerancyjnej enklawie protestanckiej – kalwińskiej i luterańskiej oraz baptystycznej), przysparzał wyznawcom Jehowy nowych świadków. Nie podobało się to zwierzchności Kościoła katolickiego i parafianom.

Władza też nie była zachwycona, więc mimo zaciekawienia, a nawet pewnej popularności sekty, wiele wskazywało, że koniec świata nadchodzi właśnie dla świadków Jehowy, bowiem wobec nich nasiliły się szykany i represje. Jednym z dogodnych pretekstów były fakty odmowy służby wojskowej ze strony młodych świadków Jehowych (zabraniała im tego wiara), więc oskarżano ich o łamanie prawa i zdradę, i wsadzano do więzień.

Awantura na cmentarzu

W takiej to atmosferze śmierć Antoniego Adamskiego, jednego ze znamienitszych świadków Jehowy, chyba nawet przewodnika grupy z tzw. Zelówka (peryferie wchodzące w skład osady), okazała się zwiastunem przynajmniej lokalnego

33 Zapiski w zbiorach autora.

7 maja 7

RZ.III 82/57

Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej
Wydział do Spraw Wyznań

Łódź
Ogrodowa 15

Urząd do Spraw Wyznań przesyła w zał. skargę Ob. Władysławy Adamskiej z Zelowa, ul. Kilińskiego Nr 105, skierowaną do Biura Skarg i Zażaleń, z prośbą o zbadanie sprawy i złożenia sprawozdania.

Należy ustalić czy sprawa została skierowana do prokuratury i czy w stosunku winnych naruszenia dekretu z dn. 5.VIII.49 o ochronie wolności sumienia i wyznania zostały wyciągnięte konsekwencje.

Sprawę należy załatwić w trybie przewidzianym dla załatwienia Skarg i zażaleń.

Naczelnik Wydziału
/ S. Kiryłowicz /

URZĄD
50/904

JS

10.VII

„Sprawą" pochówku Antoniego Adamskiego zajęła się prokuratura

armagedonu. Problemem było, gdzie zmarłego pochować, jeśli nie mają własnego cmentarza, a jedynym dostępnym miejscem jest cmentarz katolicki.

Pochówkowi na cmentarzu katolickim sprzeciwił się oczywiście miejscowy proboszcz, parafianie zebrani pod kościołem krzyczeli: *W żadnym razie, nie pozwolimy, pod płot z nim...*[34]. Urzędnik gminny, wsłuchując się w głos ludu, stwierdził, że *Jehowcem był, niech go Jehowcy pochowają.*

Po skardze wdowy po zmarłym Wydział ds. Wyznań w Łodzi, powołując się na obowiązujące przepisy, interweniował w kurii biskupiej, ta zaś poleciła proboszczowi w Zelowie udzielić zgody na pogrzeb. Przewodniczący rady gminnej „w imieniu prezydium" wyraził oficjalnie zgodę na pochówek na cmentarzu katolickim, ale *na niepoświęconym placu, jeśli takowy jest.*

Miejscowy proboszcz poradził rodzinie, aby pogrzeb zorganizowała jak najszybciej i to późnym wieczorem, *bo dwunastego* [kwietnia] *już nie wpuszczę*[35].

Pogrzeb odbył się jednak 12 kwietnia i stał się w Zelowie największym publicznym „spontanicznym" zbiegowiskiem po wojnie. Przed cmentarzem katolickim w samo południe zgromadziło się blisko 500 osób: mężczyźni z fabryki

34 AAN 2/1587/0/7.8/50/904.
35 Tamże.

i przedstawiciele innych zawodów, kobiety, młodzież oraz dzieci, którzy bronili bramy cmentarza jak twierdzy. Na niedużą grupkę świadków Jehowy i trumnę z ciałem Adamskiego poleciały grudy ziemi i kamienie, ktoś zawołał: *Gonić Jehowców, bić to bydło, bić tę ślepotę!*. Zapowiadało się na potężną awanturę i kto wie, jakby się to skończyło, gdyby w porę nie zjawiły się posiłki z powiatowej komendy, bo miejscowi milicjanci nie bardzo kwapili się do interwencji i nie mieli pojęcia, co robić i jak działać w otoczeniu swoich rodzin i znajomych, a czasem własnych dzieci.

Perswazją, groźbami, legitymowaniem i odpychaniem, a wreszcie przy użyciu pałek funkcjonariusze z Łasku rozpędzili awanturników, ratując z opresji rodzinę Adamskiego. W międzyczasie pozostała grupa osób przebywających na cmentarzu *zakopała zwłoki w dole uprzednio przygotowanym przez rodzinę zmarłego*. Milicyjna notatka upamiętniła pięcioro najbardziej aktywnych osób, trzech mężczyzn i dwie kobiety, które na posterunku MO zgodnie skwitowały swą aktywność: *Chcieliśmy jehowcom napędzić strachu, popędzić im kota...*[36].

Tłum zawył...

Mało kto wtedy przypuszczał, że niebawem dojdzie do kolejnego incydentu i że do opanowania sytuacji potrzebne będą zdwojone posiłki z powiatowej komendy MO. Wkrótce zmarł bowiem wspomniany wcześniej Marian Wadlewski i problem zrobił się jeszcze większy. Bo o ile kondukt z ciałem Adamskiego z peryferii Zelowa, tzw. Zelówka, zmierzał prostą i krótką drogą do cmentarza, to w przypadku Wadlewskiego kondukt pogrzebowy, z graniczącego z miasteczkiem Maurycowa, nie miał innej możliwości, jak tylko przejść głównymi ulicami Zelowa, mijając kościół ewangelicki, kaplicę baptystów i na końcu świątynię katolicką. Zapowiadał się, jak wcześniej przewidywał zmarły, prawdziwy armagedon.

Dobrze zapamiętałem apogeum tego armagedonu, bo miało miejsce akurat na ulicy Kilińskiego, na wysokości mojego domu. Kondukt został zaatakowany przez gromadę ludzi, której przewodzili dobrze mi znani sąsiedzi, a szczególną rolę odegrał popularny w miasteczku listonosz, któremu mundur służbowy przydawał znaczenia, czyniąc z niego faktycznego lidera.

Lichutka, z marnego drewna sklecona trumna spadła z jeszcze bardziej mizernego wózka, na którym spoczywała – i ciało „mocarza" wytoczyło się na bruk. Tłum zawył i nie bardzo wiadomo było, jakie miał zamiary wobec zwłok (i tego, być może na szczęście, już się nie dowiemy...)

---

36 Tamże.



Kapliczka „wizjonera" przetrwała armagedon...

Kondukt pogrzebowy dotarł na cmentarz pod osłoną milicji i pomimo protestów Wadlewski został pochowany pod płotem (po latach nie pozostał nawet ślad po skromnym ziemnym nagrobku). Awantura miała ciąg dalszy przed wymiarem sprawiedliwości w Łasku, i pamiętam, a potem doczytałem po latach w milicyjnych zapiskach, skończyła się umiarkowanymi grzywnami dla kilkorga mieszkańców. Listonosz zyskał sławę i najwyraźniej został doceniony na plebanii, bo podczas okazjonalnych procesji wokół kościoła, a w Boże Ciało także po mieście, dostąpił zaszczytu podtrzymywania proboszcza niosącego pod baldachimem monstrancję.

W ogóle to był czas niezwykle ożywionej religijności zelowian. Na fali popaździernikowej odwilży, jeszcze jesienią 1956 roku, w szkole zawodowej krzyż osobiście zawiesił ksiądz Jan. Domagano się powrotu religii do szkół, co wkrótce, gdy władza ugięła się pod powszechnymi żądaniami, zostało spełnione. Rok później w zelowskich szkołach pojawili się księża i lekcje religii, do Szkoły Podstawowej nr 1, która będzie „bohaterem" dalszej opowieści, skierowano księdza Józefa Stanka, co jak potem mówiono, było „darem od Boga". W czerwcowe Boże Ciało, jak za dawnych lat, ruszyła procesja do czterech ołtarzy, usytuowanych po raz pierwszy od wojny poza obrębem kościoła: trzy wzniesiono w Rynku, w tym przed siedzibą urzędu gminnego.

Największe jednak wzmożenie religijne nie zmieniło nawet na przysłowiową jotę przyzwyczajeń klienteli „Gospody ludowej". Łódzki literat Jan Koprowski, który wpadł na parę godzin do miasteczka, ubolewał na łamach łódzkiej prasy nad mizerią życia kulturalnego, konstatując, że największym powodzeniem w Zelowie cieszy się *ochlaj w gospodzie,* i filozoficznie stwierdzając: *No cóż, wódka to narodowy napój Polaków*[37]. Przy białej czystej tematów nie brakowało. Cmentarne awantury szybko poszły w zapomnienie, nadchodziła jeszcze większa i przybrała poniekąd skalę przepowiadanego armagedonu.

37 J. Koprowski, *Zelowskie kłopoty*, „Dziennik Łódzki" 121/1961.

III. Piekielne uderzenie

Koniec świata przepowiadany przez Wadlewskiego dotknął największą fabrykę w Zelowie (obok łódzkich gigantów przemysłowych, uznawana była za chlubę przemysłu bawełnianego) – w kajdankach wyprowadzono dyrektora i dwu jego zastępców, głównego księgowego, kasjerów, inżynierów i majstrów. 17 kwietnia 1957 roku łódzka prasa (a konkretnie organ partyjny komitetu wojewódzkiego PZPR) oficjalnie podała: *Kierownictwo Zelowskiego Zakładu Przemysłu Bawełnianego (ZZPB) aresztowane*. Piekielne uderzenie – tak komentowano zatrzymanie naczelnego dyrektora Stanisława Piekielnego.

No i rozwiązały się ludziom języki, a każdy, jakby przy tym był, opowiadał, kto, gdzie, z kim, i co pił oraz jakie panienki brały udział w biesiadach. To, co było dotąd niewidoczne, wyszło na widok publiczny, a stugębna plotka niosła coraz to nowe rewelacje. W gazetach, poza zdawkowym komunikatem, panował spokój, nie pojawiła się najmniejsza wzmianka. Centrala partyjna akurat w ciszy rozliczała szefów Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, sekretarzy partyjnych i dyrektorów upaństwowionych fabryk, w których dochodziło do „nieprawidłowości". Zelów czekał na swoje pięć minut.

Ukarać aferzystów

17 września 1957 roku w małej salce nr 20 Sądu Wojewódzkiego w Łodzi rozpoczął się proces *grupy malwersantów, rekrutujących się z byłego kierownictwa Zelowskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego*[38]. Na sali widownia złożona wyłącznie z przedstawicieli klasy robotniczej z największych łódzkich zakładów

38 „Głos Robotniczy" nr 17–30, wrzesień 1957.



Z fabryki żyło całe miasto

przemysłu bawełnianego: imienia Marchlewskiego i Strzelczyka, „Wiosny Ludów". Pod salą tłum wnoszący okrzyki: *Ukarać aferzystów!*

Na ławie oskarżonych zasiedli, według kolejności odnotowanej przez partyjny dziennik „Głos Robotniczy": Roman Piętowski – były główny księgowy ZPB w Zelowie (pensja 2170 zł); Bronisław Kapuściński – kierownik sekcji finansowej tych zakładów; Józef Krakowiak – inspektor organizacji pracy i płacy; Stanisław Chęciński – kierownik sekcji zarobków; Wincenty Telążka – kierownik biura oddziałowego; Stanisław Piekielny – były dyrektor ZZPB (pensja 3619 zł); Mieczysław Lorenc – jego pierwszy zastępca i główny inżynier zakładów; Kazimierz Markowski – główny inżynier ruchu; Franciszek Pełka – kierownik produkcji; Marian Janikowski – zastępca głównego księgowego; Kazimierz Wąsowicz – kasjer; Stanisław Dróżdż – zastępca dyrektora do spraw

Jutro do naszego miasta przyjedzie czterech członków delegacji brytyjskiej.

Prof. B. W. Downs jest rektorem jednego z dwóch największych uniwersytetów angielskich — Uniwersytetu w Cambridge i jednocześnie dyrektorem Christ's College. Rektor B. W. Downs od 1950 r. wykłada na Wydziale Filologii Skandynawskiej.

Dr W. Mansfield Cooper - rektor uniwersytetu i prof. prawa przemysłowego i handlowego studiował w Ruskin College w Oxfordzie. Uniwersytet w Manchester, który prowadzi dr Mansfield Cooper jest poza uniwersytetem londyńskim największym z nowoczesnych uniwersytetów angielskich.

Mr F. W. Deakin wykłada historię nowożytną i pełni funkcję dyrektora St. Anthony's College w Oxfordzie

Prof. A. G. Walker jest profesorem matematyki. Na uniwersytecie w Liverpoolu, gdzie wykłada, studiuje ponad 3 tys. młodzieży.

Goście uniwersytetów brytyjskich po przyjeździe do Łodzi złożą wizytę rektorowi

Sprawa zelowska

— *przed sądem*

W dniu wczorajszym, we wczesnych godzinach rannych, sala nr 20 Sądu Wojewódzkiego w Łodzi wypełniła się publicznością.

Już tylko ten fakt jest chyba dostatecznym dowodem, jak wielkie zainteresowanie społeczeństwa — przede wszystkim zelowskiego — towarzyszy procesowi przeciwko grupie malwersantów, rekrutujących się z byłego kierownictwa Zelowskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego.

Rozprawa miała się rozpocząć punktualnie o godzinie 9. Niestety, na przeszkodzie temu stanęła niedyspozycja jednego z obwinionych w tym procesie — Markowskiego, który od dłuższego już czasu przebywał w szpitalu więziennym przy ul. Kraszewskiego.

Dopiero w kilka godzin po wyznaczonym terminie — o godz. 14. na salę wkroczył komplet sędziowski, a miejsca na ławie oskarżonych zajęli: **Roman Piętowski** — b. główny księgowy ZPB w Zelowie, **Bronisław Kapuściński** — kierownik sekcji finansowej tych zakładów, **Józef Krakowiak** — inspektor organizacji pracy i płacy, **Stanisław Chęciński** — kierownik sekcji zarobków, **Wincenty Telążka** — kierownik biura oddziałowego, **Stanisław Piekielny** — b. dyrektor ZZPB, **Mieczysław Lorenc** — jego pierwszy zastępca i główny inżynier zakładów, **Franciszek Pelka** — kierownik produkcji, **Marian Janikowski** — zastępca głównego księgowego, **Kazimierz Markowski** — główny inżynier ruchu, **Kazimierz Wąsowicz** — kasjer, **Stanisław Dróżdż** — zastępca dyrektora do spraw administracyjno - handlowych, **Bolesław Wojciechowski** i **Henryk Mostowski** — referenci podatku od wynagrodzeń Prezydium PRN w Łasku.

Na rozprawę nie przybył jeden z oskarżonych — **Józef Tosik**, który, według oświadczenia złożonego przez jego obrońcę, jest obłożnie chory.

Po dokonaniu wstępnych formalności, przewodniczący kompletu sędziowskiego udzielił głosu oskarżonemu Romanowi Piętowskiemu. Piętowski prosił o odroczenie rozprawy, motywując swoją prośbę tym, iż jego zły stan zdrowia uniemożliwia mu złożenie wyczerpujących zeznań.

Prośbę oskarżonego Romana Piętowskiego poparł zespół obrońców, a przede wszystkim adwokaci: Deczyński i Rudnicki, których zdaniem, niezbędnym warunkiem do kontynuowania rozprawy jest wydanie przez komisję lekarską opinii, iż stan zdrowia oskarżonych Markowskiego, Tosika i Piętowskiego pozwala na prowadzenie przewodu.

Wypowiedzi te spotkały się z ostrą repliką ze strony oskarżyciela publicznego. Ostatecznie jednak sąd po naradzie przychylił się do wniosku obrony i powział decyzję o przełożeniu rozprawy na dzień następny.

POG.



A oto grupa zelowskich malwersantów na ławie oskarżonych..

Pierwsza relacja z procesu

administracyjno-handlowych, Bronisław Wojciechowski i Henryk Mostowski – referenci podatku od wynagrodzeń Prezydium PRN w Łasku[39].

Proces wyznaczony na 9.00 rano rozpoczął się dopiero o 14.00, ponieważ okazało się, że jeden z oskarżonych poczuł się „niedysponowany", ale zamiast

39 Akta sprawy IV K225/58 wybrakowano w 1994 r. Relacja i cytaty na podst. „Głos Robotniczy" nr 17–30, wrzesień 1957.

sprowadzić lekarza, użyto perswazji, przekonując niedysponowanego „rzekomo" delikwenta, żeby przestał symulować, bo nic mu to nie pomoże. I rzeczywiście poskutkowało – perswazja okazała się mocnym orężem ówczesnych organów ścigania i sprawiedliwości.

Oskarżony Józef Tosik był nieobecny, ale usprawiedliwiony *obłożną chorobą*. Z kolei oskarżony Piętowski na samym początku wniósł o odroczenie rozprawy, motywując swoją prośbę tym, iż *jego zły stan zdrowia uniemożliwia mu złożenie wyczerpujących zeznań*. Sąd z uwagą wysłuchał ostrej repliki oskarżyciela publicznego, a następnie, wysłuchawszy obrońców, nie przychylił się do ich prośby o powołanie komisji lekarskiej w celu zbadania stanu zdrowia dwu oskarżonych, ale odroczył rozprawę do dnia następnego.

Zniecierpliwiona publiczność nie wykazała zrozumienia dla decyzji sędziów, okrzyki pod ich adresem świadczyły, że „klasa robotnicza" domaga się rozprawy *ze złodziejami i symulantami i niepatyczkowania się z sitwą*. Być może to zdecydowało, że rozprawę wznowiono już nazajutrz, jednocześnie przenosząc ją do największej sali.

Z aktu oskarżenia wynikało, iż „szajka z Zelowa" w ciągu dwóch lat (1955–1957) dokonywała *systematycznego fałszowania zestawień zbiorczych list płac, dopisując do nich sumy o kilkadziesiąt złotych wyższe od tych, które należało wypłacić pracownikom tytułem robocizny, a następnie dzieliła uzyskane tą drogą nadwyżki między siebie*. Nadwyżki oszacowano na blisko 400 tysięcy złotych – tyle miał stracić skarb państwa.

Ponadto część grupy kierowniczej wykorzystywała okresowe remonty do oszukania wykonawców na blisko 100 tysięcy złotych, wypłacając im mniejsze należności. Natomiast przy pomocy byłych pracowników z Łasku, specjalistów podatkowych *przechwycono część pieniędzy z racji nadpłaconego podatku do wynagrodzeń*.

Według prokuratury oskarżeni, z wyjątkiem m.in. naczelnego dyrektora i głównego inżyniera ruchu, przyznali się do winy. Potwierdził to już pierwszy z przesłuchiwanych, główny księgowy, który odpowiadając na pytanie: „Jak to się zaczęło?", przytoczył rozmowę z naczelnym dyrektorem, w której Piekielny miał zwrócić się do niego z propozycją *zorganizowania trochę pieniędzy*. Piętowski przyznał, że sugestię pojął i *po zorganizowaniu się*, co polegało na wciągnięciu do współpracy kilku innych odpowiednich ludzi *przystąpiono do pracy*. *Nikt nie protestował?* – dociekał sąd. *Nie, przekonywał argument, że jest to robione w porozumieniu z dyrekcją zakładu*. Potem – jak mówił główny księgowy – przyzwyczajono się, że dyrektorowi trzeba *odpalić dolę*.

Z opisanego mechanizmu wynikało, że każdy *pracował na swoim polu, niszcząc ślady przestępstw*. Główny księgowy, który swój zysk oszacował na około

80 tysięcy złotych, stwierdził, że w fabryce od lat *permanentnie dokonywano fałszowania wskaźnika wykonania produkcji, uzyskując w ten sposób wysokie premie za przekroczenie planu.*

Pieniądze same pchały się do rąk...

Najbliżej z głównym księgowym współpracujący kierownik sekcji finansowej Bronisław Kapuściński przyznał, że *trzy razy sfałszował zbiorcze zestawienia list płac* i w dwóch przypadkach przyjął pieniądze uzyskane z nadpłaconego podatku – w sumie około 70 tysięcy złotych. Inspektor organizacji pracy i płacy Krakowiak zarobił około 40 tysięcy złotych, a z kierownikiem sekcji płac Chęcińskim i kierownikiem biura oddziałowego Telążką (bez wiedzy pozostałych) dalsze 50 tysięcy.

Po raz pierwszy widownia się ożywiła, gdy zaczął zeznawać były dyrektor Stanisław Piekielny. Do Zelowa „przywieziony w teczce", przygotowany do pełnienia stanowiska na tzw. kursie tysiąca, otwierającym szeroką drogę do awansu *dla robotników i przodowników pracy zawodowej i społecznej wysuniętych do awansowania i na kierownicze stanowiska w przemyśle lekkim.*

Piekielny zaprzeczył rewelacjom głównego księgowego, jakoby to on zainspirował proceder, i wyjaśnił: *Moje wykształcenie, trzy klasy szkoły podstawowej i kursy przygotowawcze, w których brałem udział pod presją centralnego zarządu, nie pozwalały mi na kontrolowanie poczynań moich podwładnych. Darzyłem ich zaufaniem, wszystkie przedkładane mi dokumenty podpisywałem automatycznie, była to zwykła formalność, do której nie przywiązywałem żadnej wagi.*

Czy podpisywał sfałszowane listy płac? *Mogłem podpisywać, ale czyniłem to nieświadomie, a poza tym zawsze podpisywałem po rachmistrzu i głównym księgowym. Nie sprawdzałem, bo im wierzyłem.*

Czy dostawał od podwładnych jakieś pieniądze? *Czasem dostawałem w kopercie jakieś pieniądze, ale to były pożyczki. Pożyczano mi chętnie pieniądze, chociaż nie prosiłem.*

Czy oddawał? *Nie, bo nikt się nie upominał o zwrot.*

W czasie kilkudniowego procesu dyrektor Piekielny nie zdradzał szczególnego niepokoju – relacjonowali sprawozdawcy – sprawiał wrażenie jakby nieobecnego, zatopionego w swoich myślach. Raz tylko uniósł się nagle z ławy, gdy główny inżynier ruchu Markowski powiedział, że Piekielny *niekiedy odmawiał przyjęcia koperty, gdy było w niej za mało pieniędzy.* Oświadczył wtedy: *To nieprawda, akurat od Markowskiego nie brałem żadnych pieniędzy...*

Mieczysław Lorenc – pierwszy zastępca dyrektora i główny inżynier zakładów nie bronił się przed zarzutami i z rozbrajającą szczerością wyjawił: *Początek*

wszystkiemu dały duże pieniądze, które Centrala dała na szkolenie. A szkolenia to była właściwie fikcja. Pieniądze same pchały się do rąk...

Z tych zeznań wynikało, że droga do nielegalnych pieniędzy otworzyła się już w 1953 roku.

Każdy coś uszczknął dla siebie

Po raz drugi zawrzało, gdy oskarżeni (m.in. księgowy Piętowski, wicedyrektor Loranc), a także świadek Lang na pytanie, na co szły pieniądze, odpowiadali spontanicznie: *Na wódkę...*

Bez wątpienia wódka łączyła większość zaangażowanych w proceder „wypracowywania nadwyżek", ale też dzieliła, w zależności od wewnętrznych układów. Pijący w gabinecie dyrektora lub w jego służbowym mieszkaniu tworzyli krąg, coś w rodzaju przestępczej elity, i nie wahali się przed oszukiwaniem nawet „współpracujących". Ci spoza tej wąskiej elity w poczuciu bezkarności dokonywali drobnych oszustw już na własne konto lub w duetach. Efektem tego były zaskakujące wolty podczas zeznań, gdy jedni obciążali drugich. W każdym razie mechanizm oszustwa ujawniony podczas procesu wydawał się niebywale prosty, wręcz prostacki, i wielu dziwiło się, że trwało to tak długo. Nie brakowało domysłów, że ktoś ich chronił. Kto?

Jednym z tropów były wyjazdy fabrycznych urzędników do Zjednoczenia w Łodzi „z bilansem", co miesiąc lub co kwartał. Za każdym razem, co nie było szczególną tajemnicą w fabrycznym „biurowcu", delegowany urzędnik, zwykle z księgowości, był dobrze zaopatrywany w załączniki – najczęściej miejscowe wyroby wędliniarskie, ze słynną zelowską kaszanką na czele, i rzecz jasna, w dobry trunek. Czy tylko tym płacono za przychylność w Zjednoczeniu?

Spekulacje te zostały potwierdzone przez zeznania głównego inżyniera ruchu Lorenca, który powiedział, że na początku 1957 roku zwrócił się do Zjednoczenia Przemysłu Bawełnianego, ujawniając wszystkie istniejące powiązania i nadużycia w zelowskich ZPB. *Nie było żadnej reakcji* – stwierdził.

Czterdziestu świadków, niemal sami pracownicy działów księgowych, produkcji i zaopatrzenia, niewiele wniosło do sprawy. Trudno było pozbyć się wrażenia, iż nie tylko byli dobrze zorientowani w procesie „wygospodarowywania nadwyżek", ale nieraz, działając jakby na obrzeżach szajki aferzystów, sami coś tam uszczknęli dla siebie. Otrzymywali też „podarunki". Jeden ze świadków wręcz zeznał, że dostał pieniądze od jednego z głównych oskarżonych „za nic". Dlaczego nie objęto ich aktem oskarżenia? *To były płotki, poza tym coś tam powiedzieli śledczym, więc im dano spokój* – komentowano potem w gospodzie.

Drugi dzień rozprawy
przeciwko aferzystom z Zelowa

Projektował Piekielny, wykonywał Piętowski...

**Wczoraj o godzinie 10 Sąd Wojewódzki w Łodzi wznowił rozpra-
przeciwko grupie malwersantów z Zelowskich Zakładów Prze-
mysłu Bawełnianego. Jednak nie odbywa się już ona w małej sal-
nr 20. Ze względu na olbrzymie zainteresowanie publiczności, zo-
stała przeniesiona do największej z sal gmachu przy pl. Dąbrow-
skiego.**

W drugim dniu rozprawy wzięli udział wszyscy oskarżeni, bo-
wiem przeprowadzone na wniosek obrony, badanie przez komisję le-
karską wykazało, iż zarówno Jó-
zef Tosik, jak i doprowadzony ze szpitala więziennego Kazimierz Markowski, zdolni są do składania wyczerpujących zeznań.

Po tym oświadczeniu przewodniczący sądu odczytał akt oskarżenia. Zarzuca on między innymi członkom b. kierownictwa Zakładów Przemysłu Bawełnianego w Zelowie, iż na przestrzeni lat 1953—1956, dokonywali systematycznego fałszowania zestawień robotniczych list płac, dopisując do nich sumy o kilkadziesiąt złotych wyższe od tych, które należało wypłacić pracownikom ZZPB tytułem robocizny, a następnie dzielili uzyskane tą drogą nadwyżki między siebie.

Działając w ten sposób, narazili skarb państwa na straty sięgające ... tys. zł.

Ponadto oskarżeni Piekielny, ...owski, Kapuściński, Pełka oraz Kazimierz Markowski, od września do grudnia ub. roku, wykorzystując prowadzony w tych miesiącach remont fabrycznych krosien przez pracowników ZZPB, wypłacili wykonawcom tej pracy mniejsze należności, zagarniając do swoich kieszeni resztę, w postaci 97 tys. zł.

Przy pomocy b. pracowników Prezydium PRN w Łasku, Henryka Mostowskiego i Bolesława Wojciechowskiego, szajka malwersantów przechwyciła także część pieniędzy zwracanych w ubiegłym roku robotnikom zelowskiej fabryki z racji nadpłaconego podatku od wynagrodzeń.

Wszyscy oskarżeni, z wyjątkiem Piekielnego, Pełki, Markowskiego, Janikowskiego, Mostowskiego i Wojciechowskiego, potwierdzili niemal w całości fakty zawarte w akcie oskarżenia i przyznali się do winy.

Po krótkiej przerwie przewodniczący sądu wznowił obrady, udzielając głosu, dla złożenia wyjaśnień, oskarżonemu Romanowi Piętowskiemu.

Ujawnił on szczegółowo wszystkie machlojki zelowskiej szajki.

Stwierdził, iż już w czerwcu 1953 roku Piekielny zwrócił się do niego z zapytaniem, „czy nie należałoby zorganizować trochę pieniędzy".

Piętowski przyjął jego propozycję i wciągnął do „współpracy" Kapuścińskiego i Krakowskiego, którzy, będąc kierownikami sekcji zarobków i organizacji pracy i płacy, mogli w odpowiedni sposób zatuszować dokonywane nadużycia.

„Po zorganizowaniu się — jak mówi oskarżony — przystąpiono do pracy".

Ustalono więc wspólnie „koncepcję" oszukańczych machlojek przyjmując, że najwygodniejsze będzie zafałszowanie zbiorczych zestawień list płac.

Jeden tylko Piętowski, fałszując zbiorcze zestawienia zarobków, „zarobił" na tej operacji blisko 80 tysięcy złotych.

Roman Piętowski omówił także w swoich zeznaniach stosunki panujące wewnątrz zelowskiej „sitwy". Można na podstawie tych zeznań powiedzieć tylko jedno. Każdy z członków szajki pracował na swoim polu, niszcząc ślady przestępstw kompanów na powierzonym mu stanowisku.

Wczorajsze zeznania oskarżonego Piętowskiego wniosły poza tym cały szereg innych faktów i rewelacji. Między innymi powiedział on, iż w zelowskich zakładach na przestrzeni kilku już lat permanentnie dokonywano fałszowania wskaźnika wykonania produkcji, uzyskując w ten oszukańczy sposób wysokie premie za przekroczenie planu.

Rozprawa przeciwko zelowskiej szajce trwa.



... i transmisyjne, ... przeciwpożarowe węże hy-

W procesie aferzystów z Zelowa
złożyli zeznania ostatni świadkowie

Myszy zjadły dokumenty..

Wczorajszy dzień rozprawy przeciwko zelowskiej szajce aferzystów przyniósł zeznania ostatnich świadków.

Niemal wszyscy oni potwierdzili zarzuty wysuwane przeciwko oskarżonym i szczegółowo opowiedzieli sądowi o machinacjach, które były dokonywane w Zelowskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego.

I tak świadek Leon Lang — kierownik planowania ZZPB — zeznał, iż w roku 1956 procent wykonania planu rocznej produkcji zelowskich zakładów został sfałszowany, podany Centralnemu Zarządowi Przemysłu Bawełnianego wskaźnik 110 proc. nie odpowiadał prawdzie.

Świadek dodał, że tego sztucznego podwyższenia wskaźnika wykonania planu dokonał na polecenie kierownika produkcji ZZPB — Pełki oraz głównego inżyniera — Lorenca. Świadek wyjaśnił także, **dlaczego inspektorzy prowadzący dochodzenie w Zelowskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego mieli tak duże trudności z ustaleniem rzeczywistej wielkości produkcji.**

Musiało się tak stać, bowiem duża część dokumentów była w taki sposób „zabezpieczona", że zjadły ją myszy...

Odpowiadając na pytanie przewodniczącego z kompletu sędziowskiego — czy kiedykolwiek pobierał jakieś pieniądze od członków b. kierownictwa zelowskich zakładów za remonty krochmalarki lub farbiarni, Leon Lang stwierdził, iż nigdy żadnych sum z tego tytułu nie otrzymał.

Wobec tego sędzia Goździcki pokazał świadkowi listę wypłat za pracę przy krochmalarce, na której przy nazwisku Leona Langa figuruje suma 840 zł. Jej odbiór pokwitował oskarżony Pełka.

W procesie przeciwko zelowskim malwersantom bardzo często wychodzi na światło dzienne sprawa pobierania łapówek za przyjęci... zgłaszanych przez członków zał... gi ZZPB wniosków racjonalizato... skich.

Miało to także miejsce wczora... gdy świadek Leon Lang ujawni... iż z nagrody otrzymanej za opra... cowany przez siebie pomysł racjo... nalizatorski w kwocie 2.300 zł ... tysiąc „musiał — jak mówi — od... dać do podziału b. dyrekc... ZZPB".

To zeznanie świadka spotka... się z protestem oskarżonego Pi... kielnego, wobec czego sąd zarzą... dził konfrontację, w której Leo... Lang jeszcze raz potwierdził sw... je zeznania.

Leon Lang powiedział także s... dowi o tym, w jaki sposób człon... kowie b. kierownictwa zelowskic... zakładów „spędzali" czas woln... od pracy. Świadek stwierdził, ... częste były takie tygodnie, w kt... rych po 4 i 5 razy w pokoju za... mowanym przez Piekielnego od... bywały się libacje, suto zakrapia... ne wódką.

Potwierdził to oświadczenie Leo... na Langa oskarżony Piętowsk... dodając, że pito alkoho... także w fabryce, w normalnyc... godzinach pracy.

Następnie wyjaśnienia składa... świadkowie: Pieńkowski i Koło... dziejski.

Obaj zgodnie orzekli, iż kwo... umieszczonych przy ich nazwis... kach na listach płac za wykonan... w zakładach zelowskich remont... i urządzenie szkółki tkackiej ni... otrzymali, a „swoje" podpisy n... nich uważają za sfałszowane.

Zeznania pozostałych świadkó... — **Szymorek, Knap, Przygody... Ochockiego, nie wniosły do spra... wy nadużyć w Zelowie żadnyc... nowych momentów.**

Wobec wyczerpania się list... świadków, sąd postanowił prze... wać rozprawę i odroczyć proce... do dnia 30 bm.

PCG.

...rzuiu 20 Kroiowej
— 250.000 zł
... na nr 76534

Efektowne nagłówki w lokalnej prasie

Łatwo też było przewidzieć, w jakim kierunku pójdą mowy oskarżycieli. Kładli akcent na *kierownictwo socjalistycznego przedsiębiorstwa, któremu władza ludowa zleciła strzec społecznego mienia*, a oni tego zaufania nadużyli i w *perfidny sposób rozkradali powierzone im dobra*. Za mózg całej szajki prokuratorzy *uznali głównego księgowego, ale najwięcej miejsca poświęcili dyrektorowi*

WYROK, który jest przestrogą

⊙ Dalszy ciąg ze str. 1

Sąd skazał: Mieczysława Lorenca (byłego naczelnego inżyniera) na karę 13 lat więzienia i utratę praw publicznych i obywatelskich na lat 10, **Stanisława Piekielnego** (b. dyrektora naczelnego zakładów) na 12 lat więzienia i pozbawienie praw publicznych i obywatelskich na 10 lat, **Bronisława Kapuścińskiego** (b. kierownika sekcji finansowej) na 12 lat więzienia oraz utratę praw publicznych i honorowych na lat 10, **Romana Piętowskiego** (b. zastępcę głównego księgowego) na 11 lat więzienia i utratę praw publicznych i honorowych na lat ZZPB) na 3 lata więzienia, **Stanisława Drożdża** (b. zastępcę dyr. do spraw admin.-handlowych) na 2 lata więzienia oraz **Henryka Mostowskiego** (inspektora podatku przy Prezydium PRN w Łasku) na 1 rok i 6 miesięcy więzienia oraz utratę praw obywatelskich na 2 lata.

Sąd postanowił uniewinnić: Kazimierza Wąsowicza (kasjera ZZPB) oraz Bolesława Wojciechowskiego (inspektora remontów Centralnego Zarządu Przemysłu Bawełnianego).

POG.

Wyrok, który jest przestrogą

Na kary wieloletniego więzienia skazano aferzystów z Zelowa

W sobotę, w godzinach wieczornych, Sąd Wojewódzki w Łodzi ogłosił wyrok w sprawie grupy przestępców rekrutujących się spośród byłego kierownictwa Zelowskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego.

Dyrektora Piekielnego skazano na 12 lat więzienia

Piekielnemu: – Mógł być w Zelowie niejako „pierwszym po Bogu". Mógł przez odpowiednie wykorzystanie funduszów, którymi dysponował zelowski zakład, rozruszać to zacofane kulturalnie miasteczko. Tymczasem człowiek, który wszystko zawdzięczał władzy ludowej, która postawiła go na tak odpowiedzialnym stanowisku, zawiódł na całej linii, stał się inicjatorem „zrobienia pieniędzy" – akcentowali oskarżyciele w togach z czerwonymi wypustkami[40].

40 Z. Chyliński, *Proces przeciwko miastu*, „Głos Robotniczy" nr 9–15, styczeń 1958.

Prokuratorzy wnieśli o surowe wyroki dla głównego księgowego Piętowskiego i kierownika sekcji finansowej Kapuścińskiego – po 15 lat pozbawienia wolności; dla kilku innych decydentów, w tym naczelnego dyrektora Piekielnego – po 10 lat więzienia, dla pozostałych – od 2 do 7 lat więzienia.

Z mów obrończych przebił się fragment dotyczący księgowego: *Piętowski jako jedyny przyznał się szczerze i ujawniając cały mechanizm funkcjonowania szajki aferzystów, ułatwił sądowi ustalenie obiektywnej prawdy* – dowodził jego adwokat.

Dyrektor Piekielny w ostatnim słowie prosił o uniewinnienie, Piętowski o łagodny wymiar kary, kierownik sekcji zarobków o zawieszenie wyroku ze względu na trudną sytuację jego najbliższej rodziny, pozostali zdali się na „wyrozumiałość sądu".

Wyrok ogłoszono 29 września późnym wieczorem przy wypełnionej sali. Zaskoczenia były, ale nie z powodu wysokości orzeczonych kar, ale przede wszystkim „lokaty" dyrektora Piekielnego, którego robotnicza widownia uważała za najważniejszego na ławie oskarżonych – był dopiero drugi, z wyrokiem 12 lat więzienia; dostał tyle samo co kierownik sekcji finansowej. Na 13 lat skazano naczelnego inżyniera, choć w czasie procesu jakby pozostawał w cieniu; główny księgowy, być może dzięki rozległym wyjaśnieniom i jak się wydaje faktycznej szczerości, został skazany tylko na 11 lat, co wywołało na sali pomruki niezadowolenia. Pozostałym wymierzono kary od 2 do 9 lat, półtora roku więzienia dostał powiatowy inspektor ds. podatku, inspektora z Centralnego Zarządu Przemysłu Bawełnianego uniewinniono[41].

Znany ówczesny socjolog i badacz klasy robotniczej prof. Jan Szczepański nazwał potem tę sprawę tzw. białych kołnierzyków *pierwszą tego typu aferą gospodarczą po wojnie w państwie ludowym.*

Partia przejmuje się

W prasie lokalnej nie komentowano sprawy ani wyroku, warszawska reporterka na łamach „Prawa i Życia" w artykule *Panowie na Zelowie* skoncentrowała się na *niewyczerpanej pomysłowości kanciarskiej szajki*, a jednocześnie *prymitywnej, rzucającej się w oczy, metodzie oszukiwania szeregowych pracowników.* I na miasteczku, w którym wiedziano i szeptano o alkoholowych libacjach, pijackich ekscesach, ale bano się mówić, bo *fabryka jedna, a bez pracy ciężko.* Dziennikarka doszła do jakże odkrywczego wniosku, że sprawa zaczęła się, gdy do miejscowej

41 Tamże.

PANOWIE NA ZELOWIE

Barbara Seidler

SĄD wymierzył w procesie zelowskim następujące kary: Lorenc — 13 lat, Piekielny — 13 lat, Kapuściński — 12 lat, Piętowski — 11 lat, Pełka — 10 lat, Markowski — 9 lat, Krakowski — 7 lat, Chęciński — 6 lat, Telążka — 6 lat, Janikowski — 5 lat, Drożdż — 2 lata, Mostowski 1 rok i 6 miesięcy.

★

Epilog sprawy rozegrał się przed Sądem Wojewódzkim w Łodzi w ostatnich dniach września i w pierwszych dniach października. Wszystko to, co poprzedziło jeden z najciekawszych procesów w ostatnim okresie, działo się w Zelowie — małej mieścinie powiecie łaskim. W tej niewielkiej osadzie awansowanej do rangi miasteczka mieszka siedem i pół tysiąca osób i śmiało można powiedzieć, że wszyscy mieszkańcy żyją tu z jednej dużej fabryki włókienniczej. Pełna nazwa tej fabryki brzmi: Zelowskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego. Pracuje w tych zakładach 3 tysiące osób, a reszta mieszkańców żyje z fabryki nieoficjalnie.

W małych parterowych domkach cały dzień pracują krosna. Jest ich 400. Ich właściciele, chałupnicy, pracują pod szyldem dwóch spółdzielni. Skąd biorą surowiec, nie trudno się domyślić. Za jedno tylko półrocze w Zelowskich Zakładach braki przędzy wynoszą 30 tys. kg na skromną sumę 3 mln. zł. W takiej to atmosferze małego miasteczka, bez kina, za to z knajpą na pryncypalnej ulicy, zrodziło się przestępstwo.

W takim małym miasteczku dyrektor jedynej fabryki jest półbogiem. Może wymówić pracę — a przecież drugiej fabryki nie ma, do Łodzi daleko, a zresztą miasto wojewódzkie ma swoich bezrobotnych, gdzieżby tam miało zaprzątać sobie głowę zelowskimi ludźmi. Dlatego to właśnie dyr. Piekielny był prawdziwym „panem na Zelowie". Dlatego szajka, która za jego czynną aprobatą działać zaczęła w fabryce, mogła dwa lata bezkarnie popełniać coraz to nowe, najordynarniejsze oszustwa.

A w ogóle, rzecz się miała tak:

W roku 1955 naczelny dyrektor zelowskiej fabryki wezwał do siebie głównego księgowego Piętowskiego i powiedział mu po przyjacielsku: — Piętosiu, warto by coś zrobić.

Chodziło oczywiście o to, żeby „jakoś zrobić pieniądze". I nie raz „zrobić", a zastanowić się nad tym, jak można by winni interesować się listami płac, sami zaczęli z ich fałszowania czerpać zyski.

Był jeszcze zastępca głównego księgowego Janikowski. Ten nie kontrolował list płacy pod względem merytorycznym i formalno-rachunkowym i jego zaniedbania stworzyły warunki i możliwości do systematycznego popełniania przestępstw.

Pod koniec roku 1956 skorumpowanej dyrekcji nadarzyła się nie byle jaka gratka osiągnięcia nowych zysków. W fabryce trzeba było przerobić 56 krosien z płaskich na rewolwerowe. Zakłady otrzymały na ten cel sumę 200 tys. zł z Centralnego Zarządu z Łodzi. Prace te miały wykonać brygady remontowe. Zakłady sporządziły kosztorys remontu. Ustaliły go na 3909,98 zł od krosna. Po czym główny inżynier Markowski zwołał załogę i powiedział mniej więcej tak: „Chcecie trochę zarobić?" Oczywiście chcieli. „A więc przeróbcie te krosna. Właściwie, no cóż, możecie robić w normalnych godzinach pracy. No, chyba że wypadłoby trochę zostać po fajrancie... Dostaniecie po 500 zł od krosna. Zgoda?". Zgodzili się. Skądże mogli wiedzieć, że na remont każdego krosna przyznano blisko 4 tys. zł.

A jak wyglądała technika tego przestępstwa, które wyciągało pieniądze już bezpośrednio z kieszeni robotników? Technika była niesłychanie prosta. Zmienione były tylko sumy wpisane w rubrykach „potrącenia" i „do wypłaty". Jak wiadomo, na liście płacy te dwie rubryki sąsiadują ze sobą, zaś obok rubryki „do wypłaty" jest miejsce na podpis pobierającego pieniądze. Wystarczyło więc zwyczajnie dłonią lub jakimś arkuszem papieru na liście wypłat przykryć pozostałe rubryki. I robotnicy podpisywali. Jednym nie przyszło nawet do głowy, aby zajrzeć, co za sumy ukryte są pod zasłoną, inni po prostu bali się zgłosić jakikolwiek sprzeciw. Przecież tak łatwo było powiedzieć: „Nie podoba się? No to jazda". Majster Tosik zasiadł później na ławie oskarżonych m. in. pod zarzutem tego, że ręką przesłaniał sumy wpisane w rubrykę „potrącenia". Widziałam wśród dowodów sądowych te listy. Ordynarne fałszerstwo rzucało się natychmiast w oczy nawet takiemu laikowi w sprawach księgowości, jak mnie.

W stan oskarżenia oprócz wyżej wymienionych postawiony był także Wąsowicz, kasjer z fabryki, i Wojciechowski, inspektor z Centralnego Zarządu Przemysłu Bawełnianego w Łodzi. Tych dwóch ostatnich sąd uniewinnił, gdyż okazało się, że pierwszy z nich jest człowiekiem uczciwym lecz zastraszonym, który musiał wypłacać pieniądze z kasy wprost na ręce działającej kliki pod groźbą usunięcia go z pracy. Stary kasjer bał się o posadę, o kawałek chleba dla swojej rodziny i pieniądze wypłacał. Wojciechowskiemu natomiast nie udowodniono, aby brał jakieś pieniądze z racji tego, że był obowiązany do dopilnowania remontu krosien w Zelowie.

✦

Próbowałam w czasie trwania procesu, na sali sądowej i poza nią, znaleźć odpowiedź na pytanie: jak to było możliwe, żeby ta liczna, działająca na przestrzeni blisko dwóch lat grupa potrafiła bezkarnie przywłaszczać sobie pieniądze czasem nawet w najprymitywniejszy, rzucający się w oczy sposób? Szukałam odpowiedzi na pytanie: czy robotnicy nic nie podejrzewali i czy Centralny Zarząd nie był w tej sprawie bez winy? Co robiła istniejąca i działająca w tej fabryce Rada Robotnicza?

Z zeznań świadków wynika, że robotnicy nie lubili bardzo swego dyrektora, że mieli wiele pretensji do poszczególnych oskarżonych. Mówili o tym, że np. dyrektor Piekielny nie zawahał się wziąć z kasy zapomogowo-pożyczkowej 300-złotową zapomogę bezzwrotną! Kierownik produkcji Pełka potrafił wziąć od racjonalizatora haracz za zgłoszenie usprawnienia. Mówiło się powszechnie o tym na terenie fabryki i w Zelowie, że z dyrekcją lepiej nie zaczynać, że tam, wśród nich ręka rękę myje. Miejscowej milicji znane były libacje i alkoholowe zapędy panów na Zelowie. Ale ludzie bali się mówić. Fabryka w miasteczku jedna, a bez pracy ciężko.

Nie do wszystkich oskarżonych był jednak taki sam stosunek robotników zelowskich. Np. Markowskiego bardzo bronili. Mówili na rozprawie: „Lubiliśmy go, dawał ludziom zarobić. No, a że sam przy tym skorzystał, to nie nasza sprawa", że gdyby nie inżynier, to może by i tych paru tysięcy nie zarobili.

Rada Robotnicza? Ano właśnie! Markowski był jej przewodniczącym. Wybrany przez wszystkich pracowników w tajnym głosowaniu. Więc cóż się teraz dziwić, że Rada Robotnicza z boku przyglądała się temu, co działo się w fabryce, że starała się o tym nie wiedzieć?

Ale niektórzy jednak szemrali. Byli niezadowoleni, skrzywdzeni. I jednocześnie zastraszeni. Cóż mieli robić?

Aż wreszcie zdobyli się na odwagę, przezwyciężyli mały strach biednych ludzi i napisali anonim do milicji. Najpierw jeden, potem drugi i trzeci. W ten sposób — po tych anonimach — wszczęto dochodzenie. Dochodzenie, które ujawniło, że spółka ta sprzeniewierzyła na szkodę Zelowa blisko 700 tys. zł.

Dyrektor Oddziału Narodowego Banku Polskiego w Łasku powiedział: „W 1956 roku wyciągnięto z banku na płace 296 tys. zł więcej niż się należało. Mimo to pozostało jeszcze w banku 140 tys. zł nie wykorzystanych. Ten rozdęty fundusz płac przy jednoczesnym zupełnym braku kontroli pozwolił na tak długie bezkarne działanie spółki".

Niewątpliwie źródeł powstania tego przestępstwa należałoby szukać głębiej. I w schematyzmie polityki kadrowej ubiegłego okresu, i w absolutnym puszczeniu samopas człowieka awansowanego, nie przygotowanego do pełnienia funkcji dyrektorskich. Przede wszystkim zaś przyczyn tego stanu rzeczy należy szukać w braku kontroli. Dyrektor oddziału banku powiedział, że do kontroli kilkunastu zakładów z terenu powiatu łaskiego ma tylko dwóch inspektorów, a każdy zakład sporządza kilka list płacy miesięcznie. Centralny Zarząd Przemysłu Bawełnianego również nie przeprowadzał dogłębnych kontroli w Zelowie, z czego jest mu się dość ciężko wytłumaczyć, no a urzędnik Prez. PRN zasiadł wraz z dyrekcją fabryki na ławie oskarżonych. Pierwsza prawdziwa kontrola Ministerstwa Kontroli Państwowej, trwająca półtora miesiąca, odbyła się dopiero w czasie przeprowadzania dochodzenia.

O „moralności" oskarżonych w świetle przytoczonych faktów trudno tu nawet mówić. Na co wydawali pieniądze? Różnie. Telążka np. powiedział sądowi, że na wódkę — część przepił w Zelowie, a część w Łodzi, z kolegami.

✦

Fragment artykułu *Panowie na Zelowie*

milicji napłynęły donosy na „sitwę", anonimowe oczywiście. To banalne stwierdzenie wynikało być może z tego, że jak wspomniano, redaktor Seidler do Zelowa się jednak nie pofatygowała, wystarczyły akta sprawy, do których dostęp mieli tylko nieliczni bardzo „uprzywilejowani" dziennikarze (po latach wobec stołecznej reporterki pojawiły się publiczne oskarżenia o współpracę z bezpieką).

Na łamach prasy partyjnej natomiast niemal codziennie odnotowywano, jak przewodząca klasie robotniczej partia „przejmuje się" szerzącymi się nadużyciami gospodarczymi w państwowych zakładach pracy. Zastanawiano się, dlaczego aktyw partyjny i sami członkowie partii nie reagują w porę na przypadki kradzieży i malwersacji. *Jeśli zdarzy się nawet taki wypadek, to zwykle dotyczy on „płotki" naszego podziemia gospodarczego. A może „karpi" w ogóle nie ma? Niestety, są* – dywagował znany łódzki publicysta Piotr Goszczyński[42]. Pisał

42 Goszczyński P., „Głos Robotniczy", 5.10.1957.

o znieczulicy i fałszywie pojętym liberalizmie i tolerancji oraz wzywał, zgodnie z duchem zarządzonej odgórnie akcji propagandowej, *do wytworzenia atmosfery potępienia i walki ze złem*.

Najwyższe instancje partyjne przyjmowały stosowne uchwały apelujące *do uwolnienia partii od ludzi zdemoralizowanych, przypadkowych i biernych*, niższe instancje opracowywały plany, powoływały komisje i zespoły do walki z nadużyciami i korupcją, kierowały aktyw do pomocy komitetom powiatowym i miejskim oraz niektórym podstawowym organizacjom partyjnym. Taki zespół dotarł też do zelowskich zakładów przemysłu bawełnianego, choć nie bardzo rozumiano, w jakim celu ich przysłano - mieli wyczyścić teren czy pozacierać resztę śladów?

Niespodziewany gość

Tymczasem w „Gospodzie ludowej" w Zelowie nikt nie interesował się partyjną ofensywą. Tematem numer jeden od paru tygodni była niespodziewana wizyta Józefa Jersaka, przedwojennego właściciela największej zelowskiej fabryki, która po nacjonalizacji stała się Centralą ZZPB. W czasie okupacji przejęta przez Niemców, którzy zorganizowali w niej obóz pracy, po wojnie upaństwowiona, tworzyła główną część włókienniczego giganta (w jego skład wchodziły jeszcze dwie pomniejsze tkalnie). Jersak, Czech z pochodzenia, zrobił wrażenie na zelowianach, gdy na miejscowym cmentarzu żegnał swojego przedwojennego pracownika, zwykłego tkacza. Znakomicie wykorzystał okazję do przypomnienia swoich zasług dla mieszkańców - obiecywał, że jak odzyska fabrykę, to zatrudni przede wszystkim byłych pracowników i ich rodziny, i że *zarabiać będą lepiej niż w komunistycznym kołchozie*[43].

Entuzjazm był tak wielki, że nikt nie wspominał, ile krzywdy doświadczono od niego przed wojną, że oszukiwał, że nie płacił na czas i nagminnie stosował „obrywki", czyli potrącał z zarobków z byle powodu. Ani tego, że przez niego wybuchały strajki, że przez ciągłe angażowanie sił policyjnych do obrony fabryki i ochrony własnej osoby tak dalece zaognił stosunki społeczne w Zelowie, iż na wniosek starosty powiatowego władze zesłały go na jakiś czas do Berezy Kartuskiej. Nie cytowano przedwojennej prasy, w której o Jersaku pisano, że *to był prawdziwy korsarz, żerujący na niedoli robotniczej*[44]. I nie puszczano w obieg plotek, że w czasie wojny miał kolaborować

43 Notatka z rozmowy z Krzysztofem C., 2015.
44 *Metody wyzysku w Zelowie*, „Głos Poranny", 11.12.1937.

z Niemcami, a nawet że widywano go w mundurze żandarma SA (oddziałów szturmowych NSDAP) –co akurat nie było prawdą.

Przypominano za to przedwojenne zasługi Jersaka: założył „Strzelca" (organizację miejscowych kombatantów) i tuż przed wojną ufundował samolot dla wojska. Wielu cieszyło się, że teraz *odbierze fabrykę, przegoni partyjnych i klikę rządzącą miastem*. Na murze państwowego zakładu ktoś nabazgrał „stalinowcy" i wymienił pięć kluczowych dla Zelowa nazwisk, a poniżej dużymi literami napisał „POWIESIĆ!", co natychmiast stało się powodem najazdu ubeków i milicjantów z powiatowego Łasku i z samej Łodzi.

Z dokumentów ubeckich wynikało, że były właściciel został dokładnie obstawiony przez „oczy i uszy" bezpieki, której szczegółowe relacje docierały na biurka ważnych oficjeli w Łodzi, a nawet w Warszawie. Po kilku dniach intensywnych peregrynacji byłego fabrykanta Jersaka odstawiono pod eskortą do Łodzi i skutecznie wyperswadowano mu dalszy pobyt w Polsce[45]. Nigdy się już w tych stronach nie pojawił, ale w knajpie niektórzy wciąż go wspominali, a nawet opowiadano, że odwiedzających go w Pradze zelowian zapewniał wciąż o swoim rychłym powrocie. Ludzie długo w to wierzyli, szczególnie Czesi, przed laty sprawujący ważne funkcje w jego manufakturze, po wojnie pozbawieni wyróżniających posad.

Sitwa numer dwa

Drugim wiodącym tematem w gospodzie była wspominana tu już „klika rządząca miastem". Gdy ta fabryczna została zlikwidowana – choć narzekano, że nie cała – to na niej skupiła się uwaga knajpianej klienteli. O ile fabryczna sitwa spożywała trunki raczej w odosobnieniu, rzadko angażując skromny personel gospody, to ta druga, składająca się głównie z urzędników gminnych i spółdzielczych, korzystała z alkoholowej „izby refleksji" aż nadto. Do tego stopnia, że znajdujące się na końcu lokalu nieduże pomieszczenie, zostało najpierw przeznaczone dla specjalnych gości, a za jakiś czas potężna, gruba kotara zupełnie przesłoniła biesiadujących tam ludzi z lokalnego wyższego sortu. Brylowali w tym towarzystwie przewodniczący gminnej rady (odpowiednik dzisiejszego burmistrza), dyrektorzy, kierownicy i prezesi z geesu, czyli Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska" (potem „Zgoda"). Pojawiał się tam nierzadko dyrektor miejscowego liceum, który wkrótce wyjdzie z cienia...

---

45 Raport sytuacyjny Komendy Powiatowej MO w Łasku z września 1957 r., IPN Ld 0121/89.

O ile w ciągu dnia za kotarą mógł spożyć posiłek każdy, to już po godzinie szesnastej było to niemożliwe. Bywalcy nie tylko widzieli i liczyli, ile to półlitrówek donoszonych jest tam przez kelnerkę „szczególnego zaufania", ale znajdowali sposoby, żeby podsłuchać, o czym przewodniczący, prezesi i dyrektorzy rozmawiają. Potem w miasteczku rozchodziły się wieści, kto i jak załatwił sobie mieszkanie czy nawet dom i gospodarstwo po Żydach i Czechach, do kogo trzeba „uderzyć" i z jaką kwotą. Dowiadywano się, jak można załatwić nielegalnie węgiel, materiały budowlane, paliwo, materiały permanentnie deficytowe, w normalny sposób praktycznie nieosiągalne (status miasta, okazało się, przyniósł wzrost podatków, ale niewiele pomógł w poprawie zaopatrzenia).

Teraz można stwierdzić, że po rozprawieniu się z fabryczną szajką było kwestią czasu, kiedy pęknie kolejny balon. Wtedy nie było to oczywiste; personalne, koleżeńskie, wreszcie rodzinne powiązania w małym miasteczku były tak zapętlone, że nawet prezes Gminnej Spółdzielni „Zgoda", która zarabiała krocie na alkoholowych obrotach „Gospody ludowej", skarżył się publicznie na zakorzenione głęboko kumoterstwo we władzach miasteczka.

IV. Coś wisiało w powietrzu – listopad 1957

Nie wiadomo, czy faktycznie ktoś rzucił klątwę na miasteczko, jak po latach można było usłyszeć w niejednej rozmowie, czy też to, że Zelów stał się widownią serii dramatycznych zdarzeń, spowodowała siła wyższa - z jakiegoś powodu miałaby uznać, że brak empatii wobec żydowskich współmieszkańców, a nawet swoisty pogrom potomków czeskich ojców założycieli osady musiały zostać napiętnowane (tym bardziej, że za moment na celowniku znaleźli się świadkowie Jehowy, kolejna - po Czechach - grupa „innowierców"). Niemożliwe - mówiono - że to, co się potem zdarzyło, w jednym roku, było dziełem przypadku...

Wielu później wspominało, że po wywiezieniu Żydów i po wypędzeniu Czechów, po cmentarnych awanturach ze świadkami Jehowy, wreszcie po aferze w fabryce, nadal coś wisiało w powietrzu. Niektórzy ponoć twierdzili, że jakiś rachunek wobec miasta wciąż jest otwarty, a nawet, że ten „obcy", jak mówiono o dyrektorze liceum, może z tym mieć coś wspólnego...

Dyrektora liceum i jednocześnie kierownika Szkoły Podstawowej nr 1 w Zelowie widziano wielokrotnie wytaczającego się z „Gospody ludowej". Do szkoły, w której od kilku lat także mieszkał, miał niespełna kilometr, po drodze mijał „Myśliwską", pierwszą popaździernikową prywatną knajpę, zwaną potocznie „U Adama". Więc często niezupełnie ją mijał...

Pili tak widowiskowo

Kiedy po kilkudziesięciu latach w rozmowach ze szkolnymi kolegami i wieloma znajomymi z Zelowa wspominamy ów tragiczny dzień, ten motyw powraca, niemal każdy jest przekonany, że „to" było do przewidzenia. Może nie taki

dramat, jaki się zdarzył – tragedia Romka, Danusi, Stasi, Zbyszka, Andrzeja i innych – ale coś wisiało w powietrzu. Dlaczego?

Janek: *Po tym procesie aferzystów zrobiło się głośno o Zelowie i w Zelowie. Ludzie chodzili na ulicę Piotrkowską i oglądali prawie skończony dom głównego księgowego, komentowali: „jedyny, który nie przepił kasiory, na coś konkretnego wydał". Skazanych specjalnie nikt nie opłakiwał, zwłaszcza tych, których „przywieziono w teczkach", choć jeśli chodzi o niektórych miejscowych, to i owszem, uważano że dali się wplątać w aferę. Poza tym nic się nie zmieniło, przez płoty fabryczne przerzucano nadal worki z przędzą, niektórzy wychodzili z fabryki grubsi, niż weszli osiem godzin wcześniej, opasani purpurą lub kapą. Pito jeszcze bardziej, jakieś nieszczęście czuło się w powietrzu...*

Marek: *Ten proces to była krótkotrwała sensacja, ta sprawa wypaliła się już wcześniej i teraz uwaga skupiała się na Gosińskim i jego kompanach z urzędu gminnego oraz na „geesie", czyli spółdzielni „Zgoda"; pili tak „widowiskowo", jakby czuli, że ich czas dobiega końca. Dyrektor liceum razem z nimi, bez opamiętania, z nikim się nie liczył...*

Krystyna: *Bajocha baliśmy się coraz bardziej, a od nauczycielek też już nic dobrego się nie spodziewaliśmy, wyglądały na przestraszone, jakby sparaliżowane...*

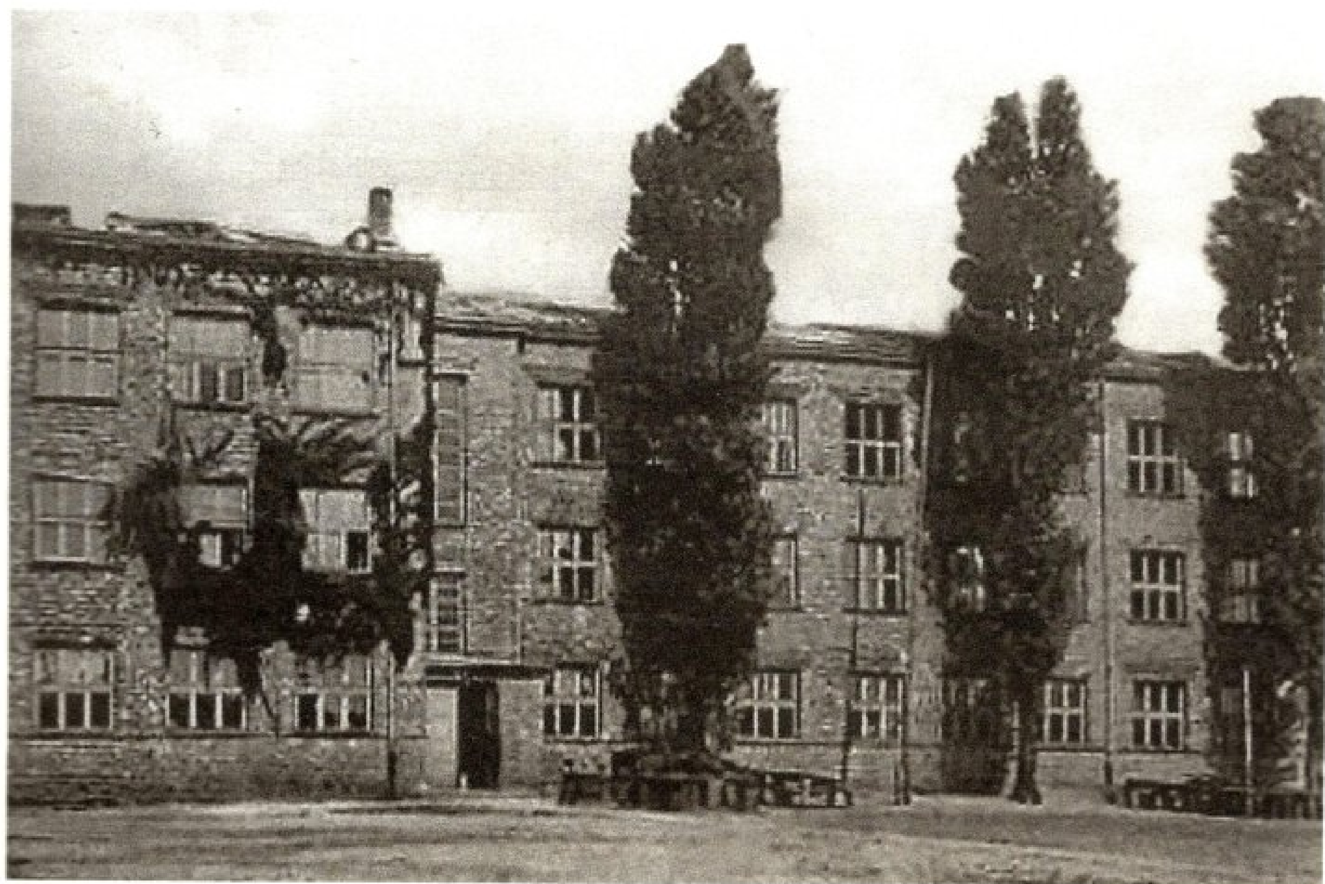
Renek: *Kolegowaliśmy się z młodszym synem Bajocha, równy chłopak, ale nigdy nic nie mówił, co robi jego stary w domu, miałem jednak wrażenie, że się go boi...*[46].

Jedenastoklasówka

Szkoła podstawowa przy ul. Kilińskiego w Zelowie przez dziesiątki lat była najważniejszym obiektem w miasteczku. Wyróżniała się quasi-modernistyczną bryłą budynku, wyjątkowo skromnym, prawie niewidocznym wejściem głównym i wielką liczbą dużych okien, które robiły wrażenie. I jeszcze te topole, wysokie i smukłe... Szkoła powstała przed wojną, dzięki finansowej pomocy Towarzystwa Popierania Budowy Publicznych Szkół Powszechnych i zbiórce pieniężnej mieszkańców Zelowa. Uroczyście nadano jej imię Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego i przekazano władzom szkolnym do użytku jesienią 1937 roku.

Co może zaskakiwać, powojenni uczniowie tej szkoły o jej przedwojennej przeszłości i patronie nic nie wiedzieli – usłyszeli o nim dopiero ponad pół wieku później, a większość dzisiejszych mieszkańców dowiedziała się o tym dopiero z albumu *Pierwsi zelowscy licealiści*, wydanego przez maturzystów pierwszych

46 Notatki z rozmów ze szkolnymi kolegami i mieszkańcami Zelowa, 2014–2016.



Szkoła Podstawowa nr 1 w 1957 roku

dwóch roczników w 2017 roku. Dla powojennych uczniów była to podstawówka nr 1, czyli „jedynka". A od 1957 roku także siedziba liceum.

Skąd w podstawówce licealiści? Otóż właśnie w 1957 roku, po wieloletnich staraniach mieszkańców, szkołę przekształcono w jedenastoklasówkę – dodając do siedmiu klas cztery kolejne i w ten sposób tworząc podwaliny pod przyszłe liceum ogólnokształcące, obecnie znane jako Zespół Szkół Ogólnokształcących. 1 września naukę zaczęło około 60 uczniów w dwu klasach ósmych; wszyscy otrzymali niebieskie tarcze szkolne z numerem 39, które musieli obowiązkowo nosić na lewym ramieniu.

Dyrektorem tej oświatowej wizytówki Zelowa został Tadeusz Bajoch, od 1951 roku kierownik Szkoły Podstawowej nr 1. Miał 42 lata, był szczupły, średniego wzrostu; przykuwał uwagę gęstą, falującą czupryną – siwe, prawie białe włosy zdawały się skrywać jakby przedwcześnie postarzałą twarz. Uczniowie – a nawet co znaczniejsi obywatele – prawie nic o nim nie wiedzieli, poza tym, że pochodził z Pabianic i wcześniej był nauczycielem jednoklasowej szkoły w Woli Buczkowskiej, wsi pomiędzy Zelowem a Łaskiem. Gdyby wiedzieli, może inaczej potoczyłyby się jego losy...

Bajoch mieszkał w szkole, bezpośrednio nad pokojem nauczycielskim, w dużym, wielopokojowym lokalu na pierwszym piętrze, do którego wchodziło



Szkolna codzienność w latach 50.: apele, zbiórki, akcje...

się wprost ze szkolnego korytarza. Zajmował je razem żoną, też nauczycielką, i młodszym z dwóch synów, Wiesławem, który był uczniem ósmej klasy; starszy pobierał nauki w Pabianicach.

No nic dziwnego, że chłop pije

Od samego początku Bajochowie budzili zainteresowanie mieszkańców, tym bardziej, że sami zwrócili na siebie uwagę publiczną aktywnością na rzecz krzewienia oświaty, co przejawiało się przygotowywaniem okolicznościowych wystaw, np. w witrynach sklepowych, i częstych imprezach organizowanych w poniemieckim baraku, spełniającym rolę szkolnej świetlicy. Często przyjeżdżało kino objazdowe, które w tejże świetlicy wyświetlało filmy przyrodnicze i „ze świata", pojawiali się jacyś mniej lub bardziej znani artyści z Łodzi; świetlicę udostępniano nie tylko na partyjne i ludowe zgromadzenia, ale też na bale sylwestrowe i szkolne potańcówki. Działo się dużo, szkoła zyskiwała uznanie w miasteczku.

Rósł szacunek dla dyrektorskiej pary, wzrastała pozycja Bajocha, wybierano go do różnych komisji i zespołów działających w urzędzie miejskim, w końcu został radnym i – co nie uszło uwadze – coraz częstszym uczestnikiem urzędniczych biesiad. Tym częstszym, jak się zorientowano z czasem, im częściej... znikała jego małżonka. „Znikała" to właściwe słowo, bo chyba nikt nie znał prawdziwej przyczyny jej nagłych wyjazdów z Zelowa i długotrwałych nieobecności w szkole. Podobno, szeptano, wyjeżdżała do sanatoriów, oczywiście plotkowano, że romansuje, w każdym razie utwierdzano się w przekonaniu, iż u Bajochów źle się dzieje. A co za tym idzie – wyrozumiale tłumaczono: *No nic dziwnego, że chłop pije.*

Dyrektor rzeczywiście pił i czasem tracił umiar, na lekcje przychodził spóźniony, bywało, że podchmielony, a niekiedy wręcz pijany. Widywano go nie tylko w gospodzie za kotarą, ale coraz częściej w przywołanej tu już „Myśliwskiej" (czyli „U Adama"), usytuowanej tuż obok szkoły. I na ulicy „zawianego", delikatnie mówiąc, czasem przysypiającego na ławce w Rynku obok przystanku PKS, a nieraz rzetelnie zalanego. Co gorsze, w końcu zauważono, że im więcej pił, tym bardziej stawał się agresywny. Rozeszło się po mieście, że omal nie pobił przewodniczącego komitetu rodzicielskiego, gdy ten zwrócił mu publicznie uwagę na jego niestosowne zachowanie. Dzieci, zwłaszcza dziewczynki, skarżyły w domach, że dyrektor lubi uderzyć niespodziewanie w kark lub pociągnąć za włosy. Były przypadki pobicia, nawet z użyciem żelaznego pręta. Ale wtedy mało kto o tym wiedział, bo „przezorni" rodzice nie rozpowszechniali takich wiadomości, obawiając się konsekwencji.

Mimo to zdarzyło się, iż któraś z matek poskarżyła się na miejscowym posterunku MO, że dyrektor pobił jej 12-letnią córkę – ale sprawę, jak przewidywano, „załatwiono". Wzorcowo, jak to w małej miejscowości. Bez przeprosin, lecz była jakaś kwota zadośćuczynienia. I zapadła cisza. Głośno zrobiło się dopiero jesienią 1957 roku.

Z czasem jednak sytuacja stawała się do tego stopnia niebezpieczna, że aby powstrzymać agresywnego dyrektora przed wyjściem z mieszkania, sekretarka albo któraś z nauczycielek wzywała miejscowego lekarza. Przybywał, patrzył, stwierdzał stan upojenia alkoholowego, raz na tyle groźny, że wypisał skierowanie do szpitala psychiatrycznego. Ale Bajoch do szpitala w Warcie, koło Sieradza, nie dojeżdżał. Jakimś cudem szybko pojawiała się jego siostra z Pabianic – jak mówiono, bogata i wpływowa ówczesna bizneswomen – która zabierała brata do siebie i przetrzymywała przez kilka dni. Potem Bajoch, jakby nic się nie stało, wracał do domu, czyli do szkoły. Z oficjalnym zwolnieniem lekarskim. Tajemnicą poliszynela było, że siostra „załatwiała sprawę" z inspektorem powiatowego wydziału oświaty nadzorującym liceum.

O pijaństwie dyrektora mówiono tylko półgłosem, szeptano o tym w pokoju nauczycielskim, coś tam docierało do miejskich urzędników, ale nikt publicznie nie pytał „jak tak można?". Na widok dyrektora wielu odwracało głowę, milczało. Dopiero potem, gdy ludziom rozwiązały się języki, pytano odważnie, pryncypialnie, kto w Zelowie „pilnował" interesów dyrektora i chronił go, kto w sytuacji zagrożenia dyrektora kompromitacją powiadamiał jego siostrę w Pabianicach?

W miasteczku panowało przekonanie, że dyrektor należy do partyjno-urzędniczego klanu, więc jest nie do ruszenia. Co faktycznie było prawdą, bo później wiele przytaczano przykładów nonszalanckich, a nawet mało grzecznych odpowiedzi na skargi, na wezwania do interwencji.

Więc Bajoch pił, pił... Jeszcze w piątek, trzy dni przed nieszczęsnym poniedziałkiem, protokołował zebranie radnych. Potem mówiono, że już wtedy był pod wpływem alkoholu, ale nikt nie zareagował. Taka miejscowa tradycja...

4 listopada, 8.00 rano

Nie widziałem, jak zginął Romek, ale byłem świadkiem wydarzeń dramatycznego poniedziałku 4 listopada 1957 roku. Dyrektor mojej szkoły wszedł do klasy w piżamie, siekierą uderzył w głowę Danusię, która odwrócona tyłem do drzwi stała przy pierwszej ławce, tuż przy wejściu, a zaraz potem Stasię, która stojąc tyłem do klasy i bokiem do drzwi wejściowych, ścierała czarną tablicę.



Najmłodsi uniknęli dramatu, zajęcia zaczynali w południe...



Po latach po raz kolejny odtwarzam to z pamięci – poniedziałkowy poranek był chłodny, niebo zachmurzone, zanosiło się na deszcz, a może nawet na pierwszy śnieg. Przez okno mieszkania wychodzącego na ulicę widziałem idących do szkoły uczniów, zdawało mi się, że podobnie jak ja nieco podekscytowanych, jak to będzie po dwutygodniowej przerwie zarządzonej na skutek szerzącej się wówczas epidemii grypy.

W szkole byłem za pięć ósma, gdy wszedłem do klasy (VIIa), wszyscy już byli przy swych ławkach. Stasia Kaczor pucowała tablicę, jeden z kolegów pośpiesznie zamykał szafę służącą nam za klasowy sklepik. Przywitałem się z Jurkiem, z którym siedziałem w pierwszej ławce, w trzecim rzędzie od drzwi i tuż przy oknie, zagadałem do Janka z pierwszej ławki w środkowym rzędzie. Czekaliśmy na kierownika szkoły, mieliśmy mieć z nim pierwszą lekcję, geografii. Było pięć, może nawet dziesięć minut po ósmej, gdy stanął w drzwiach.

Tak to zapamiętałem: *Nasz kierownik wyglądał dziwnie – boso, w jasnoniebieskiej piżamie w szare paski, bujna czupryna siwych, prawie białych włosów była w nieładzie, wręcz rozwichrzona, oczy, raczej wzrok dziwny...*

To był zaledwie moment, Danka Jarosińska otrzymała mocny cios w głowę, Stasia nie zdążyła odwrócić się od tablicy, gdy na jej plecy spadła siekiera trzymana w prawej ręce przez kierownika. Podniósł się krzyk, wrzask, zobaczyłem, że kierownik wbiegł pomiędzy ścianę a pierwszy rząd ławek, więc my



Klasa autora rok przed tragedią (1956 r.), pierwsza z prawej Janka Kamińska

z ławek spod okna rzuciliśmy się w kierunku drzwi, za Danką trzymającą oburącz głowę. Na korytarzu z trudem utrzymywaliśmy się na nogach przy ostrym skręcie, zbiegliśmy po schodach w dół na parter. Czy Danusia i Stasia też – nie pamiętam. Po chwili byliśmy na dziedzińcu, zatrzymaliśmy się w połowie chodnika pomiędzy szkołą a wyjściem na ulicę Kilińskiego, w odległości około 20, może 30 metrów od drzwi wejściowych. Ze szkoły wybiegały kolejne grupy, było nas coraz więcej, wystraszonych, zapłakanych. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Czekaliśmy...

Mogło minąć 10, może kilkanaście minut, gdy nasz kierownik ukazał się w drzwiach – teraz wyglądał doprawdy przerażająco: piżama była w krwawych plamach, krew widziałem na włosach, chyba na twarzy i szyi. Przez chwilę stał, rozejrzał się wokół, zdawało się, jakby na moment oślepił go blask przebijającego się z trudem słońca. Utkwiły mi w pamięci jego bose stopy...

Postąpił krok naprzód, a my cofnęliśmy się, jakbyśmy stanowili jednolitą, złączoną niewidzialną więzią gromadę, za chwilę przepychaliśmy się w popłochu przez wąską furtę, na ulicę. A on szedł powoli środkiem chodnika.

Nie jestem pewien, czy tak właśnie było, ale taki obraz mam do dzisiaj w pamięci: gdy kierownik był gdzieś w połowie dziedzińca, ze szkoły, a może z boku budynku, wybiegł chłopiec. I jeszcze ktoś za nim. Chłopiec, drobnej postury,

trzymał się za głowę i nawet z tej odległości widać było, że krwawił. Pobiegł w prawo, do studni, i jedną ręką pompując, drugą, pochylony pod strugą wody, obmywał zakrwawioną głowę. Za chwilę pojawili się obok niego jacyś uczniowie i starali się mu pomóc. Któż z nich mógł wiedzieć, że być może było to najgorsze rozwiązanie, że być może lodowata woda tylko przyspieszała wypływ krwi. Z okna na pierwszym piętrze, z mieszkania kierownika, wychyliła się jakaś postać, chyba któraś z nauczycielek, i coś do tych pod studnią krzyczała. Chłopiec po chwili upadł, ktoś go próbował podnieść i utrzymać na nogach...

Nawet po latach ten obraz wydaje się przekonujący i logiczny o tyle, że gdyby było inaczej, np. ten chłopiec już stał przy studni, gdy wybiegaliśmy ze szkoły, to niewątpliwie byśmy go zauważyli. Z całą pewnością dostrzegłby go też Bajoch, być może poszedłby w jego stronę i wydarzenia potoczyłyby się inaczej.

To było jak w westernie

Tymczasem kierownik dotarł do furtki i wyszedł na ulicę, od razu na środek jezdni. Szedł powoli, szurając bosymi stopami po kocich łbach, niespiesznie, i w naszym kierunku. On krok do przodu, my krok do tyłu, jakbyśmy wraz ze zbiegającymi się uczniami i ludźmi z miasta skleili się w jednolitą masę. Dystans pomiędzy nami a Bajochem się utrzymywał, dzieliło nas około 15–20 metrów, cofaliśmy się w stronę centrum miasteczka, całą szerokością ulicy, i cały czas w przejmującej ciszy. Z oddali słychać było buczenie fabrycznej syreny, nadbiegało coraz więcej ludzi, głównie kobiet, kto żyw pędził dowiedzieć się o los swoich dzieci, bo już widocznie rozniosło się po miasteczku, że w szkole kierownik biega z siekierą.

Przeszliśmy w ten sposób jakieś 50, może 70 metrów, byliśmy na wysokości szkolnej świetlicy, czyli poniemieckiego baraku, dochodziliśmy powoli do końca ogrodzenia szkolnego i zbliżaliśmy się do knajpy „U Adama", gdy naraz coś się zaczęło dziać. Z domu naprzeciw szkoły wyszedł mężczyzna, był to, zaraz go rozpoznano, brat jednego z naszych nauczycieli, pan Karol Kupec. Zdążył się już pewnie zorientować, co się dzieje, może widział przez okno tę niemal „westernową" scenę, w każdym razie zobaczyliśmy, że zdejmuje buty i powoli, z największą ostrożnością podchodzi od tyłu do niczego niespodziewającego się kierownika. Zbliżył się do niego, patrzyliśmy na to z jakimś nienaturalnym spokojem, jakby sparaliżowani. W końcu rzucił się mu na plecy, objął wpół i trzymał z całych sił. Nadaremnie – bo z jakąś zaskakującą mocą kierownik po prostu strząsnął go z siebie. Przewrócili się i w tym momencie pojawili się już kolejni mężczyźni, zdaje się stolarz Wilf, szewc Kubarski i jeszcze paru innych, którzy skutecznie

obezwładnili kierownika. Nie pamiętam, czy go związali i w jaki sposób przenieśli z powrotem pod szkołę, czy faktycznie rzucili go na ciężarówkę, czy też był już na miejscu milicyjny gazik. Do dziś brzmią mi natomiast niekiedy w uszach jego krzyki, wrzaski przechodzące w wycie.

Z tego dnia – 4 listopada 1957 roku – nic już więcej nie pamiętam, ani jak dotarłem do domu, ani spotkania z mamą, przerażoną ponoć pogłoską, że podczas ucieczki przewróciłem się i zostałem poraniony. Nie zapamiętałem pogrzebu Romka, choć z całą pewnością tam byłem, bo uczestniczyła w nim cała szkoła podstawowa i obie pierwsze klasy licealne. Nie pamiętam też, co robiłem przez kolejne dni, które spędziłem w domu, podobnie jak inni uczniowie, bo w szkole zarządzono znów dwutygodniową przerwę w nauce. Mam mgliste wspomnienia, że na rowerach pojechaliśmy odwiedzić Danusię w łaskim szpitalu.

Próba rekonstrukcji wydarzeń

Przez wszystkie te lata, jakie minęły od listopada 1957 roku, byłem przekonany, że tragiczny ciąg wydarzeń, jakie miały miejsce tego poranka, rozpoczął się od naszej siódmej klasy, która była najbliżej mieszkania dyrektora, i to z nami Bajoch miał mieć pierwszą lekcję tego dnia. W przekonaniu tym utwierdzałem się w czasie rozmów ze świadkami wydarzeń, gdy po kilkudziesięciu latach wróciłem do szkolnego dramatu.

Największą tragedię przeżyli uczniowie dwu klas na pierwszym piętrze, mojej siódmej i następnej piątej, pięcioro odniosło poważne rany, dwoje lżejsze. Kilka klas było o krok od nieszczęścia, ale uczniowie już wiedzieli, że coś złego się dzieje, i w obliczu zagrożenia w kolejnej klasie zdołali w porę zabarykadować drzwi i uchronić się przed szaleńcem z siekierą, w innych, na parterze, wyskakiwano przez okna na boisko szkolne. Były jeszcze inne ofiary, w tym ta, która ucierpiała najbardziej.

Romek, uczeń ósmej klasy, zapamiętany przez wielu, jak pod studnią na szkolnym placu zmywał broczącą z głowy krew, gdzieś nam się „zagubił" w gąszczu wydarzeń – jego spotkanie z Bajochem z trudem umiejscawiano w sekwencji zdarzeń. Nie było zgodnej wersji, choć z czasem większość przychylała się do głosów przekonanych, że był pierwszą ofiarą dyrektora.

Akta sprawy, które jakimś cudem odnaleziono na moją prośbę w łódzkim sądzie okręgowym i do których dotarłem w lutym w 2012 roku, dotyczyły jedynie postępowania sądowego wszczętego na wniosek rodziny Bajocha. Starała się ona o jego uwolnienie spod medycznej opieki, której poddany był od kilku lat w warunkach ograniczonej wolności. Zawierały głównie świadectwa

i ekspertyzy biegłych lekarzy, wypowiadających się na temat jego zdrowia. Były też nieliczne dokumenty z akt prokuratury, przede wszystkim te, dzięki którym lekarze mogli poznać przebieg wydarzeń z udziałem Bajocha, a także konkluzje śledczych, zawierające relację z tego, co zaszło w szkole. Niewiele z tych opisów wynikało, były dość powierzchowne, koncentrowały się na ofiarach i obrażeniach, jakie odniosły, brakowało w nich choćby próby uporządkowania tego, co stało się owego fatalnego dnia. Akt śledczych w sądowym archiwum już nie było, bo miały zostać „wybrakowane", czyli zniszczone, choć nie istniał na to żaden dowód.

Szczęśliwie w aktach sprawy cywilnej znajdowały się też zeznania świadków, zapewne wybrane z większej całości, i choć w ich relacjach dominowały opisy dramatycznych sytuacji, w jakich się znaleźli, niekiedy dość chaotyczne, to dało się z nich wywnioskować, jaka mogła być chronologia wydarzeń. Wydaje się dość prawdopodobne, że ten brak uporządkowania zdarzeń był wynikiem zarówno niedbałości śledczych, jak i zamierzonego działania, pod z góry założoną tezę. Wedle niej ustalenie przebiegu zdarzeń mogło nie być aż tak ważne, jak odkrycie przyczyny zachowania się sprawcy i wyjaśnienie motywu jego strasznego, zbrodniczego czynu oraz wskazanie dyrektora jako jedynego winnego tragedii.

Przyjęta przeze mnie pierwsza wersja wydarzeń, z publikacji z 2017 roku, choć starałem się usilnie ją doprecyzować, nie ostała się w świetle rozmów z kolejnymi świadkami tragicznego poniedziałku. Czy obecna okaże się ostateczna?

Ze szczątków dokumentów, do których dotarłem po latach, własnych i kolegów wspomnień, z przesłuchań niektórych świadków, okruchów pamięci wielu mieszkańców wyłania się oto taki obraz tego nieszczęsnego poniedziałku.

Na pierwszym piętrze – VIIa

Henryk Kaczorowski, wtedy uczeń czwartej klasy (mieściła się na drugim piętrze) mówił:

> Z Mirkiem Smolarkiem spieszyliśmy się do klasy, bo już było późno. Biegliśmy po schodach na pierwsze piętro, a za nami Zbyszek Furmański, który krzyczał, żeby na niego zaczekać. Ale byliśmy już niemal na wprost drzwi do mieszkania dyrektora i zauważyliśmy, że ruszyła się klamka, to my chodu w stronę klasy. Za sobą usłyszeliśmy jakiś hałas, rumor, któryś z nas powiedział, że dyro pewnie Zbyszka przyłapał. Wpadliśmy do klasy, ktoś uciekał przez okno, a w ogóle była pusta, więc my z powrotem na boisko. Po latach myślę, że udało nam się,

bo dyrektor Bajoch mógł być wtedy już w siódmej klasie. Nie pamiętam, czy widziałem wtedy Zbyszka na korytarzu, ani co się z nim stało[47].

Mirek Boruń był moim klasowym kolegą, siedział w czwartej ławce za mną. Tego dnia się spóźnił, nie zdążył dojść do klasy. Dlaczego? W aktach zachowało się jego zeznanie z 6 listopada:

W momencie, gdy wchodziłem schodami na pierwsze piętro, zauważyłem, że z mieszkania prywatnego wybiegł kierownik Bajoch. W prawej ręce trzymał toporek. Mnie nie zauważył. Bajoch pobiegł korytarzem i doskoczył do siedzącego na wieszaku Furmańskiego, ucznia klasy V. Złapał go lewą ręką za pierś, Furmański się skulił, a Bajoch dwa razy uderzył go toporkiem w głowę. Następnie Bajoch wbiegł do klasy VII. Zbiegłem po schodach na parter...

Zbyszek Bednarek, który był wtedy uczniem piątej klasy, opowiadał kilka lat temu:

Wchodziliśmy z Mirkiem Boruniem do szkoły głównym wejściem od strony ulicy Kilińskiego Byliśmy pewnie trochę spóźnieni, może minutę–dwie, więc szybko szliśmy po schodach, żeby dojść do naszej klasy na drugim piętrze. Byliśmy już prawie na półpiętrze, gdy zobaczyliśmy otwierające się drzwi z mieszkania dyrektora, które otwierając się na zewnątrz, na lewo, w naszym właśnie kierunku, przesłoniły trochę widok. Ale zobaczyliśmy dyrektora w piżamie i boso, a nieco dalej, dopiero wtedy, bujającego się na wieszaku Zbyszka Furmańskiego [takie długie wieszaki na odzież stały wówczas na korytarzu, każda klasa miała swój naprzeciw drzwi]. Dyrektor podszedł do Zbyszka i naraz coś mignęło i zobaczyliśmy, że to siekiera, taki raczej toporek, spada na głowę naszego kolegi. Zbyszek na podłodze leżał nieruchomo, jakby zastygł, zobaczyłem krew. Dyrektor wszedł do klasy naprzeciwko, a my, pokonując strach i po dwa–trzy schody naraz, znaleźliśmy się na drugim piętrze. Wpadliśmy do jakiejś klasy i krzyczymy, że dyrektor zwariował...

Marek Kuliński, klasa VIIa:

Tuż po godzinie ósmej do naszej klasy wpadł kierownik. Był w piżamie, boso, włosy rozwiane – nic nie mówił. Myśmy się bardzo przestraszyli. Ja byłem

47 Wszystkie cytaty z zeznań pochodzą z akt Sądu Okręgowego w Łodzi sygn. IV 13/58 (dostęp: 27.02. 2012).

wtedy przy ławce trzeciej w rzędzie ławek przy oknie. Bajoch doszedł do pieca, znajdował się zaraz na prawo od drzwi, i uderzył w głowę stojącą tam Janinę Jarosińską. Ja dobiegłem do drzwi, uciekając, pchnąłem w kierunku Bajocha krzesło, wyszedłem na korytarz, przez okno na I piętrze wyskoczyłem na ogródek. Wybiłem sobie palce, ale nie czułem żadnego bólu. Naokoło szkoły pobiegłem na dziedziniec, gdzie zauważyłem moją siostrę, która szła, trzymając rękę przy głowie. Później dowiedziałem się, że siostrę moją uderzył siekierą Bajoch. Ja pobiegłem do domu zawiadomić mamusię.

Janek Korzynek z VIIa zapamiętał, że Marek wyskoczył przez okno z klasy, a nie z korytarza. Z jego zeznania:

Kiedy już wszyscy byliśmy w klasie, wszedł dyrektor w piżamie do klasy i boso. Od razu podszedł do pieca, gdzie stały dziewczynki, i wtedy zauważyłem, że ma w ręku siekierę, którą zaczął bić dziewczynki. Uderzył wtedy ostrzem Janinę Jarosińską w głowę i Kaczorównę Stanisławę w plecy. My zaczęliśmy krzyczeć i wówczas dyrektor wpadł do środka klasy, a my zaczęliśmy uciekać przez drzwi, a Marek Kuliński wyskoczył oknem, mimo iż nasza klasa znajdowała się pierwszym piętrze. Kiedy miałem już wychodzić z klasy zauważyłem, jak Bajoch zamachnął się siekierą na Janinę Kamińską, ale potknął się i przewracając się, uderzył ją tylko obuchem siekiery.

Janka Kamińska tak to zapamiętała i zeznała:

Dyrektor Bajoch wszedł do klasy w piżamie, boso i trzymał ręce z tyłu. Nie mówił nic, tylko dziko spojrzał na nas i podbiegł do Janki Jarosińskiej, uderzając ją ostrzem siekiery w głowę. Po uderzeniu zachwiała się, ale nie upadła i zaraz zaczęła uciekać. Ja natomiast zaczęłam krzyczeć ze strachu. Tak się bałam, że kiedy inni uciekli, ja nie mogłam, gdyż zdrętwiały mi nogi. Widziałam jeszcze, jak Bajoch uderzył siekierą Kaczorównę w plecy, a później, ponieważ głośno krzyczałam, zwrócił na mnie uwagę i zaczął się zbliżać. Ja wtedy tylko wolno cofałam się i kiedy dyrektor miał już przejść przez ławki dzielące mnie od niego, zawadził się o ławkę, gdyż spodnie piżamy plątały mu się i przewrócił się; upadając, uderzył mnie tylko obuchem. Ja wtedy uciekłam, ostatnia już z klasy. Później słyszałam od którejś z uczennic, że kiedy klasa była już pusta, Bajoch usiadł na ławce i śmiał się.

Danka, formalnie Janina Jarosińska-Konieczna, kilka lat temu: *Staliśmy w klasie gromadką. Ja stałam tyłem do drzwi i tylko krzyk usłyszałam, jakby kto*

w przepaść wpadał. To dzieci krzyczały. Odwróciłam się i zobaczyłam tylko wielkiego chłopa, piżama w paski, rozczochrany. I potem już nic nie pamiętam...

Na pierwszym piętrze – Vb

Gdy my uciekaliśmy na boisko, w klasie obok, za naszą, jeszcze nic nie wiedzieli. Widok dyrektora ich zaskoczył.

Jurek Nowak z Vb:

> Był ubrany w piżamę, na boso, wyglądał dziwnie, zdziczało. Zauważyłem, że z tyłu miał toporek. Nic nie mówiąc, rozejrzał się po klasie, podszedł do Andrzeja Freusa i toporkiem uderzył go w głowę. Andrzej nic nie krzyknął, a później na boisku na widok krwi ściekającej mu z głowy pytał się kolegów, czym go kierownik oblał. Następnie Bajoch doszedł do dziewczynek i uderzył Kulińską w głowę. Stojące obok niej dziewczynki zaczęły uciekać, ja też uciekłem na boisko.

Tę scenę relacjonował jego kolega z klasy, Zdzisław Szewczyk:

> Około godziny ósmej, będąc w klasie, zauważyłem, jak wszedł dyrektor w piżamie. W ręku trzymał siekierę, którą machał. Wówczas Freus stał przy tablicy i dyrektor od razu uderzył go w głowę siekierą, a następnie podbiegł do dziewczynek i uderzył siekierą Jadwigę Kulińską i Irenę Krukówną. Wtedy ja i inni zaczęliśmy uciekać.

W następnej, trzeciej z kolei klasie, IVb, już wiedziano, że kierownik Bajoch zwariował.

Jedna z uczennic: *Tak, pamiętam, że jakaś uczennica wpadła do klasy i mówiła, żebyśmy się zamykali, bo dyrektor oszalał.*

Tomek Sikorski nie dowierzał:

> Gdy byłem w swojej klasie, przybiegła jakaś dziewczynka i powiedziała, że kierownik wariuje. Ja wyszedłem na korytarz i tam zauważyłem, że Bajoch wbiegł do klasy piątej, ubrany był w piżamę, w ręku miał toporek. Wpadłem do klasy, zamknąłem drzwi i ramieniem przytrzymałem klamkę. Bajoch doszedł do naszych drzwi, raz złapał za klamkę, a później bił toporkiem w klamkę, a potem trzy razy w drzwi. Później, gdy dowiedzieliśmy się, że kierownik jest już na boisku, wybiegliśmy z klasy.

Więcej zobaczyła Krysia Mądrzejewska, o czym mówiła jedna z jej koleżanek:

No, do nas też ktoś przyleciał i krzyczy, żeby się barykadować, bo gdzieś tam na korytarzu jest krew, ktoś w tej krwi podobno leży. Myśleliśmy, że to żarty. Aha, my się tu zabarykadujemy, a potem przyjdzie nauczyciel na lekcje i wstawi wszystkim naganne zachowanie. Krystyna to nawet wyszła na korytarz sprawdzić, co się dzieje. Podchodzi powolutku do schodów i już ma schodzić na dół, a on tam stoi. Na półpiętrze stał. Boso, w piżamie i z siekierą w ręku. Zakrwawiony. A on ją zobaczył i już nogę stawiał na schodku, żeby do niej iść. Kryśka uciekła do klasy i wszyscy zaczęli popychać pod drzwi, co tylko tam było pod ręką. Szafki, ławki, biurko nauczyciela. I całe szczęście, bo potem dyrektor wyrąbał kawał drzwi i muru...

Ponownie Zbyszek Bednarek:

Stanęliśmy przy poręczy schodów na drugim piętrze, nasłuchując, co dzieje się pod nami. Z prześwitu, bardzo wąskiego pomiędzy schodami, widać było biegnących uczniów, a potem zaległa cisza. Zobaczyłem dyrektora, stał przy wieszaku i rozmazywał bosą nogą kałużę krwi. Trwało to chyba niedługo, i chyba dyro się zastanawiał, bo nagle ku naszemu przerażeniu powziął najwidoczniej zamiar wejścia na drugie piętro. Wszedł na pierwszy, potem na drugi stopień i rozmyślił się, zaczął bardzo powoli schodzić w dół...

Kto mocny, niech idzie na górę

Janina Melewska, nauczycielka:

4 listopada 1957 roku, około godz. 7.45, przyszłam do szkoły i weszłam do kancelarii, gdzie już byli nauczyciele i ksiądz. W pewnym momencie otworzyła do kancelarii drzwi Zofia Ginowska, sekretarka naszej szkoły i powiedziała, że kto mocny, niech idzie na górę, ale nie mówiła po co, a ja sobie pomyślałam, że może Bajoch zachorował, bo często jak sobie popił i będąc pijanym, wzywał naszej pomocy. Ja wyszłam pierwsza, za mną wicedyrektorka szkoły Mieczysława Kiełbasińska, Tadeusz Szymczyński i ksiądz Stanek Józef. Jak wyszłam z kancelarii, idąc na pierwsze piętro, widziałam na korytarzu i schodach krew, bardzo dużo krwi rozlanej.

Wicedyrektorka Mieczysława Kiełbasińska: *Ja wówczas pomyślałam sobie, że Bajoch zwariował, znając jego uprzednie przeżycia. Poszliśmy do mieszkania Tadeusza Bajocha, weszliśmy, ale jego tam nie było.*



Pierwsze piętro, po lewej drzwi do mieszkania dyrektora

Krew na schodach prowadzących na pierwsze piętro, na ścianie i w pobliżu wejścia do mieszkania dyrektora Bajocha widzieli wszyscy czworo. Do mieszkania weszło najpierw troje z nich i początkowo nic nie zauważyli, *jakby nikogo nie było.* Obie nauczycielki zajrzały do pokoju oraz sypialni, i dopiero gdy wróciły do przedpokoju...

Wicedyrektorka: *Zauważyłam w drzwiach przedpokoju siekierę w górze.*

Melewska: *Zobaczyłam w drzwiach przedpokoju, jak Bajoch uderzył toporkiem w ramię Tadeusza Szymczyńskiego.*

Szymczyński: *Gdy znajdowałem się w drzwiach prowadzących z przedpokoju na korytarz szkolny, doszedł do mnie Bajoch z podniesioną ręką, w której trzymał toporek. Toporkiem tym wymierzył mi prosto w głowę, ja zrobiłem unik i otrzymałem cios w lewe ramię...*

Na ten widok obie nauczycielki cofnęły się.

Wicedyrektorka: *Wówczas uciekłyśmy do pokoju, do drzwi doszedł Szymczyński i mówił, żeby go wpuścić, i my żeśmy go wpuściły, zatarasowały drzwi stołem i przez okno z Melewską krzyczałyśmy do dzieci, żeby powiadomić milicję, bo Bajoch zwariował i nas pozabija...*

Co pan robi, przecież jestem księdzem...

Ksiądz Stanek miał 34 lata, ale szedł na pierwsze piętro nieśpiesznie: *Kiełbasińska, wychodząc, powiedziała do mnie „niech ksiądz też idzie". Ja poszedłem za nimi na pierwsze piętro. Idąc, zauważyłem plamy krwi na posadzce blisko drzwi prowadzących do mieszkania prywatnego kierownika szkoły Bajocha. Do przedpokoju weszła Kiełbasińska, Szymczyński i ja w pewnej odległości.*

Zeznania księdza Stanka nie były zbyt jasne, w każdym razie nie mógł widzieć incydentu z Szymczyńskim. Gdy pokonywał ostatni stopień schodów prowadzących na pierwsze piętro, zobaczył uchylone drzwi do mieszkania dyrektora i wszedł:

> Bajoch zamierzył się toporkiem na mnie. Byłem zdezorientowany i zamiast uciekać na korytarz, wpadłem do łazienki. Nie przypominam sobie, aby Bajoch coś mówił, wszedł za mną do łazienki i zamknął drzwi za sobą i przypuszczam, że je zatrzasnął, bo jest tam zamek zatrzaskany. Bajoch doskoczył do mnie i pchnął mnie lewą ręką silnie i ja się przewróciłem na podłogę na wznak. Ukląkł przy mnie i toporkiem kilkakrotnie wymierzył we mnie w głowę, jednakże nie wcelował w głowę, bo ręką, którą miałem wolną, broniłem się. Słyszałem odgłosy uderzenia toporkiem w jakieś przedmioty obok mojej głowy. W tym jednak czasie zdołał uderzyć mnie raz toporkiem, tak że ostrze toporka zadrapało mi szyję, a dolne ostrze wbiło mi się w przedramię, przecinając sutannę i sweter czarny. W czasie tej walki Bajoch ugryzł mnie w prawy policzek i usiłował też mnie drapać. Mówiłem Bajochowi, leżąc na ziemi: „co pan robi, przecież jestem księdzem". Nic na to nie odpowiedział i nie nastąpiła żadna reakcja, wymierzył we mnie jeszcze jeden cios [...].
> W locie chwyciłem za trzonek toporka, wyrwałem się spod niego i wstałem, trzymając toporek w ręku. Skierowałem się do drzwi i chciałem je otworzyć. Bajoch złapał mnie za nogę ręką i ciągnął mnie z powrotem. Ja złapałem się futryny jedną ręką, a w drugiej trzymałem toporek. Nogę wyrwałem, otworzyłem drzwi łazienki do przedpokoju i wybiegłem na korytarz, a stamtąd na dziedziniec. Czy Bajoch mnie gonił, nie wiem. Widziałem tylko później, że Bajoch wyskoczył aż na ulicę Kilińskiego i doskoczył do jakiegoś mężczyzny. [...] Toporek oddałem jakiemuś mężczyźnie i wróciłem do pokoju nauczycielskiego, skąd zabrałem płaszcz, i poszedłem do domu. Gdzie był Bajoch w tym czasie, nie wiem, jak przypuszczam, był w tym czasie związany.

Nie wiadomo, czy ksiądz Stanek, wybiegając z mieszkania, natknął się na sędziwą Marię Dzierdziejewską, powoli podążającą na pierwsze piętro do mieszkania

Sygn. akt. S /17

Protokół przesłuchania świadka

Dnia 5 listopada 1957 r. w Łasku

Wice-Pod-Prokurator, St. Referendarz Śledczy, Asesor [1]) Prokuratury Powiatowej w Łasku

z udziałem Protokólanta —

w obecności stron —

przesłuchał niżej wymienionego w charakterze świadka — bez odebrania przyrzeczenia [1]). — Po uprzedzeniu świadka o prawie odmowy zeznań (art. 94 k. p. k.) i o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania — ~~oraz o znaczeniu przyrzeczenia Prokurator odebrał od niego przyrzeczenie na zasadzie art. .... k. p. k.[1]), po czym oświadczył on, że [2]) .... i świadek zeznał co następuje:~~

Imię i nazwisko Józef Stanek

Wiek lat 34

Imiona rodziców Józef i Marianna

Miejsce zamieszkania Zelów ul. Sienkiewicza Nr 7

Zajęcie ksiądz

Karalność nie karany

Stosunek do stron obcy

Ja wykładam religię w szkole podstawowej Nr 1 w Zelowie od września 1957 r. Wczoraj tzn. 4 listopada 1957 r. przyszedłem do szkoły o godz. 7.45 i w szkole byłem parę minut przed godz. 8.00. Wszedłem najpierw do pokoju nauczycielskiego w którym były Kiełbasińska, Malewska, Szymczyńska – wszystkie nauczycielki. Słyszałem, że wymienione rozmawiały na temat panującej w Zelowie w grypy. Usiadłem na krześle i przysłuchiwałem się ich rozmowie. Do pokoju w którym siedziałem wbiegła szybko sekretarka płacząc i zwróciła się do Kiełbasińskiej i coś jej mówiła podniesionym głosem. Co mówiła nie słyszałem. Na odgłos płaczu wstaliśmy. Sekretarka pierwsza wyszła z pokoju i poszła do sekretariatu który znajduje się na parterze.

[1]) Zbędne wyrazy druku należy przekreślić.
[2]) W tym miejscu należy wpisać odpowiedź, jakiej udzielił świadek, po uprzedzeniu go o prawie odmówienia zeznań (art. 94 k. p. k.).

Protokół przesłuchania świadka

Zeznanie księdza Stanka

Bajocha. To możliwe, nawet prawie pewne, ale zapewne nic jej nie powiedział o zagrożeniu. Podobnie jak nie wiadomo, czy ksiądz Stanek o czymkolwiek poinformował woźnego szkolnego lub obecne w pokoju nauczycielskim koleżanki. *Zabrałem płaszcz i poszedłem do domu* – powiedział przesłuchującemu go prokuratorowi.

Jeden z uczniów twierdził po latach, że widział księdza wychodzącego ze szkoły i że nie zauważył u niego siekiery, ani kogokolwiek, komu mógłby ją przekazać, gdyby ją miał ze sobą. Już później niektórzy mówili, że ksiądz Stanek siekierę jednak oddał komuś już po wyjściu ze szkoły, a więc na boisku. Jeśli tak, to znaczyłoby, że wchodząc do pokoju nauczycielskiego, ksiądz mógł mieć ze sobą siekierę. Aby założyć palto, musiał ten zakrwawiony przedmiot odłożyć na chwilę. Gdzie go położył, na stole, na krześle? I potem najzwyczajniej wyszedł z siekierą w ręku na korytarz, na boisko? Czy tak było? Nikt nie dociekał, dlaczego tak się zachował.

Po latach autorka artykułu w „Newsweeku" napisała, iż mieszkańcy, wciąż „chroniąc dzieci", nieskorzy są do upamiętnienia szkolnej tragedii, i przywołała obiegową opinię o księdzu, że: *Lepiej, żeby nie wiedziały, że nawet nauczyciel religii, ksiądz Stanek, je zostawił* [...] *uciekł z budynku, zabierając palto z pokoju nauczycielskiego.* W drodze do domu *musiał mijać Dankę leżącą na boisku i Romka, który nieopodal wykrwawiał się polewany lodowatą wodą z pompy*[48].

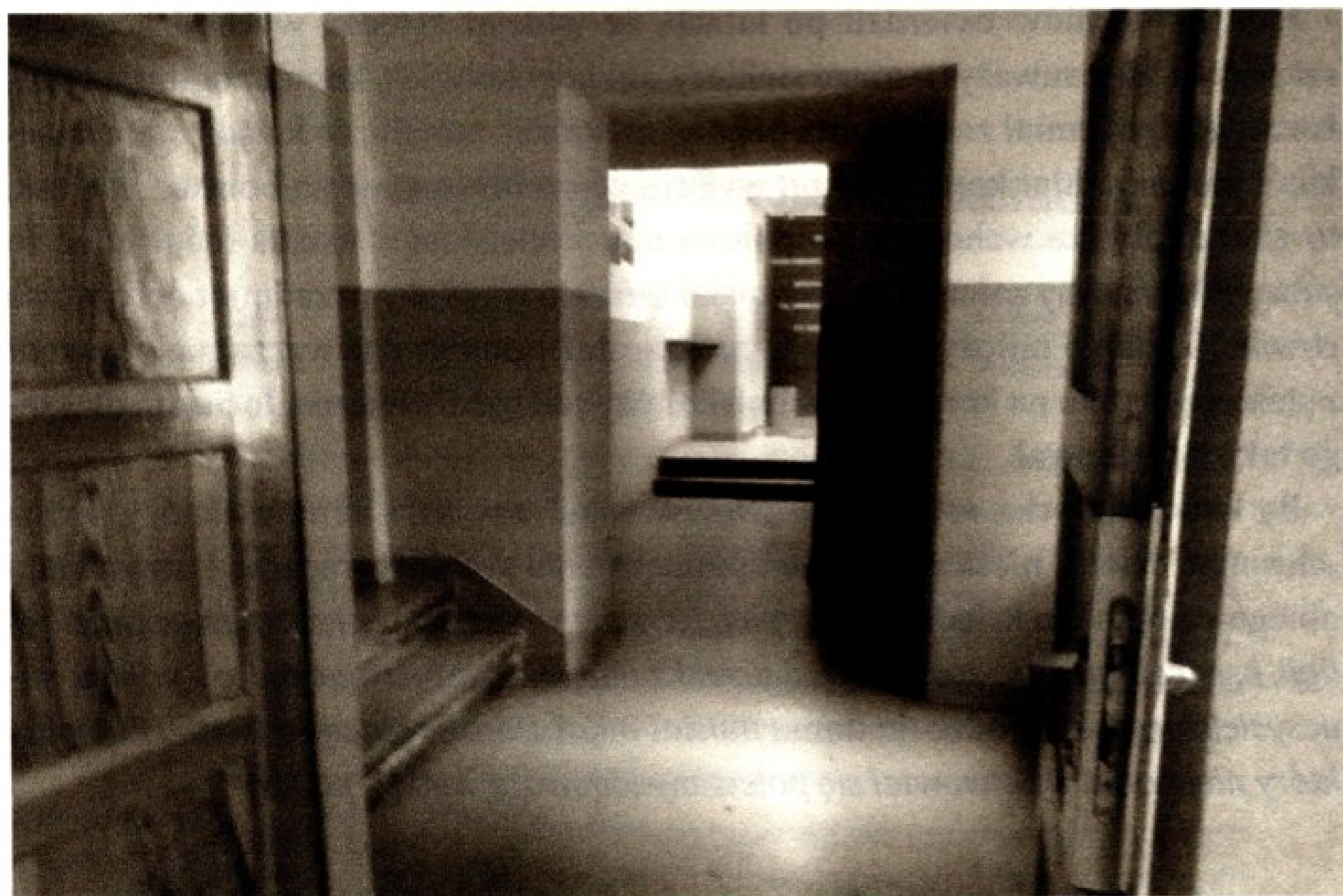
Na parterze

Tymczasem Maria Dzierdziejewska – nauczycielka w Zelowie od 1920 roku, bardzo lubiana, z racji wieku i nauczania rosyjskiego zwana „babuszką" – nie zdążyła dojść do mieszkania dyrektora:

> Wyszłam z kancelarii i poszłam schodami na pierwsze piętro. Idąc po schodach, spotkałam kierownika, był ubrany tylko w piżamę. Spotkaliśmy się na schodach. Idąc, poślizgnęłam się w kałuży krwi. Bajoch uderzył mnie kilka razy w twarz i ja się przewróciłam. Po przewróceniu Bajoch kopał mnie nogami i bił. Widziałam, że Bajoch maczał dłonie we krwi i skrwawionymi dłońmi bił mnie po twarzy, tak że byłam całkowicie umazana krwią. Widziałam, że Bajoch podniósł z nade mnie głowę i spojrzał na boisko, na którym było dużo dzieci. Wstał i poszedł na boisko. Ja wtedy wstałam i uciekłam na pierwsze, prostuję: drugie piętro. Nie widziałam, aby Bajoch kogoś później bił, gdyż się skryłam.

Epizod z „babuszką" widziało wielu uczniów stojących już na zewnątrz, przed wejściem do szkoły, więc musiał się zdarzyć raczej na parterze, w korytarzu

48 Turlej E., *Nikt nie chce pamiętać*, „Newsweek" nr 6/2018.



Korytarz na parterze – tu rozegrał się dramat Romka i woźnego

wiodącym do schodów prowadzących na piętra, a nie już na tych schodach, jak zeznała Dzierdziejewska.

Janka Kamińska: *Ja od razu nie poszłam do domu, tylko stałam na boisku i płakałam. Widziałam wtedy, jak na korytarzu dolnym dyrektor bił nauczycielkę Dzierdziejewską, a później przewrócił ją i kopał. Na to nadszedł woźny, który krzyknął: „Panie Bajoch, co pan robi". Wtedy dyrektor rzucił się na woźnego, przewrócił go, uderzając w głowę, a następnie wyrwał mu klucze i bił nimi. Wtedy Bajoch nie miał już siekiery.*

Janek Korzynek: *Później stanąłem na boisku i widziałem, jak dyrektor bił nauczycielkę Dzierdziejewską rękoma, przewrócił ją, a następnie ją kopał. Woźnego bił ręką i kluczami, które mu odebrał.*

Rolisław Wąsek z VIIIb: *Stanąłem przy drzwiach wejściowych do szkoły. Stojąc przy drzwiach, zauważyłem ponownie Bajocha, który na parterze bił i kopał nauczycielkę Dzierdziejewską. Widziałem, że Bajoch bosą nogę umazał w kałuży krwi i nogą tą kopał Dzierdziejewską. W tym czasie z dyżurki wyszedł woźny i patrzył na to. Bajoch doszedł do woźnego i uderzył go ostro w rękę i woźny się przewrócił. Leżącego Bajoch bił i kopał, a później nawet bił kluczami które wyrwał woźnemu. Ja i koledzy uciekliśmy na dziedziniec. Bajoch wyskoczył również tam i krzyczał „kto następny".*

Zdzisław Szewczyk: *Podczas zejścia staliśmy przy oknie na dworze i widziałem, jak woźny wyszedł z dyżurki. Naprzeciwko niego szedł dyrektor, który uderzył go mocno pięścią w głowę, aż woźny przewrócił się. Dyrektor zaczął go wtedy kopać go, a później dojrzał klucze w ręku woźnego, więc złapał te klucze i bił nimi po głowie.*

Mirek Boruń: *Za około 10 minut, gdy stałem na dziedzińcu, ze szkoły wyszedł Bajoch. Przy drzwiach widziałem, że uderzył woźnego, który przewrócił się na ziemię, i nadal bił go rękami i kluczami po głowie, które wyrwał woźnemu, jednocześnie go kopiąc nogami.*

Jeszcze nie myśleliśmy, że zbliża się finał dramatycznych zdarzeń, Bajoch wyszedł ze szkoły i po chodniku, powoli, jakby z namysłem, zmierzał w kierunku wyjścia na ulicę Kilińskiego. I tam, to już wiemy, został obezwładniony.

Jak zginął Romek?

Wielu moich zelowskich kolegów i znajomych nie ukrywa zniecierpliwienia, gdy od lat i niemal przy każdej rozmowie poruszam temat szkolnej tragedii:

– Po co to rozgrzebywać, po co te dociekania, kto i kiedy został ranny, w którym momencie stało się to czy tamto, czy Romek musiał zginąć. Stało się i już...

– Niektórzy do dziś tym żyją, widzą obrazy, we śnie i na jawie, płaczą...

– No trudno, to życia Romkowi nie przywróci...

Jak było? Wiosną 2011 roku Ryszard Wojtasik opowiadał mi: *Romek Gapik musiał się trochę spóźnić i do szkoły wszedł nie głównym wejściem, ale od tyłu, od ulicy Nowy Rynek...* [49].

Pojechałem do Rolisława Wąska do Pabianic; miało być tak: *Przyszedłem do szkoły przed godziną 8.00. Zostawiłem teczkę w klasie i ze swoim kolegą Romanem Gapikiem poszedłem do ubikacji, która znajdowała się poza budynkiem szkolnym. Wróciliśmy z ubikacji, wchodząc tylnym wejściem do szkoły i w korytarzu Gapik został z tyłu i czytał jakiś afisz*[50].

Ryszard Wojtasik: *Na swoje nieszczęście natknął się na schodzącego z pierwszego piętra Bajocha, otrzymał przynajmniej dwa uderzenia w głowę i padł.*

Rolisław Wąsek zeznał:

> Wszedłem do klasy, stanąłem koło stołu i spojrzałem na drzwi, w których ukazał się Gapik. Za moment zauważyłem za Romkiem dyrektora Bajocha,

---

49 Notatka z rozmowy, 2–3.09.2010.
50 Notatka z rozmowy, 2012.

który trzymając siekierę w dwu rękach, wymierzył silny cios w głowę Gapikowi. Romek tylko krzyknął moje imię: „Reniek", i upadł. Bajoch spojrzał wtedy na mnie wzrokiem dzikim. Był w piżamie, boso. Bajoch nie doszedł do mnie, tylko poszedł do drugiej klasy na parterze. Ja, gdy Bajoch odszedł, podbiegłem do Gapika i usiłowałem go podnieść. Gapikowi mocno z głowy leciała krew, aż zrobiła się piana. Podnieśliśmy go i chcieliśmy wyprowadzić. Gapik złapał się klamki, a drugą ręką kiwał na nas, żebyśmy uciekali. Gapik mocno trzymał się klamki i stojąc, pozostał przy drzwiach. Ja uciekłem i stanąłem przy drzwiach wejściowych do szkoły[51].

Scenę tę widział też Mietek Niciak z klasy obok, VIIIa: *Przed dzwonkiem wyszedłem na korytarz i widziałem, jak Roman Gapik wyszedł ze swojej klasy, tzn. z ósmej „b". W tym czasie nadszedł dyrektor Bajoch i zauważyłem, jak uderzył siekierą w głowę Gapika, który przewrócił się. Zaopiekował się Gapikiem jakiś kolega, a ja wszedłem do klasy, mówiąc, żeby wszyscy uciekali. I też uciekłem przez okno...*

Uciekli przez okna. *To prawdziwy cud, że zdążyli, zanim Bajoch wszedł do klasy* – komentowano. Po latach trudno dociec, czy faktycznie z VIIIa wszyscy wydostali się przez okna, ale musiało tak być, skoro nikt nie był świadkiem, że Bajoch wszedł do ich sali. Może i tam dotarł, ale nikogo już w niej nie było, w każdym razie nikt z tej klasy nie ucierpiał.

Sprawa ataku dyrektora Bajocha na Romka, mimo różnic w opowieściach o samym zdarzeniu, jest raczej nie do podważenia. Można sobie wyobrazić Romka stojącego przed szkolną tablicą informacyjną w korytarzu i jego reakcję na widok dyrektora w piżamie – mógł uciec tylnym wyjściem, ale przerażony sytuacją zapewne pomyślał, że w klasie będzie bezpieczniej, i ruszył w jej kierunku. Nie zdążył...

Ginowska

Kluczowe pytanie, czy Romek był pierwszą ofiarą dyrektora, czy też wszystko zaczęło się od siódmej klasy na pierwszym piętrze, jak uważa do dziś wielu byłych uczniów, wciąż jest otwarte. Sam byłem do tej wersji bardzo przekonany, ale analiza wypadków prowadzi do konkluzji, iż dramat zaczął się na parterze. Sekretarka Ginowska twierdziła, że gdy rano weszła do mieszkania dyrektora, zobaczyła go w łóżku, był przywiązany tak, że nie mógł wykonać ruchu; na jej widok poprosił czy też zażądał, aby go uwolniła. Czy posłuchała i to zrobiła?

51 Wszystkie zeznania op. cit.

Sygn. akt S [illegible]/57

Protokół przesłuchania świadka

Dnia 6 listopada 195 7 r. w Łasku

~~Wice-Pod-Prokurator, St. Referendarz Śledczy~~ Asesor[1] Prokuratury Powiatowej w Łasku Bogdan Maciejewski.

z udziałem Protokólanta —

w obecności stron —

przesłuchał niżej wymienionego w charakterze — świadka bez odebrania przyrzeczenia[1]). — Po uprzedzeniu świadka o prawie odmowy zeznań (art. 94 k.p.k.) i o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania ~~— oraz o znaczeniu przyrzeczenia Prokurator odebrał od niego przyrzeczenie na zasadzie art. — k.p.k.[1]), po czym oświadczył on, że[2])~~ —

— i świadek ~~zeznał co następuje~~:

Imię i nazwisko Rolisław Wąsek

Wiek lat 15

Imiona rodziców Wacław i Wanda

Miejsce zamieszkania Zelów ul. Cmentarna Nr 11

Zajęcie uczeń

Karalność nie karany

Stosunek do stron obcy

W dniu 4 listopada 1957 jak w każdy dzień zajęć szkolnych przyniosłem do szkoły przed godziną 8[00] Zostawiłem teczkę i ze swoim kolegą Romanem Gabikiem poszedłem do ubikacji która znajduje się pod budynkiem szkolnym. Wyszliśmy z ubikacji i w korytarzu na ~~I~~ parterze Gapik został z tyłu i czytał afisz. Ja wszedłem do klasy. Stanąłem koło stołu w klasie i spojrzałem na drzwi w których ukazał się Gapik. Za moment zauważyłem za Gapikiem B[redacted] który trzymając siekierę w dwu rękach wymierzył silny cios siekierą w głowę Gapikowi. Gapik tylko krzyknął moje imię „Roniek" i upadł. B[redacted] spojrzał wtedy na mnie wzrokiem obłędnym. Ubrany był w piżamie na boso. B[redacted] nie doszedł do mnie tylko poszedł do drugiej klasy na parterze. Ja gdy B[redacted] odszedł

---

[1]) Zbędne wyrazy druku należy podkreślić.
[2]) W tym miejscu należy wpisać odpowiedź, jakiej udzielił świadek, po uprzedzeniu go o prawie odmówienia zeznań (art. 101 k. p. k).

Protokół przesłuchania świadka.
Wzór Op 6/6 C. W. D. W-wa, Bielańska 18. zam. 1115/u/VI-A

Bis — zam. 663 13.10.51 R 7-27-787 900.000

Zeznanie Rolisława Wąska

Nieprzychylni jej nauczyciele, zwłaszcza jedna z kobiet, która miała później, już po tych wydarzeniach, Ginowską spoliczkować, byli przekonani, że to jej wina: uwolniła dyrektora i przyczyniła się do tragedii. Mogło tak być, tym bardziej iż przywoływano potem jej słowa, nigdzie niepotwierdzone, że zanim zdążyła wybiec z mieszkania, poczuła uderzenie w ramię *chyba siekierą*. Świadoma, co może się stać, pobiegła do pokoju nauczycielskiego po pomoc.

Jeśli uznać tę wersję za prawdopodobną, a nawet prawdziwą, to wydaje się możliwe, że dyrektor wybiegł za Ginowską, zbiegł po schodach na parter i wtedy niemal wpadł na Romka Gapika.

Samego ataku na Romka nie widziała Krysia Mądrzejewska z czwartej klasy, ale jak mówiła jej koleżanka: *Krystyna to nawet wyszła na korytarz sprawdzić, co się dzieje. Podchodzi powolutku do schodów i już ma schodzić na dół, a on tam stoi. Na półpiętrze stał. Boso, w piżamie i z siekierą w ręku. Zakrwawiony. A on ją zobaczył i już nogę stawiał na schodku, żeby do niej iść. Kryśka uciekła do klasy...*

Bajoch idzie na pierwsze piętro, już zakrwawiony, i tam, na korytarzu, rozgrywa się dramat Zbyszka Furmańskiego. Potem w klasach VIIa i Vb, do następnej, IVb, już nie zdoła wejść, bo drzwi bronią uczniowie. W tym czasie wezwani przez Ginowską nauczyciele idą do mieszkania dyrektora. Czy widzą poranionego Romka Gapika? Z całą pewnością nie, bo nikt o tym nie wspominał, a więc musiał on już wyjść ze szkoły. Sam, bez niczyjej pomocy?

Wszystko dzieje się dynamicznie. Aż nieprawdopodobne wydaje się, że w czasie, gdy rozgrywa się dramat w klasach na pierwszym piętrze, nieświadomi tego nauczyciele wchodzą do mieszkania Bajocha, a zaraz potem obok zamkniętych drzwi do mieszkania dyrektora przebiegają przerażeni uczniowie. Zdążyli wybiec, zanim pokój nauczycielski opuścił ksiądz Stanek, który wdrapując się powoli na piętro, najwyraźniej nie zauważył niczego, co by go zaniepokoiło, i wszedł do mieszkania dyrektora. Po chwili wracający z końca korytarza pierwszego piętra Bajoch wchodzi do swojego mieszkania.

Chłopiec przy studni

Co w tym czasie dzieje się z Romkiem? Mietek Posim z VIIIb był już wtedy na boisku i tak to zapamiętał: *Po pewnym czasie zobaczyłem, jak ze szkoły wychodzi Gapik, trzymając się za głowę.*

Poza tym jednym zeznaniem, mimo wszystko nieprecyzyjnym, bo nie wiadomo z całą pewnością, co Mietek widział – wyjście Romka ze szkoły głównym wejściem czy też z tyłu szkoły albo zza szkoły – nie ma opisów tego momentu, nikt inny o nim nie wspomina.

Przychylałbym się do wersji, że Romek wyszedł tylnym wyjściem. Miał bliżej do niego i dość prostą drogę do studni przed szkołą. Poza tym, jeśli widział jakichś ludzi, ruch w korytarzu, ta droga mogła też wydać się mu bezpieczniejsza.

Jakkolwiek było, należy przyjąć, że Romek wyszedł ze szkoły sam, co w stanie szoku, w jakim niewątpliwie się znalazł, było możliwe. Odległość w obu przypadkach (wyjście główne czy tylne) była bez znaczenia, mniej więcej taka sama, przy czym w tym drugim wariancie wyjście na zewnątrz i dotarcie do studni było bezkolizyjne i rzeczywiście bezpieczne. Jeśli tak to wyglądało, tłumaczyłoby, dlaczego zdecydowana większość uczniów zobaczyła Romka – „chłopca przy studni" – dopiero, gdy znalazła się na dziedzińcu.

Za tą wersją przemawia fakt, iż poza wspomnianym uczniem, nikt na Romka w korytarzu na parterze się nie natknął – ani uczniowie zbiegający w popłochu z pierwszego piętra, ani żaden z nauczycieli, np. „babuszka" czy ksiądz Stanek, a przede wszystkim woźny...

Po latach Rolisław Wąsek mówi mi: *Ta sprawa mocno we mnie siedziała przez lata, myślałem o tym, że można było się inaczej zachować, szybciej zająć się Romkiem...*

Inaczej, czyli jak? Wybiegł, za nim pozostali z VIIIb, zostawiając Romka, który kurczowo trzymał się klamki u drzwi i jakby pogodzony z losem, czy raczej w szoku, usiłował uchronić kolegów, zachęcając ich do ucieczki. Mogło tak być? Niewykluczone.

Janina Melewska: *Podeszłam do ucznia Gapika, który słaniał się przy studni. Wzięłam chustkę z głowy i ściągnęłam mu głowę, żeby nie broczyła krew. Inni ludzie go przytrzymywali, a ja poszłam do telefonu i powiadomiłam doktora.*

To prawda, tyle że miało to miejsce dopiero wtedy, gdy dyrektor Bajoch dochodził do ulicy Kilińskiego lub już szedł środkiem ulicy w stronę cofającego się tłumu.

Jak ujęto dyrektora

Moja wersja zatrzymania dyrektora Bajocha, przez lata przyswojona jako „jedyna", w zasadzie nie odbiega od innych.

Mirek Boruń zapamiętał to tak: *Na ulicy Bajoch doszedł do Kupca i uderzył go ręką w twarz, kilka razy. Przyszli jeszcze inni mężczyźni, wśród których był Stanisław Wilf i Bik Antoni i obezwładnili kierownika i zanieśli go do szkoły.*

Bronek Kubarski wiedział od ojca, że to on był wśród tych, którzy obezwładnili Bajocha: *Tak, Kupec podszedł z tyłu do Bajocha i przewrócił go na ziemię, potem podbiegł stolarz Wilf i ktoś jeszcze, i mój ojciec. Dyrektor był silny i groźny,*

więc ojciec miał go walnąć z całej siły w głowę. Zdołali mu skrępować ręce, chyba jakimś sznurem, i zanieśli do szkoły, chyba do sekretariatu na parterze, i trzymali do czasu, aż przyjechała ciężarówka. Ponieważ wciąż się wyrywał, dostał drugi raz...

Janek Korzynek: *Następnie na ulicy został złapany i związany oraz odesłany karetką pogotowia.*

Janka Kamińska: *Po pobiciu woźnego i nauczycielki wyszedł na ulicę i coś mówił do siebie, ale co, nie słyszałam. Później na ulicy pan Kupec i inni mężczyźni złapali go.*

Zdzisław Szewczyk: *Później dyrektor wyszedł na dwór i mówił „kto jeszcze, kto jeszcze". Na ulicy, kiedy chciał uderzyć Kupca, został złapany przez ludzi i zaniesiony do kancelarii.*

Tomek Sikorski: *Widziałem, że kierownik na ulicy bił się wtedy z Kupcem. Później go złapali i zanieśli do szkoły.*

Rolisław Wąsek: *Bajoch wybiegł aż na ulicę. Tam uderzył Kupca i krzyczał „ty spekulancie". Przybiegli inni mężczyźni i obezwładnili Bajocha; gdy go nieśli, to krzyczał on „puśćcie mnie, sam pójdę, precz z dziećmi".*

Bajocha ze szkoły odwieziono na posterunek MO ciężarówką, co wiarygodnie potwierdził E. Biskupski, były uczeń Szkoły Podstawowej nr 1: *Ja już wtedy pracowałem w fabryce i zadysponowałem wysłanie ciężarówki, jak tylko dowiedziałem się, co się stało w mojej niedawnej jeszcze szkole. Pamiętam, że Bajocha trudno było uspokoić, bo rzucał się i krzyczał; mimo że związany, spadł nawet z tej ciężarówki, ale szybko dano sobie z nim radę, w czym pomógł też kierowca Stankiewicz. I odwieziono szybko, bo tłum już gęstniał i nie wiadomo, co mogłoby się jeszcze wydarzyć*[52]. Niektórzy do dziś są przekonani, że to nie była ciężarówka, a milicyjny gazik.

E tam, nic takiego

Od samego początku sprawa siekiery budziła wiele emocji, spierano się, czy to w ogóle była siekiera – czy „tylko" toporek, a może tasak, jak określiła to narzędzie jedna z poszkodowanych – ale przede wszystkim, skąd się wzięła w mieszkaniu Bajocha. To akurat wydaje się oczywiste: w szkole były piece kaflowe, do rozpalania używano drewna, które już zazwyczaj wewnątrz dzielono na szczapy – do tego potrzebna była siekiera. Używał jej woźny, ale też, własnej, dyrektor. Jeszcze więcej spekulowano na temat okoliczności, w jaki sposób tę siekierę utracił czy zgubił.

52 Notatka z rozmowy, 15.08.2011.

Nazwisko księdza Stanka było tu kluczowe, przeważnie sądzono, że to dzięki niemu Bajoch zgubił siekierę. W jakich okolicznościach, nie wiedziano, sam ksiądz sprawy nie ułatwiał, bo z nikim na ten temat nie chciał rozmawiać: *E tam, nic takiego* – zbywał ciekawskich. I choć jego zeznań wtedy nie znano, to przyjęło się w Zelowie, że „ksiądz uratował dzieci przed większą masakrą".

Niektórzy za dobrą monetę przyjmowali relację jednego z uczniów ósmej klasy, skądinąd syna milicjanta, znanego ze skłonności do „opowieści dziwnej treści" czy jakbyśmy to dziś określili, konfabulowania. Otóż Władek Szablewski opowiadał o swoim spotkaniu z Bajochem na korytarzu, walce, jaką z nim podjął, i wyrwaniu siekiery, z którą uciekł na drugie piętro, i tam miał skoczyć na topolę, a potem zejść na dół. Siekierę miał wyrzucić w żywopłot, choć potem nie mógł jej odnaleźć.

Najbliżsi koledzy nie dawali wiary opowieściom Władka i wręcz naśmiewali się z niego. W dokumentacji nie ma nic na ten temat, jest jedynie protokół oględzin siekiery, bez wyjaśnienia, w jaki sposób znalazła się w rękach prokuratora, a potem jako dowód w aktach śledztwa. Sam ksiądz Józef Stanek został przesłuchany przez prokuratora już 5 listopada, ale ponieważ jego zeznań nikt nie poznał, okoliczności tego zdarzenia przez lata pozostawały niejasne. Przyjąć należy zatem wersję, iż rzeczywiście to ksiądz Stanek wyszedł obronną ręką z pojedynku z Bajochem, i z siekierą, którą na boisku „komuś oddał". W każdym razie, jakkolwiek przez lata narosło wiele wątpliwości wokół niejasnych poczynań księdza w czasie wydarzeń w szkole, bez wątpienia po dramatycznym starciu w łazience dyrektor Bajoch stracił siekierę.

To on jest winien – pod ośrodkiem zdrowia

Początkowo trudno było się doliczyć rannych dzieci, bo jedno czy dwoje, w szoku... poszło po prostu do domu. Pozostali zostali jakoś opatrzeni na miejscu przez szkolną pielęgniarkę Helenę Korbutowicz i przez nauczycieli, a niedługo potem trafili do ośrodka zdrowia (przychodni) przy ulicy Żeromskiego.

Henryk Kaczorowski, wtedy uczeń czwartej klasy, zapamiętał, że Romka odprowadzili czy też zanieśli do ośrodka zdrowia wszyscy, *dużą, chyba stuosobową grupą*. Akurat z Romkiem było inaczej, bo został odwieziony – choć też do końca nie jest jasne, czy ciężarówką, czy karetką pogotowia. Natomiast rzeczywiście odprowadzono Danusię Jarosińską, co potwierdziła po latach, chociaż opisała to trochę inaczej niż Heniek. Bardzo prawdopodobna jest wersja, że przynajmniej przez część drogi niósł ją na rękach nauczyciel, wychowawca naszej VIIa, Henryk Pastusiak.

Gdy pod szkołę dotarł drugi ze znanych zelowskich lekarzy, Klemens Andrzejewski, rannych dzieci już nie było.

Tymczasem pod ośrodkiem zdrowia przy ulicy Żeromskiego rozgrywały się dantejskie sceny. Tłum gęstniał, ze znajdującego się naprzeciw biurowca (w którym urzędował już nowy dyrektor, następca Piekielnego) wyległa większość pracowników, zbiegali się zaniepokojeni rodzice. Było sporo dzieci, trzymających się kurczowo maminych rąk, i młodzieży szkolnej, gorączkowo dzielącej się informacjami. Potem wspominano, że wtedy po raz pierwszy usłyszano, jak ktoś mówił o „piekielnym mieście". I to się upowszechniło, zaczęło żyć wpierw jako przekleństwo, a nieco później nabrało znaczenia symbolu tego wszystkiego, co działo się przez lata w Zelowie. Słyszy się to określenie nawet współcześnie, choć w zupełnie innym kontekście. Będzie jeszcze o tym mowa.

Wielu ludzi, głównie ojcowie i matki poranionych uczniów, wchodziło do gabinetów lekarzy i pielęgniarek i domagało się wiadomości o stanie zdrowia swoich dzieci. Przeszkadzało dwóm lekarzom, którzy robili, co do nich należało, odpychało pielęgniarki. Przez telefon wzywano karetki pogotowia z Łasku i gdy te nadjechały, by zabrać rannych, nie wszyscy chcieli się z tym pogodzić, bo sądzili, że wystarczy pomoc miejscowych medyków. Poza tym w coraz bardziej rozhisteryzowanym tłumie szerzyły się nieprawdopodobne wręcz pogłoski, że „władza" (kogokolwiek miano na myśli) chce ukryć tragedię i dlatego wywozi dzieci z Zelowa. Gdzie i co miałaby z nimi zrobić – tego już nikt nie dociekał.

Atmosfera zrobiła się gorąca, gdy pod ośrodek zdrowia niespodziewanie podjechał samochód z powiatu i w wysiadającym rozpoznano inspektora wydziału oświaty z Łasku, tego właśnie, który bezpośrednio nadzorował liceum. Z dziesiątek gardeł poleciały okrzyki: *To on, to oni są winni. To przez niego trzymano tego pijaka. Razem pili...*

Inspektor próbował coś mówić, wyjaśniać, ale nikt go nie chciał słuchać. Tłum zafalował, w jego kierunku poleciała butelka, wyglądało to groźnie. Ktoś w końcu wepchnął inspektora do samochodu i ten szybko odjechał. Kto wie, jak by to się skończyło, gdyby w porę nie zrejterował.

Pod posterunkiem milicji

Dyrektor oszalał! Pijaczyna! Dyrektor morderca! Szkolny zbrodniarz! Na drzewo z nim! Powiesić! Powiesić! – skandowali ludzie, którzy zbiegli się pod posterunek milicji przy ulicy Kościuszki. To były najłagodniejsze i cenzuralne okrzyki,

przeważały przekleństwa. Zbiegowisko stawało się coraz większe i w powietrzu wisiało niebezpieczeństwo wtargnięcia na posterunek, samosądu, linczu. Milicjantom udało się przetrwać oblężenie i po godzinie niezauważenie wywieźć Bajocha z Zelowa. Mówili, że do Łasku. *E, tam, do wariatkowa, bo to przecież wariat* – zauważył ktoś przytomnie i dodał: *na pewno zrobią z niego wariata. Do Kochanówki, albo do Warty* – wymieniano znane w województwie łódzkim szpitale psychiatryczne. A *może do siostry w Pabianicach* – zauważył ktoś chyba dobrze zorientowany w lokalnych realiach.

Bajocha rzeczywiście odwieziono do szpitala powiatowego w Łasku, gdzie pobrano mu krew – świadczy o tym dokument, z którego wynika, że o godzinie 12.00 miał we krwi 0,94 promila alkoholu.

W aktach nie ma żadnej informacji, co działo się z nim przez następnych kilka godzin: pozostał w szpitalu, przewieziono go do powiatowej komendy MO czy może do prokuratury, czy też prowadzone były jakieś pertraktacje z siostrą Bajocha. W każdym razie szpital psychiatryczny w Warcie koło Sieradza odnotował przyjęcie dyrektora zelowskiego liceum dopiero o 21.00.

Nikt nie reagował

Tłum powoli się rozrzedzał, ludzie wracali do biurowca i fabryki, z której wybiegli na wieść o rozgrywającym się dramacie, do sklepów, do domów. Do późnego popołudnia w Rynku, opodal kościoła stały gromadki mocno rozdyskutowanych mieszkańców. Do „Gospody ludowej" trudno było wejść, przy białej czystej opowiadano o tym, co się zdarzyło, i snuto najrozmaitsze wersje. Gdy jeden z mieszkańców wspomniał, że w niedzielę, 3 listopada widział w *późnych godzinach wieczornych, około godziny dziewiętnastej, idącego ulicą w stanie upicia Tadeusza Bajocha podtrzymywanego przez jego syna i sekretarkę Zofię Ginowską, w towarzystwie pracowników Miejskiej Rady Narodowej w Zelowie*, rozwiązały się języki.

W tej pogłosce, choć jej prawdziwość była mocno wątpliwa, ujawnił się po raz kolejny wątek budzący wiele emocji: „stan moralny miejskich urzędników", a zwłaszcza przewodniczącego rady, włodarza miasta Feliksa Gosińskiego. O jego skłonności do alkoholu, podobnie jak w przypadku Bajocha, wiedzieli wszyscy w miasteczku. *Obu łączyła wódka* – mówiono teraz otwarcie i oskarżano Gosińskiego o tolerowanie pijaństwa dyrektora liceum.

Tego wieczora w knajpie za kotarą nie było nikogo z prominentnych zelowian. Spekulowano, że *siedzą teraz i radzą jak uratować dupy*, przecież jeszcze trzy dni wcześniej, w piątek, dyrektor, radny, protokołował posiedzenie rady czy też którejś z komisji. *Jak zawsze był podpity* – komentowano. I *nikt nie reagował...*

Decydenci rzeczywiście mogli czuć się niepewnie, bo ulica wiedziała swoje i oskarżała – konkretnych ludzi, przede wszystkim przewodniczącego rady miejskiej Feliksa Gosińskiego, którego biesiady w pobliskiej knajpie, za kotarą, nie były tajemnicą. Widywano go tam z dyrektorem liceum, wielokrotnie, podchmielonych, pijanych. I wytaczających się z gospody. Ta kumulacja faktów i plotek mogła teraz stać się okazją do realnych rozliczeń z zelowskim partyjno--urzędniczym establishmentem.

Według niepotwierdzonych informacji, przewodniczący ówczesnego prezydium Miejskiej Rady Narodowej Feliks Gosiński miał zwołać naradę z udziałem kilku radnych i ważniejszych urzędników jeszcze w poniedziałek wieczorem. Powiedział ponoć, że *przecież jeszcze w piątek Bajoch był na zebraniu gminnym, protokółował je, nie był pijany*. Ktoś zauważył, iż *to nie jest takie pewne, że był całkiem trzeźwy*, a poza tym *przecież było wszystkim wiadome, że Bajoch popijał, widywano go w knajpie w Rynku, za kotarą*[53].

Ktoś przypomniał skargi i wniosek dwu radnych, którzy przed rokiem wzywali *do natychmiastowego usunięcia Tadeusza Bajocha z zajmowanego stanowiska, ponieważ człowiek ten stanowił niebezpieczeństwo w szkole ze względu na jego stan zdrowia, jak również prowadzenie się niemoralne (spanie w stanie opilstwa na ławkach szkolnych)*.

Jedna z radnych przypomniała, że już przed wieloma miesiącami mówiła o niebezpieczeństwie *pozostawania Tadeusza Bajocha na stanowisku kierownika-dyrektora szkoły* i ostrzegała przed *odpowiedzialnością miejskiej rady za ewentualne następstwa*. Przypomniano, że nie została zrealizowana uchwała rady w sprawie *wyprowadzenia Bajocha z mieszkania na terenie szkoły* ani też w sprawie cofnięcia właścicielowi „Myśliwskiej" zgody na prowadzenie knajpy znajdującej się zbyt blisko szkoły, w której często widywano pijanego kierownika.

Nie wiadomo, jak przebiegała wieczorna narada „aktywu" i czy podjęto jakąś decyzję. Później plotkowano, że wieczorem tego dnia przewodniczącego rady widziano jednak... za kotarą, bo w knajpie miał, jak powtarzano, swój drugi gabinet, i tam, w zaufanym gronie, zapadały najważniejsze decyzje. To akurat nie musiała być prawda, z trudem można byłoby sobie wyobrazić Gosińskiego w taki dzień „za kotarą".

Na przecieki z wieczornego spotkania w urzędzie i głosy radnych powołali się jakiś czas potem rodzice poszkodowanych w liście do I sekretarza Partii Gomułki: *Ostrzeżenia te, spotkały się z ostrą krytyką przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej ob. Gosińskiego Feliksa*.

---

53 Notatki z rozmów autora z M. Ornafem, 2010–2017.

Ludzie ekscytowali się zmianami w fabryce, gdzie znowu przywieziono im dyrektora *skądsiś*..., i zbliżającymi się wyborami do rady miasta, które, jak się spodziewano, powinny wymieść z posad Gosińskiego i jego kompanów.

Ofiary dramatu

W godzinach południowych część poszkodowanych została przewieziona karetkami pogotowia do szpitala powiatowego w Łasku, niektórzy trafili do szpitali w Pabianicach i Łodzi. Nie było żadnych helikopterów, o których po kilkudziesięciu latach opowiadała jedna z ofiar, a skrzętnie opisał je młody redaktor w lokalnej gazecie.

Ciężkie obrażenia odnieśli: Zbyszek Furmański z klasy piątej, Danusia Jarosińska i Stasia Kaczor z siódmej, Andrzej Freus, Jadwiga Kulińska; lżejsze: Henia Gasińska i Irena Kruk z piątej, nauczycielka Maria Dzierdziejewska, katecheta Tadeusz Szymczyński oraz woźny Krzysztof Krygier.

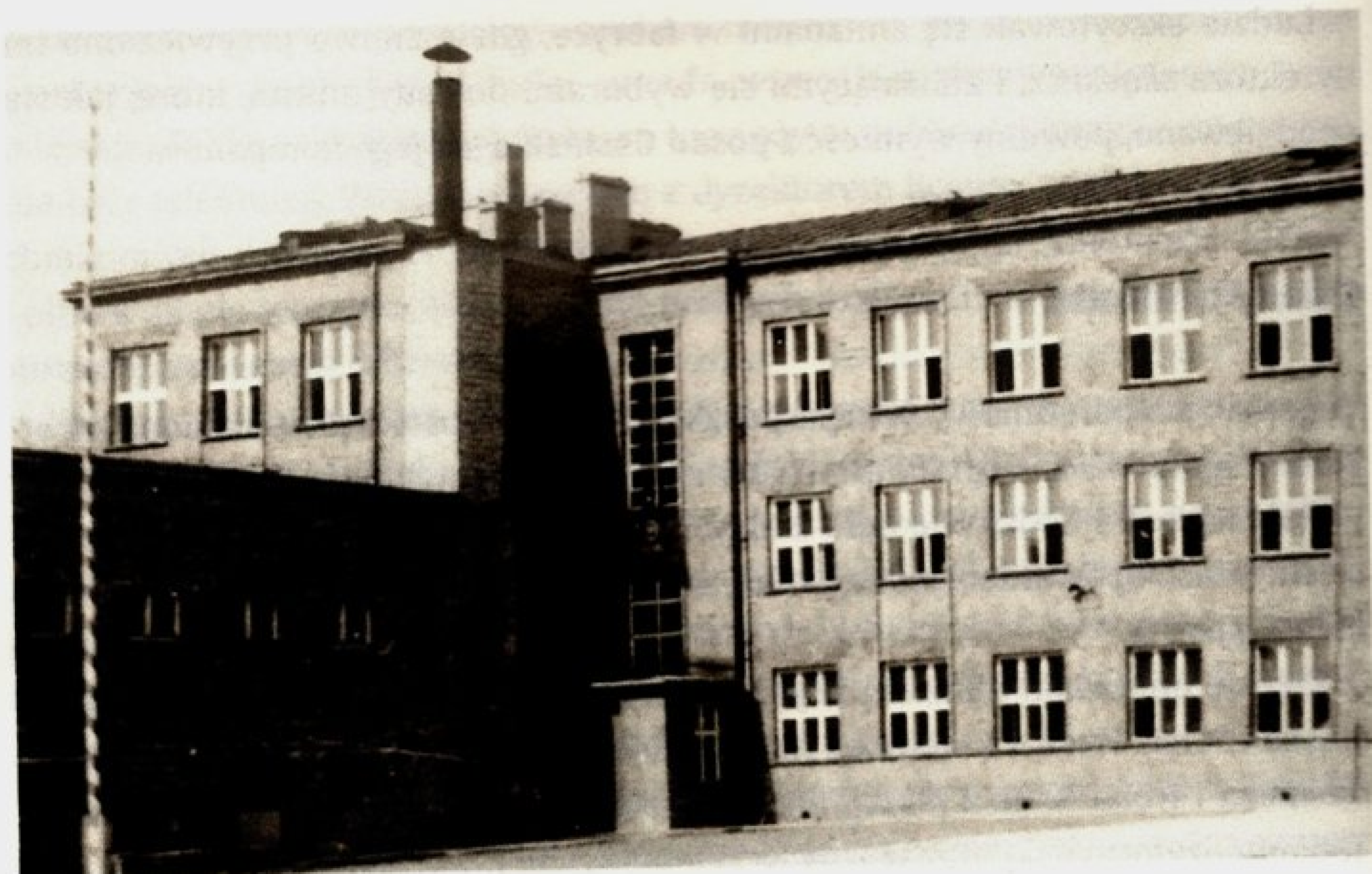
Księdzu Stankowi pierwszej pomocy udzielono dopiero na plebanii. Na szczęście uderzenie siekierą w ramię zamortyzowała „poducha" pod sutanną, a podrapania i pogryzienia okazały się niegroźne.

Za ofiarę tragedii można byłoby uznać też 14-letniego Wiesława, syna dyrektora, ucznia ósmej klasy – któraś z przytomniejszych nauczycielek miała go odnaleźć w mieszkaniu, za kotarą. Stał tam przez cały ten czas, od chwili, gdy jego ojciec zaczął się zachowywać „nienormalnie", i ogarniał go strach. Opowiadano, że był zielony na twarzy, zdawało się, że nie oddychał, stracił głos.

Historia ta, choć opowiadana przez nauczycielkę, wydaje się mało prawdopodobna. Z zeznań sekretarki Ginowskiej wynikało, iż kiedy po raz drugi, już po zdarzeniu, udała się do mieszkania Bajocha, na półpiętrze natknęła się na Wiesława schodzącego na parter. Ponieważ nikt nie wspominał, żeby go widział przed szkołą, bardzo możliwe, że opuścił on szkołę tylnym wyjściem i schronił się w ubikacji albo w którejś z komórek obok budynku.

Eugeniusz Biskupski, który się z nim przyjaźnił, niedawno opowiedział mi o ich wspólnych zabawach, m.in. odnalezionymi na poddaszu szkoły poniemieckimi maskami przeciwgazowymi, a także o spotkaniu z nim już „po wszystkim": *Zobaczyłem go obok szkolnych zabudowań gospodarczych, właściwie tuż przy ubikacji, która się tam mieściła, płakał. Złapałem go za rękę, próbowałem uspokoić, ale długo był roztrzęsiony, i płakał cały czas...*[54].

54 Notatka z rozmowy, 15.08.2011.



Szkoła w 1960 roku, już bez topoli

Jeszcze tego dnia Wiesława zabrała do siebie, do Pabianic, siostra dyrektora. Pozostawał pod opieką babci. W Zelowie skądś wiedziano, że odmówił składania zeznań i nigdy nie słyszano, by kiedykolwiek opowiedział komuś o tym, co działo się w domu w sobotę i niedzielę i w noc poprzedzającą tragedię oraz rankiem 4 listopada. Szybko o nim zapomniano, niekiedy tylko pojawiał się we wspomnieniach znających go bliżej kolegów. Mieszkanie po dyrektorze Bajochu zostało opróżnione i wyremontowane dopiero w marcu 1958 roku. Wkrótce zajął je następny dyrektor.

Romek

Następnego dnia, 5 listopada, rozeszło się po mieście, że dzieci nie spały w nocy, budziły się z krzykiem, były przerażone, płakały, dygotały, bały się. Tylko niektóre próbowały coś mówić, opowiadać. Dramatyzowały, szlochały i koloryzowały swoje relacje. Ulica podchwytywała wszystko, co się pojawiało w tzw. przestrzeni publicznej: że dzieci podczas ucieczki się przewracały, że kogoś zadeptano, że wyskakiwano przez okna z pierwszego i drugiego piętra, że kogoś nie można było przez kilka godzin odnaleźć, że ktoś się jeszcze nie odnalazł. Z ulic wymiotło dzieci, tylko gdzieniegdzie widać było czternasto-, piętnastolatków.



Sierpień 1957 – ostatnie wakacje Romka

Tego dnia wczesnym przedpołudniem do Zelowa dotarła wiadomość, że 14-letni Romek Gapik zmarł w nocy w łaskim szpitalu.

Romek Gapik urodził się 28 stycznia 1944 roku w Niemczech, dokąd jego rodzice zostali wywiezieni na roboty przymusowe. 15 maja 1957 roku uczeń Szkoły Podstawowej nr 2 napisał podanie do liceum w Łasku, bo losy jedenastoklasówki w Zelowie nie były jeszcze przesądzone. W załączonym życiorysie zaznaczył: *Najbardziej interesują mnie przedmioty: język polski, matematyka, historia, geografia i fizyka* [...] *pragnę zostać inżynierem budowy maszyn.* Dodał: *W klasie II wstąpiłem do OH* [organizacja harcerska powstała w miejsce ZHP]. *Obecnie należę do Związku Harcerstwa Polskiego*[55].

Pod koniec lipca wrócił bardzo zadowolony z kolonii, o czym pisał do poznanych na niej kolegów, bliżej nieznanych Wieśka i Ryśka, umawiając się z nimi na przyszłoroczne wspólne kolonie. Informował, że 14 sierpnia wyjeżdża na trzydniową wycieczkę do Krakowa, Oświęcimia, Zakopanego i Nowej Huty. To z tego

55 Dokument udostępniony przez Z. Gapika.







Pożegnanie Romka



Ksiądz Stanek i organista, ojciec rannej Jadwigi, w żałobnym kondukcie

czasu pochodzi ostatnie zdjęcie Romka – siedzi na skale na tle Morskiego Oka, w koszulce z krótkimi rękawkami, z charakterystycznym kosmykiem włosów przykrywającym czoło, wzrokiem skierowanym w aparat. Poważny, skupiony, może zamyślony, być może przyszły inżynier, albo wynalazca...

1 września 1957 roku rozpoczął naukę w dopiero co powstałej jedenastoklasówce, w klasie VIIIb. *Na tle klasy wyróżniał się* – wspominano – *wśród „rozbrykanych” licealistów, był najbardziej spokojny, zanurzony w książkach, wyciszony, może nawet zamknięty, wsobny...*

Pogrzeb zgromadził tłumy. Bliskich, przyjaciół, uczniów. Koledzy i najstarsi uczniowie ponieśli trumnę, dziewczęta i chłopcy wieńce i kwiaty. Nastrój żałoby, smutku i żalu udzielił się wszystkim. Gdy kondukt przystanął na chwilę naprzeciw szkoły, silniej zabrzmiały trąby strażackiej orkiestry; opowiadano potem o wielkim wzruszeniu, łzach i o *ciarkach przechodzących po plecach.*

Po pogrzebie komentowano obecność księdza celebransa Józefa Stanka, który odprowadzał Romka Gapika na cmentarz i odprawiał egzekwie. Był niewątpliwie bohaterem szkolnego dramatu, bo jak uważano, zapobiegł większej być może tragedii, ale wielu dziwił jego spokój, małomówność, wręcz milczenie na temat wydarzeń tragicznego poniedziałkowego ranka w szkole i tego, jak on sam przeżył ten dramat, czy chociażby, a może przede wszystkim, jak wyglądało jego „spotkanie” z dyrektorem Bajochem.

Gadali jak najęci

Przez kilka kolejnych dni po wydarzeniach pod szkołę wciąż przychodzili ludzie, oglądali miejsce tragedii, opowiadali, zwłaszcza przyjezdnym, których zwabiła sensacja. Wielu chciało wejść do budynku, ale ten był niedostępny dla postronnych osób, przez dwa–trzy dni w szkole pojawiali się prokuratorzy i funkcjonariusze z powiatowej oraz wojewódzkiej komendy, zapewne dokumentując ślady zbrodni. Zapewne – bo to tylko domysł, że tak powinny przebiegać rutynowe czynności śledcze. Żadnych zdjęć nigdy nie ujawniono. Ani informacji o przebiegu śledztwa.

Po tygodniu, dwóch gwar ucichł. Do szkoły wróciliśmy po dwóch tygodniach, bo tyle czasu miało potrwać wytłumienie emocji. Trochę wystraszeni, w obawie, że znów się coś wydarzy. Ale nie było ciszy, większość z nas gadała jak najęta, słuchałem opowieści kolegów, którzy ze swadą wspominali dramatyczne chwile i oczywiście koloryzowali swoje... dokonania. Szczególnie wyróżniał się wspomniany Władek, syn milicjanta, który opowiadał o efektownym skoku z drugiego piętra na stojącą za oknem wysoką topolę, dzięki czemu uratował się przed biegnącym za nim dyrektorem z siekierą (zapominał przy tym o poprzedniej wersji, że rzekomo wyrwał mu ją wcześniej).

Swoimi przeżyciami dzielili się uczniowie, którzy byli przesłuchiwani na posterunku MO, sami naprzeciw prokuratora czy częściej milicjanta, którzy nie potrzebowali świadków rozmowy – pozostawieni więc bez wsparcia, bo nikt z rodziców nie miał odwagi sprzeciwić się władzy. Bardzo przeżywaliśmy odwiedziny koleżanek w szpitalu i cieszyliśmy się, gdy po wielu tygodniach wracały ze szpitali do domów, a potem do szkoły. Ale widać było po nich, że daleko im do odzyskania zdrowia, często były nieobecne, bo tak zalecali im lekarze. Nie poszły później, jak większość z nas po podstawówce, do liceum.

Co jeszcze ukrywacie?

Mijały dni, miejscowi nadal gromadzili się pod posterunkiem MO przy ulicy Kościuszki. Złorzeczyli na funkcjonariuszy, że ci tuszowali skargi na dyrektora. Pod presją, zwłaszcza kobiet zbierających się pod posterunkiem, któryś z milicjantów odnalazł notatkę sprzed dwu lat o pobiciu metalowym prętem Loni, młodszej siostry rannej Stasi Kaczor. Została uderzona przez dyrektora tak mocno, że na karku została sina pręga, na tyle widoczna, iż zobaczyła ją matka. I powiadomiła milicję. W sprawę zaangażowało się wiele osób, tak wiele, że zgodnie z przewidywaniami, strony... porozumiały się. I sprawy nie było, bo matka pokrzywdzonej wycofała skargę. Za jaką cenę? Teraz ta notatka nabrała znaczenia,

Tragedia w Żelowie

Władze prowadzą energiczne śledztwo w sprawie nauczyciela – alkoholika

Przedwczoraj zdarzył się w Zelowie tragiczny wypadek. Dyrektor tamtejszej Szkoły Podstawowej i Liceum Ogólnokształcącego, Tadeusz [redacted] w nagłym ataku furii zranił siedmiu uczniów siekierą. Zranionych uczniów umieszczono natychmiast w szpitalach w Łasku, Pabianicach i Łodzi. Najcięższe obrażenia odniosło czworo dzieci. Jedno z nich — Roman Gapik zmarł po ciężkiej operacji. Stan pozostałych nie budzi w tej chwili obaw. Odwiedziliśmy szpitale, w których znajdują się chorzy i uzyskaliśmy informacje, z których wynika, iż — mimo poważnych obrażeń — stan zdrowia dzieci ulega poprawie. Tadeusz [redacted] znajduje się w tej chwili w szpitalu dla umysłowo chorych w Warcie.

Przypuszcza się, iż atak u Tadeusza [redacted] wywołany został na skutek nadużywania alkoholu.

Trudno wprawdzie w tej chwili ustalić, w jakim stopniu Wydział Oświaty Powiatowej Rady Narodowej w Łasku oraz Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Zelowie odpowiadają za to, iż nauczyciel-alkoholik wykonywał swój zawód, ale trzeba stwierdzić, że władze te musiały wiedzieć o nałogach [redacted]. Mimo to informacje te zostały zignorowane.

Trzeba również powiedzieć, że bierność miejscowego społeczeństwa sprzyjała tolerowaniu [redacted] na stanowisku dyrektora szkoły. Jak się dziś okazuje, wielu mieszkańców Zelowa wiedziało o nałogu [redacted], a mimo to nie przedsięwzięło stanowczych kroków w celu usunięcia nauczyciela-alkoholika.

Energiczne śledztwo w sprawie zelowskiej trwa.

Jedyny prasowy „dowód zbrodni"

miała być dowodem tuszowania wybryków miejscowego notabla. *Co jeszcze ukrywacie?* – dobiegało z tłumu.

Niektórzy przyprowadzali swoje dzieci będące świadkami zdarzenia, starsi uczniowie przychodzili sami. Przesłuchiwano ich bez obecności nauczycieli-wychowawców i bez rodziców. Zeznawali też nauczyciele i niektórzy zelowianie, m.in.

przewodniczący rady miejskiej, przewodniczący komitetu rodzicielskiego, oczywiście ksiądz Stanek. Niewiele z tego docierało do innych, najwięcej usłyszeć można było jeszcze od uczniów, którzy z niemałym podekscytowaniem coś opowiadali.

Z fragmentów zasłyszanych opowieści, strzępów przesłuchań i plotek tzw. ulica tworzyła własne wizje zdarzeń z udziałem Bajocha, począwszy od jego przybycia w 1951 roku do Zelowa aż po tragiczny listopadowy poniedziałek 1957 roku. Najwięcej pretensji kierowano pod adresem nauczycieli, którzy „o wszystkim wiedzieli", a ukrywali to przed innymi, padały oskarżenia, że chronili Bajocha, że są winni zbrodni.

Ktoś przypomniał, czy też puścił plotkę, że rodzice dzieci skarżyli się, gdzie się da, że przed dwoma laty pisali do Polskiego Radia, że w kwietniu 1955 roku w popularnej audycji radiowej „Fala 49" *mówiono o zelowskim dyrektorze szkoły, o jego pijaństwie, o tym, że bije dzieci, i że jego żona też bije dzieci.*

Mimo dociekań początkowo nie udało mi się potwierdzić prawdziwości tych pogłosek, potem w dokumentacji śledczej natrafiłem na zapisek wskazujący, iż prokuratura odnotowała co prawda tę plotkę, ale nie ma śladu wyjaśnienia, czy rzeczywiście ktoś z mieszkańców – cztery kobiety – pisał do „Fali 49". Dopiero po latach, gdy wczytałem się w cykl publikacji na temat tragedii, znalazłem wyjaśnienie tej sprawy:

> Dwa lata temu, również wiosną, cztery kobiety z Zelowa pisały do „Fali 49": „zapytujemy, czy można tym rzeczom zaradzić, które się u nas dzieją...". Po czym skarżyły się, że Bajoch pije, urządza awantury z żoną, że dnia pewnego wybił dzieci, że pijaństwo szerzy się w tym mieście. Cztery kobiety były wystraszone, nie położyły bowiem pod tym listem swych podpisów, błagały jednak o odpowiedź i to w czwartek, bo często w niedzielę nie ma prądu i nie słychać.

Ani w czwartek, ani w niedzielę kobiety nie doczekały się odpowiedzi na antenie radiowej, bo *trzej panowie, którzy zjechali do Bajocha, nie potwierdzili prawdziwości listu. Czemu dochodzić mieli przykrej prawdy, skoro milczało jak zaklęte najbliższe otoczenie pana kierownika*[56].

Skąd przybyli i kim byli „trzej panowie", co wyjaśniali, i jaki był ich rzeczywisty wpływ na to, że radio nie odpowiedziało na list zdesperowanych „czterech kobiet", nie wiadomo.

Pewną informacją była ta o kontroli w zelowskim liceum zleconej przez kierownika wydziału oświaty w Łasku Władysława Neumana. Czy w związku ze skargami mieszkańców? Też nie wiadomo, wiadomo natomiast, że komisja nie potwierdziła zarzutów wysuwanych pod adresem dyrektora szkoły. W aktach sprawy nie

56 Z. Chyliński, *Proces przeciwko miastu*, „Głos Robotniczy" nr 9–15, styczeń 1958.

ma co prawda sprawozdania z kontroli, ale musiało być znane śledczym, bowiem prokuratura skomentowała je jako niewiarygodne, gdyż *nie rozpytano wszystkich nauczycieli, a sami nauczyciele o tym nie mówili, ukrywając wiadome im fakty*[57].

Wiedzieli i nic z tym nie zrobili...

Krytykowano lekarzy, których wszyscy znali, bo od lat byli jedynymi w miasteczku i do nich chodzili mieszkańcy po poradę i pomoc, gdy zachorowali, przyprowadzali swoje dzieci. Teraz padały pod ich adresem ciężkie oskarżenia, zwłaszcza gdy pojawiły się informacje, że w przeszłości byli wielokrotnie wzywani do mieszkania Bajocha, gdy miał być chory, a faktycznie zastawali go w stanie opilstwa, i nic z tym nie zrobili...

Coś było na rzeczy. Jeden z miejscowych lekarzy w listopadzie 1953 roku wezwany do mieszkania Bajocha od razu wypisał skierowanie do szpitala psychiatrycznego w Warcie. Obecny przy tym ksiądz Głowacki (!), którego słowa odnalazłem w aktach, powiedział, że Bajoch *miał jakieś halucynacje, rozmawiał sam ze sobą, twierdząc, że słyszy jakieś głosy, pytania, na które sam odpowiadał.* Mimo to ksiądz próbował *wyspowiadać Tadeusza Bajocha i udzielić mu komunii*[58].

Bajoch do szpitala ostatecznie wtedy nie dojechał, bo, jak mówiła ulica, *bogata siostra z Pabianic załatwiła co trzeba, a lekarz zapomniał wyegzekwować*... Obecności księdza nie wspominano, bo przezornie jej nie nagłaśniano.

Półtora roku przed tragedią Bajocha dowieziono do szpitala psychiatrycznego w Warcie. *Jednak po przyjeździe karetki zjawiła się Leokadia S. i ustaliła z karetką, a także przybyłym na miejsce przedstawicielem Wydziału Oświaty – Kozakowskim Tadeuszem, że zabierze brata do siebie do domu i będzie się nim opiekować. Po tygodniu Bajoch powrócił do Zelowa* – czytam w jednym z dokumentów w aktach sprawy.

Po raz drugi Bajoch został dowieziony (tym razem skutecznie) do szpitala w Warcie 27 stycznia 1957 roku z powodu *objawów delirycznych na skutek przewlekłego alkoholizmu.* Przebywał tam dwa dni i został wypisany *bez objawów psychozy* na żądanie jego siostry Leokadii S. – przez dłuższy czas był na „rekonwalescencji" w jej domu w Pabianicach. W aktach odnotowano wypowiedź dyrektora szpitala: *Bajoch nie może przebywać w szpitalu z uwagi na brak możliwości zapewnienia bezpieczeństwa innym pacjentom.*

W Zelowie i w Inspektoracie Oświaty w Łasku nieobecnością dyrektora Bajocha w szkole zapewne się interesowano i wiedziano o jego pijaństwie, ale nie podejmowano żadnych działań. Dlaczego?

---

57 Prokuratura Wojewódzka w Łodzi, sygn. S 192/57.

58 Wszystkie zeznania, op. cit.

W poniedziałki zawsze był pijany

Dyrektor Bajoch w naszej klasie wykładał geografię i często go widywałem, ale nie zauważyłem, żeby był nienormalny – to Janek Korzynek z siódmej klasy. *Nieraz tylko wykładał takie rzeczy, których nie było w książce, i później chciał, żebyśmy to umieli, a my nie mieliśmy się z czego uczyć. Często nie przychodził na lekcje, toteż przez dwa miesiące mieliśmy tylko sześć lekcji. Do nas na lekcje pijany nie przychodził, ale słyszałem od starszych kolegów, że dyrektor przychodził na lekcje pijany, wtedy mogli odpowiadać, co chcieli, i dostawali dobre stopnie. Słyszałem, że nieraz gonił się z uczniami po klasie.*

Dwunastoletni Zdzisław Szewczyk z piątej: W *naszej klasie dyrektor nie uczył, ale nieraz przychodził na zastępstwo, lecz nie miał wtedy żadnych lekcji, tylko cały czas żartował z nami. Bajoch prawie zawsze był pijany, tzn. codziennie, przez cały tydzień, czasami dwa–trzy razy w tygodniu. Wiedziałem, że bije dzieci, po szyi. Jak uderzył w szyję Jurka Szymczyka, to on aż się przewrócił.*

Mirek Boruń z siódmej: *Kierownika Bajocha widziałem kilka razy pijanego przed lekcjami i w czasie lekcji. U nas w klasie nie widziałem go pijanego, uczniowie z innych klas opowiadali mi, że Bajoch płakał na lekcji, zgrywał się, stawiał wtedy dobre oceny. W zeszłym roku widziałem, jak Bajoch gonił ulicą swoją żonę wieczorem; gdy nas zauważył, to zaczął śpiewać piosenkę.*

Władek Szablewski z ósmej klasy: *Widziałem kilka razy, jak Bajoch przychodzi do nas podpity na lekcje. Poznawałem, że jest podpity po oczach – zresztą wtedy był zawsze dobry, nie pytał i nie prowadził lekcji, tylko opowiadał coś, względnie kazał nam iść na boisko i grać w piłkę.*

Dziesięcioletni Janek Kapuściński: *Jak byłem w pierwszej klasie, to przypominam sobie, że Bajoch przychodził do klasy podpity, bo się po klasie kołował. Zadał on nam wtedy trudne rachunki i nie mogliśmy ich rozwiązać. Wtedy dzieci mocno się go bały, bo bił wtedy uczniów ręką w nos aż krew leciała.*

Licealista z ósmej, Mietek Posim: *Tadeusz Bajoch często przychodził na lekcje pijany, a w poniedziałki to zawsze był pijany, ale na lekcjach zachowywał się spokojnie i nie awanturował się.*

Jedenastoletni Jurek Nowak: *Mnie Bajoch nie uczył, w zeszłym roku, gdy Bajoch zastępował nieobecnego nauczyciela w naszej klasie, to był podpity. Pół godziny przed dzwonkiem zwolnił nas z lekcji.*

Danusia Jarosińska-Konieczna, jedna z ofiar, wspominała po wielu latach: *Dyrektor był niemiły, w stosunku do dziewczyn zachowywał się niestosownie. Chłopcy opowiadali, że bił ich w szyję. Z dobrej strony go nie pamiętam*[59].

---

59 Notatka z rozmowy, 7 czerwca 2017.

Spowiadał się przed księdzem

Mieczysława Kiełbasińska, wicedyrektorka szkoły podstawowej i ogólnokształcącej tak zeznawała przed prokuratorem:

> Wiadomo mi, że Tadeusz Bajoch był pijakiem. Z żoną miał często awantury i żona nawet uciekała do obcych ludzi. W ubiegłym roku żona od niego odeszła. Około dwa czy trzy lata temu Tadeusz Bajoch zachorował i był u niego lekarz i prawdopodobnie powiadomił Zakład dla Umysłowo Chorych w Warcie, i przyjechała karetka i jego siostra z Pabianic. Został on wówczas zabrany, ale gdzie był, ja nie wiem, i po upływie około tygodnia czasu powrócił. Pamiętam, że zanim przyjechała karetka i jego siostra, to poszłam do Tadeusza Bajocha z Janiną Melewską i tam był ksiądz Głowacki, teściowa Bajocha i przyjmował komunię od księdza w swoim mieszkaniu, miał różaniec na szyi i modlił się[60].

Spytano ją, czy wydział oświaty wiedział o tym. *Tak, słyszałam, że był powiadomiony i wiedział o tym. Kilka razy byli z Wydziału Oświaty badać sprawę, czy Bajoch pije, czy nie. Mnie nigdy nie pytali.*

Z charakterystyk służbowych wynikało, że Bajoch był oceniany pozytywnie, nie było żadnej wzmianki o jego pijaństwie i ekscesach.

Janina Melewska, nauczycielka od 1946 roku:

> Około 7 lat temu kierownikiem szkoły został Tadeusz Bajoch Początkowo praca układała się dobrze. Po roku zauważyłam, że Tadeusz Bajoch pije, że żona uciekała od niego, i myślę, że z tego powodu, iż pił. Około trzech lat temu ja i grono nauczycielskie zauważyliśmy, że Tadeusz Bajoch jest jakby nienormalny, zatargi miał z żoną, ponieważ pił, a jak był pijany to mówił, iż przez nią pije, że ją bardzo kocha i bez niej nie może żyć. Powiadomiono Zakład dla Umysłowo i Psychicznie Chorych w Warcie, ażeby przyjechała karetka pogotowia i zabrała go, gdyż jest nienormalny. Przyjechała karetka i Tadeusz Bajoch został zabrany, z tym że przyjechała jego siostra z Pabianic i razem z nią wyjechał. [...] Po upływie około tygodnia Tadeusz Bajoch powrócił i rozpoczął pracę. Po upływie około dwóch tygodni otrzymał urlop z Wydziału Oświaty i wyjechał z żoną na wczasy. Jak powrócił, to przez dłuższy czas wódki nie pił i żył dobrze z żoną, a potem znów zaczął pić. Nawet dzieci mówiły, że przychodzi na zajęcia pijany. Przyjeżdżali z Wydziału Oświaty w Łasku i wzywali nieraz nauczycieli i rozpytywali. Ja jeden raz również byłam rozpytywana, a było to, jak zabrała go już karetka, złożyłam wtedy oświadczenie.

---

60 Wszystkie zeznania, op. cit.

Sygn. akt S 104/57

Protokół przesłuchania świadka

Dnia 4 listopada 1957 r. w Zelowie

~~Wice-Pod-~~Prokurator, ~~St. Referendarz Śledczy, Asesor~~[1] Prokuratury Powiatowej w Łasku

z udziałem Protokólanta sekr. M. Wałaszka

w obecności stron —

przesłuchał niżej wymienionego w charakterze — świadka bez odebrania przyrzeczenia[1]). — Po uprzedzeniu świadka o prawie odmowy zeznań (art. 94 k.p.k.) i o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania — oraz o znaczeniu przyrzeczenia Prokurator odebrał od niego przyrzeczenie na zasadzie art. .... k.p.k.[1]), po czym oświadczył on, że[2]) ....

.... i świadek zeznał co następuje:

Imię i nazwisko Mieczysława Kiełbasińska

Wiek 53 lata

Imiona rodziców Jakub i Wilhelmina

Miejsce zamieszkania Zelów, ul. [illegible] 16, pow. Łask

Zajęcie nauczycielka

Karalność nie karana

Stosunek do stron obca

Ja jestem od września 1957 r. wicedyrektorem Szkoły Podstawowej i Ogólnokształcącej w Zelowie a przedtem byłam nauczycielką. Od września 1957 r. Tadeusz Bujok jest dyrektorem tejże szkoły a przedtem przez okres około 6-u lat był kierownikiem szkoły podstawowej w Zelowie. Wiadomo mi, że Tadeusz Bujok był pijakiem, z żoną miał częste awantury i żona nawet w nocy uciekała do obcych ludzi. W ubiegłym roku żona od niego odeszła. Około dwa razy [illegible]

[1]) Zbędne wyrazy druku należy podkreślić.
[2]) W tym miejscu należy wpisać odpowiedź, jakiej udzielił świadek, po uprzedzeniu go o prawie odmówienia zeznań (art. 101 k. p. k.):

Zeznanie Mieczysławy Kiełbasińskiej

Melewska mówiła:

Dyrektor Bajoch miał do mnie pretensje –Posądzał, iż napisałam na niego skargę. Mówił, że wie o tym od Olszewskiego. Spotkałam kiedyś Olszewskiego i zapytałam, czy mówił Bajochowi, że ja pisałam skargę. Olszewski odpowiedział, że on nie mówił, a to właśnie Bajoch mówił mu, że ja pisałam skargę. Ja żadnej skargi na Tadeusza Bajocha nie pisałam. Poprosiłam kiedyś Olszewskiego żeby przyszedł na świetlicę i przyszedł, był tam również Bajoch. Olszewski potwierdził, że tego nie powiedział o mnie. Bajoch złapał wówczas stołek i uderzył nim Olszewskiego, mówiąc, że jest kłamcą. Olszewski był wtedy przewodniczącym Komitetu Rodzicielskiego.

Maria Dzierdziejewska:

Tadeusza Bajocha znam dobrze od 1951 r., bo w tym roku został kierownikiem szkoły nr 1. Bajoch jako kierownik dobrze prowadził szkołę, ale zauważyłam, że pił alkohol. Pił on wódkę od samego początku, choć z pewnymi przerwami. Widziałam go często pijanego albo w stanie podpitym, w czasie zajęć szkolnych czułam od niego wódkę. Zdarzały się wypadki, że Bajoch najprawdopodobniej upijał się i leżał w łóżku i musieliśmy go zastępować. My wszyscy, gdy się dowiedzieliśmy, że Bajoch jest chory, przekonani byliśmy, że jest po prostu pijany i wstydzi się nam, tzn. nauczycielom i uczniom, pokazać. Bajoch już przedtem miał zaburzenia życia psychicznego. Przypominam sobie, że kilka lat temu wyglądał jak obłąkany, spowiadał się przed księdzem. Widziałam wtedy, że Bajoch włożył różaniec na szyję i chodził z nim. Słyszałam, że ma być wywieziony do Warty – było to kilka lat temu, ale czy był w Warcie, nie wiem. Dziś słyszałam, że po tym wypadku Bajoch zamiast w Warcie przebywał u swej siostry w Pabianicach. Gdy wrócił, nadal pił wódkę.

Baliśmy się interweniować

Maria Dzierdziejewska kontynuowała:

Nie słyszałam, aby kiedyś na Radzie Pedagogicznej poruszono to, że Bajoch pije często wódkę. Zdaje się dwa lata temu władze szkolne przeprowadzały postępowanie wyjaśniające w sprawie picia wódki. My wiedzieliśmy, że Bajoch pije wódkę, ale baliśmy się interweniować u władz szkolnych, gdyż dyrektor mógł nam zaszkodzić.

Po drugie szkoda nam było jego, gdyż mogliby go usunąć ze stanowiska. Żyliśmy jednocześnie w przekonaniu, że Bajoch wreszcie przestanie pić wódkę.

Nauczycielka znała też dobrze żonę Tadeusza Bajocha:

To była jego druga żona, ale z nią nie żyje. Wcześniej wiele razy od niego odchodziła, bo Bajoch pił wódkę. Zwierzała mi się ze swoich zmartwień, np. mówiła, że jej mąż ma w mieszkaniu poukrywaną w różnych miejscach wódkę. Bała się go, był skłonny do sprzeczek, nagłych wybuchów, miewał napady złości i często taki dziwny wygląd oczu. Były przypadki, że z obawy przed nim nocowała poza domem, ale nie wiem u kogo.

Nie do końca było prawdą, że na radzie pedagogicznej nie poruszano „sprawy picia przez Bajocha". Był przynajmniej jeden taki przypadek z udziałem nauczyciela języka rosyjskiego Wacława Szklarskiego, który powiedział, że *pan kierownik nie powinien po pijanemu pokazywać się publicznie, czy na konferencji.* Bajoch miał zaprzeczyć gwałtownie tym słowom, ale później – jak ujawnili świadkowie – *na osobności złapał Szklarskiego za klapy, rozerwał mu marynarkę i zasyczał: „Ja ci pokażę, ty..."*. Wkrótce potem nauczyciel rosyjskiego odszedł ze szkoły i wyjechał z Zelowa.

Ksiądz Stanek: *Stosunki między nauczycielami nie są mi znane, bo krótko w szkole pracuję. Bajocha znam tylko z widzenia jako kierownika szkoły.*

Trzydziestoczteroletni Tadeusz Szymczyński, nauczyciel religii, w szkole od stycznia 1957 roku: *Bajocha znam jako kierownika szkoły. Tylko jeden raz widziałem Bajocha podpitego – było to w przededniu wyborów do sejmu w styczniu 1957 r. Z obserwacji zauważyłem, że Bajoch był kierownikiem-dyktatorem, którego nauczyciele się bali.*

Podaje się tylko dla orientacji

W aktach znajduje się protokół przesłuchania jako świadka nauczycielki z Woli Buczkowskiej (wioski oddalonej około 10 kilometrów od Zelowa) Krystyny Seroczyńskiej, z 13 grudnia 1957 roku:

W szkole pracuję od roku 1950. Szkołę tę objęłam po nauczycielu Tadeuszu Bajochu, który uczył uprzednio w tej szkole. Jak mi jest wiadomym na podstawie kroniki szkolnej, Bajoch pracował w Woli Buczkowskiej od roku 1948-50. Po rozpoczęciu pracy w Woli Buczkowskiej słyszałam od miejscowych ludzi, że Tadeusz Bajoch, będąc nauczycielem, często popijał sobie wódkę. Usłyszałam od ludzi, że

> pewnego razu Bajoch udał się z dziećmi do lasu i w lesie wprowadził się w stan nietrzeźwości, a następnie kazał dzieciom wynosić drzewa z lasu na łąkę, które było ułożone w metrach. Po niedługim czasie Bajoch polecił dzieciom drzewo zaniesione na łąkę nosić z powrotem do lasu, i w czasie tym Bajoch pobił jednego ucznia szczapą drzewa. Jak słyszałam, uczeń ten przez pewien czas był chory. O fakcie tym nie meldowano do Wydziału Oświaty, a to z tego powodu, że Bajoch Tadeusz udał się do rodziców i przeprosił ich za to, oraz miał kupić ubranie temu uczniowi. Nadmieniam, że Bajoch Tadeusz popijał na terenie wsi Wola Buczkowska.

Trzy dni później komendant powiatowy MO w Łasku, wypełniając polecenie Prokuratury Wojewódzkiej, informował: *Tadeusz Bajoch pracował w szkole w Woli Buczkowskiej od roku 1948 r. W czasie tym bardzo często popijał wódkę z miejscowymi gospodarzami. Charakterystycznym wypadkiem był fakt w roku 1949, kiedy to udał się z dziećmi na wycieczkę do lasu* – tu opis tego zdarzenia został uzupełniony o informację, że wtedy także *przeprawiał dzieci przez rzekę po pijanemu.* I dalej: *Na powyższe okoliczności przesłuchano 3 osoby, protokoły przesłuchania załącza się. Pobitego wówczas ucznia nie przesłuchiwano, ponieważ jest on obecnie w Wojsku, przesłuchano tylko jego matkę.*

Komendant, który był być może lepiej doinformowany, a może tylko dzielił się plotką dotyczącą dnia zelowskiej tragedii, zeznał:

> Nadmieniam, że w sprawie Bajocha Tadeusza dzień krótko przed rozpoczęciem się lekcji do Bajocha do mieszkania prywatnego weszła sekretarka Zofia Ginowska i Bajoch usiłował odbyć z nią stosunek płciowy. Na propozycję ta Ginowska odpowiedziała, że nie można, bo jest pełno dzieci w szkole. W odpowiedzi na to Bajoch miał chwycić za topór i powiedział, że „ja ich powybijam, to mi nie będą przeszkadzać". Widząc to, Ginowska wybiegła od niego z pokoju i pobiegła na dół, krzycząc, że Bajoch rąbie dzieci toporem. Czy polega to na prawdzie, tego nie ustalono. Podaje się tylko dla orientacji.

To przez nią...

Zarówno w aktach przeglądanych po latach, jak i wówczas, w 1957 roku na plan pierwszy w zeznaniach i relacjach wysuwa się osoba sekretarki szkolnej Zofii Ginowskiej. Mówiono „otwartym tekstem" o mających ją łączyć bliskich stosunkach z dyrektorem Bajochem, niektórzy twierdzili z przekonaniem, że *sypiała z nim.* To ją obciążano za to, co stało się w szkole, (*to przez nią*), a najpoważniejszym

oskarżeniem miał być fakt, iż w przeddzień, w niedzielę po południu, odwiedziła dyrektora, zaś rano 4 listopada uwolniła go ze sznurów, którymi był przywiązany do łóżka. Fakt, iż wbiegła do pokoju nauczycielskiego z krzykiem: *kto mocny, niech idzie na górę*, miał być potwierdzeniem, że wiedziała o uwolnieniu Bajocha i jego „przygotowaniach" do wyjścia z mieszkania.

Podczas oględzin mieszkania dyrektora Bajocha ujawniono zwoje sznurów poprzecinanych w kilku miejscach i rękawiczki sekretarki. Także ampułki z luminalem, antydepresanty, środki nasenne i wiele innych leków.

Dziewiętnastoletnia Zofia Ginowska zeznała, że w dniu poprzedzającym tragiczne wydarzenia, w niedzielę przed południem, przyszedł do jej domu Wiesław, syn dyrektora, i powiedział, że jego ojciec oczekuje od niej sprawozdania na radę pedagogiczną. Poszła z chłopcem do szkoły i w sekretariacie je pisała. O godzinie 13.00 zaniosła dokument Bajochowi. W mieszkaniu nie zauważyła wówczas *niczego specjalnego*, dyrektor wyglądał na zmęczonego, polecił zostawić jej to sprawozdanie i odebrać następnego dnia przed ósmą rano w kancelarii.

Tak opisywała, co zdarzyło się następnego dnia, w poniedziałek 4 listopada:

> Ponieważ kancelaria była zamknięta, udałam się do mieszkania Bajocha. W mieszkaniu był jego syn Wiesław, Bajoch leżał na łóżku; kiedy podeszłam, widziałam, że miał związane ręce sznurkiem. Był przykryty, ale nie pamiętam, czy była to pierzyna czy kołdra. Czy był ubrany w piżamę czy w koszulę, nie pamiętam. W pewnej chwili Bajoch zaczął krzyczeć, żeby wyjść z mieszkania. Zwrócił się do syna, żeby mu rozwiązał ręce. W mojej obecności syn Bajocha odpiął rękę. Ja wyszłam, w sumie byłam tylko kilka minut. Od Bajocha nie czułam wódki. Poszłam do kancelarii i zaczęłam telefonować do lekarza, o co prosił mnie syn Bajocha. Dzwoniłam do ośrodka zdrowia do dr. Łuczyńskiego, któremu powiedziałam że Bajoch jest chory, i żeby przyszedł. Doktor odmówił. Wtedy dzwoniłam do pogotowia w Łasku, ale nie mogłam się dodzwonić. Następnie wybiegłam na korytarz gdzie spotkałam syna Bajocha, który mówił, że ojca rozwiązał i chodzi on po mieszkaniu. Synowi Bajocha szła krew z nosa. Ja wtedy pobiegłam na górę i widziałam, jak szedł w piżamie do łazienki, skąd przyniósł siekierę. Ja wówczas zaczęłam uciekać, Bajoch uderzył mnie czymś w ramię, od tego miałam zadrapania.

Ja nie byłam kochanką Bajocha, ani z nim nie żyłam – zapewniła prokuratora.

Jedna z nauczycielek przy niemal całym gronie pedagogicznym wprost obwiniła Zofię Ginowską, że przyczyniła się do śmierci ucznia, i uderzyła ją w twarz. „Demoniczna" Zofia zrezygnowała z posady sekretarki i wyjechała z Zelowa. Na zawsze.

Towarzysze z powiatu

Po latach w łódzkim archiwum odnalazłem notatkę z 14 listopada 1957 roku. Dziesięć dni po szkolnej tragedii sprawą zajęła się egzekutywa Komitetu Powiatowego PZPR w Łasku. Nie był to jedyny punkt tego posiedzenia, choć pierwszy w kolejności: „omówienie i ustosunkowanie się do wypadku w Zelowie (Szkoła)”.

Głównym mówcą był oczywiście I sekretarz powiatowy Jan Ścibiorek. To on przedstawił sprawę „wypadku w szkole”, choć znał ją wyłącznie z relacji uzyskanych po tzw. linii partyjnej. Ale sekretarz bynajmniej nie koncentrował się na samym zdarzeniu, ale na towarzyszu Neumanie, kierowniku powiatowego wydziału oświaty. Otóż problemem okazało się to, że gdy tuż po zdarzeniu przyjechał on do Zelowa i *jak zobaczył dzieci zbroczone we krwi, to zamiast pomóc nauczycielstwu, to wsiadł w samochód i odjechał z powrotem do Łasku, co świadczy o tchórzostwie ze strony tow. Neumana*[61].

Co na to towarzysz Władysław Neuman? Był otóż w Zelowie, pojechał, gdy tylko powiadomił go o zdarzeniu przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej w Zelowie. Widział ranne dzieci i karetki pogotowia, które przewoziły je do szpitala powiatowego. Podjechał pod ośrodek zdrowia przy ulicy Żeromskiego: *Było dość dużo ludzi, którzy wykrzykiwali pod moim adresem, że to ja doprowadziłem do tego stanu, że wiedząc o zachowaniu się ob. Bajocha, trzymałem na stanowisku wariata. Bojąc się tłumu, żebym nie został pobity, wsiadłem w samochód i pojechałem z powrotem do Łasku.*

Według niego Tadeusz Bajoch *jako kierownik szkoły był dobrym pracownikiem, który potrafił dbać o porządek i cieszył się dobrą opinią wśród społeczeństwa Zelowa. Jako kierownik wydziału oświaty nigdy nie wiedziałem i nie słyszałem, żeby był nałogowym alkoholikiem.*

Nie słyszał, nie widział, choć przyznał, że wcześniej *żona Bajocha przyjechała do mnie, że mąż ją maltretuje, i że jest pijakiem*, a siostra dyrektora już przed dwoma laty prosiła go, żeby pomógł jej, gdyż ona chętnie zajmie się bratem, aby tylko *nie odwożono go do szpitala psychiatrycznego w Warcie*. Towarzysz Neuman, zgodnie z obowiązującą wtedy partyjną zasadą, złożył samokrytykę: *To prawda, nie wyciągnąłem żadnych wniosków...*

Na koniec swej wypowiedzi Neuman oświadczył: *Wypadkiem jestem wstrząśnięty i nie mam sił do tej pracy i dalej na tym odcinku pracować nie mogę...*

---

61 APŁ, zespół KP PZPR w Łasku, Protokół z Egzekutywy KP PZPR w Łasku z dnia 14.11.1957. (kserokopia w zbiorach autora).

Co na to członkowie egzekutywy? Towarzysz Woźniak z Zelowa uznał, że dobrze się stało, że Neuman odjechał wtedy do Łasku, *bo tłum był rozgoryczony i mógłby go pobić.* Towarzysz Skotnicki stwierdził, że *nie powinniśmy się kierować psychozą tłumu, a winniśmy ocenić, ile jest tu winy towarzysza Neumana. Mnie się wydaje, że winy tow. Neumana nie ma,* i podkreślił: *tyle, ile zrobił dla szkolnictwa tow. Neuman, to inni kierownicy pochwalić się nie mogą.* Skotnicki też uważał, że Neuman dobrze zrobił, iż wtedy odjechał z Zelowa, *bo tłum w takich chwilach jest niepoczytalny.* I apelował, żeby nie wyciągać *jakichkolwiek wniosków czy to administracyjnych, czy też partyjnych w stosunku do tow. Neumana,* ale *doprowadzić do tego, żeby naprawić nadszarpniętą opinię tow. Neumana na skutek wypadku zelowskiego.* Towarzysz Kobylski poszedł dalej i zaproponował, żeby *sprawę tę omówić w prasie i nadszarpniętą opinię tow. Neumanowi przywrócić.*

Ówczesny poseł Rawicki nie zgłaszał żadnych wniosków, bo *trudno jest na egzekutywie ustalić winę tow. Neumana.* Nikt z obecnych nie winił dyrektora Bajocha, powtarzała się opinia, że był dobrym organizatorem, Skotnicki mówił, że był na różnych posiedzeniach z jego udziałem *i* odniósł wrażenie, że *był to człowiek o wysokiej moralności.* Neuman mimo wyraźnie sprzyjającego mu klimatu potwierdzał z determinacją, że *jest wstrząśnięty, nie może dalej pracować i musi z tej pracy zrezygnować.*

Podsumowując dyskusję, I sekretarz Komitetu Powiatowego PZPR tylko na moment skierował uwagę na byłą sekretarkę Bajocha, wobec której *opinia publiczna jest urażona i ma zastrzeżenia.* Poinformował, nie wyciągał z tego faktu żadnych wniosków. Ale w sprawie Neumana miał odmienne zdanie od pozostałych: *tow. Neuman w opinii publicznej w Zelowie nie wygląda dobrze* i, niestety, stwierdził I sekretarz *nie zadał sobie żadnego trudu, żeby być w Zelowie i nadszarpniętą opinię swą ratować.* Sekretarz Ścibiorek powiedział również, że w wydziale oświaty *zbyt mało się wie, jak pracują nauczyciele w terenie, a przecież podobnych pijaków jest więcej, jak np. P., kierownik szkoły w Dobroniu i wielu innych.* Podkreślił: I *my, towarzysze, musimy szybko te sprawy naprawić, a wielu z nauczycieli musi odejść*[62].

W „sprawie zelowskiej" zaproponował, zgodnie z partyjną praktyką, powołanie komisji oświatowej, która tym się zajmie. Następnie egzekutywa przeszła do omówienia spraw organizacyjnych związanych z wyborami do rad narodowych.

Sposób, w jaki tragedię w Zelowie potraktowała instancja partyjna, dobrze oddaje klimat tamtego czasu – z dominującą, wszechobecną i wszechwładną

62 Tamże.

P r o t o k ó ł

z posiedzenia Egzekutywy KP PZPR w Łasku, z dnia 14 listopada 1957r.

Obecni: z ramienia KW tow. Wiecznik Tadeusz

Członkowie Egzekutywy: Ścibiorek Jan, Rawicki Marian, Kubiak Edward, Leder Marian, Błaźnik Zygmunt. Kobylski Marian Skotnicki Leopold, Woźniak Henryk.

Nieobecni: Tow. Kaźmierski Marian,

Zaproszeni do pkt. 1-go: tow. Orłowski Stanisław - Pow. Prokurator, Neuman - Kier. Wydz. Ośw.

Porządek obrad:

1. Omówienie i ustosunkowanie się do wypadku w Zelowie/Szkoła/
2. Sprawy organizacyjno - personalne,

Do pkt. 1-go

Sprawę Zelowskiego Wypadku w szkole zreferował tow. Ścibiorek, referując wypadek mówi, że w tym czasie przyjechał tow. Neuman samochodem do Zelowa i jak zobaczył dzieci zbroczone w krwi, to zamiast pomóc nauczycielstwu, to ~~wsiadł~~ wsiadł w samochód i odjechał z powrotem do Łasku, co świadczy o tchórzostwie ze strony tow. Neumana, również tow. Ścibiorek zwrócił uwagę na fakt że od wypadku upłynęło kilkanaście dni, to jednak dotychczas tow. Neuman nie był w Zelowie, aby wytłumaczyć tą sprawę kier. Szkoły ob. Byjoona społeczeństwu i nauczycielom Zelowa. Następnie tow. Ścibiorek zwrócił sie do Egzekutywy celem ustosunkowania się do tow. Neumana. Z kolei w celu lepszego zobrazowania całości sprawy zabrał głos Prokurator Pow. tow. Orłowski mówi że sprawę w celu przeprowadzenia śledztwa w sprawie zelowskiej zajęła sie Wojewódzka Prokuratura w Łodzi, który jednak ze względu na znajomość powyższej sprawy naświetlił sprawę Zelowską. Jak wynikało z przeprowadzonego śledztwa to opinia społeczeństwa w Zelowie jest taka że ob. Byjoch to pijak i awanturnik, nauczyciele w czasie składania zeznań nadmienili że ob. Byjooh cieszył sie dobrą opinją u tow. Neumana. Śledztwo wykazało że w roku 1956r. ob. Byjoch dostał zaburzeń czynności umysłowych i miał być umieszczony w szpitalu dla umysłowo - chorych.

Partią (pisaną zawsze z dużej litery), która nigdy się nie myliła, nigdy nie popełniała błędu, a wszelkie zdarzenia, które w jakikolwiek sposób naruszały lub choćby mogły naruszyć ten nieskazitelny wizerunek, były odsuwane „na potem", o ich sprawstwo obwiniano wszystkich, kogokolwiek, aby tylko zarzuty nie dotknęły Partii. Winą, jeśli już musiano ją komuś przypisać, obarczano zazwyczaj konkretną, gdzieś gabinetowo wskazaną osobie. Przebieg posiedzenia łaskiej egzekutywy wskazywał, że niezależnie od wygłoszonych opinii, I sekretarz powiatowy miał już ustalone stanowisko, zapewne uzgodnione ze zwierzchnią instancją, i odwołanie inspektora Neumana zostało już przesądzone.

Partia pokazywała w ten sposób swą jedność, stanowczość i jednomyślność w potępieniu kogoś, to ją budowało, wewnętrznie wzmacniało, bo dowodziło, że potrafi się oczyszczać z ludzi niegodnych...

Z zaufaniem do towarzysza Gomułki

Najwyraźniej ludźmi małej wiary okazali się rodzice dzieci poszkodowanych w tragedii szkolnej i wielu mieszkańców Zelowa. Wiedzieli z jednej tylko notatki prasowej[63], że toczy się energiczne śledztwo, że przesłuchiwani są świadkowie, że przez kilka dni w Zelowie pojawiali się jacyś ludzie z powiatu i województwa, ale mówiąc wprost – z nimi nikt nie rozmawiał, a oni nie ufali żadnej instancji, najmniej tej na szczeblu lokalnym.

Zachował się list, jaki 10 dni po zdarzeniu, 14 listopada 1957 roku, kilkoro rodziców poszkodowanych dzieci skierowało do Komitetu Centralnego PZPR, a dokładniej bezpośrednio do na I sekretarza Władysława Gomułki: *Zdajemy sobie sprawę, że Towarzysz Sekretarz KC PZPR ma dużo pracy o wadze państwowej* – pisali – *jednak ból serc naszych kieruje nas do Was Towarzyszu Sekretarzu, z pełnym zaufaniem znalezienia sprawiedliwości i ojcowskiego ukojenia.* [...] *Śledztwo prowadzone przez prokuratora jest niedostateczne i zbyt powolne*[64].

Pismo szczegółowo przedstawia, jaką wiedzę o dyrektorze musieli mieć przedstawiciele lokalnych i powiatowych władz, jak rodzice informowali o nagannych zachowaniach Bajocha i jak bezskuteczne były skargi i donosy w tej sprawie:

> Ze strony władz szkolnych nie robi się nic, zachowując całkowitą bierność, za wyjątkiem wybielania siebie i nauczyciela-bandyty Bajocha. Śledztwo prowadzone przez prokuraturę jest niedostateczne i zbyt powolne.

63 „Głos Robotniczy", 6.11.1957.
64 Sąd Okręgowy w Łodzi, sygn. IV 13/58 (dostęp: 27.02.2012).

Zelów, dnia 14 listopada 1957 roku.

Komitet Centralny Polskiej Zjednoczonej
Partii Robotniczej

<u>w W a r s z a w i e</u>

na rece I Sekretarza Tow.Gomułki Władysława

1811

Rodzice dzieci poszkodowanych
<u>w tragedii zelowskiej.</u>

Dnia 4 listopada 1957 roku w Zelowie,pow.Łask, woj.Łódzkie,w szkole podstwowej Nr.1 oraz w ósmej klasie licealnej przy tejże szkole,rozegrała sie straszna tragedia, być może nie notowana, w dziejach szkolnictwa świata.

Krytycznego dnia kierownik szkoły podstawowej i dyrektor klas licealnych Byjoch Tadeusz ur.13.XII.1914r.w Ksawerowie k/Pabianic,syn FRanciszka i Anny z Najderów,pod wpływem nadużycia alkoholu wpadł w szał pijacki i podniecenie psychiczne, porywajac siekiere, wybiegł ze swego mieszkania prywatnego, znajdujacego sie w budynku szkolnym,począł rabać po głowach dzieci.

Skutki bardzo straszne.Jedno dziecko- Gapik Roman uczeń klasy VIII-e "B" po ciężkiej operacji, trwajacej cztery godziny w szpitalu ppowiatowym w Łasku, zmarł / dwa ciecia w głowe, 20 cm.szeroko i 8 cm.głeboko/.-

Pozostałe dzieci. Kulińska Jadzia kl.V b
Jarocińska Janina kl.VII
Freus Andrzej kl.W
Formański Zbyszek kl.IV b,

wszystkie ciete w głowe w stanie ciężkim przebywaja w szpitalach, w Łasku, Pabianicach i Łodzi.

Kaczorowska kl.VII,
Kruk Irena kl.V,
Gasińska Henryka kl.V,

odniosły lżejsze rany, pozostajac pod opieka swych rodziców.

Poranieni przez bandyte-nauczyciela zostali również: woźny szkoły Lygier Edward, oraz miejscowy ksiadz prefekt Józef Stanek.

Dalszemu rabaniu dzieci, położył kres ksiadz Józef Stanek,w śmiertelnym zmaganiu sie z bandyta,wyrywajac siekiere, narzedzie zbrodni.

Osoba nauczyciela-bandyty była znana z cała dokładnościa Powiatowemu Wydziałowi Oświaty w Łasku, Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Zelowie, jak również Wojewódzkiemu Wydziałowi Oświaty w Łodzi.

Byjoch Tadeusz w 1953 roku zapadł na chorobe psychiczna.Karetka pogotowia dla psychicznie chorych w Warcie zabrała go z Zelowa na oczach władz miejskich, jak również Wydziału Oświaty w Łasku.

Mieli nadzieję – list do Gomułki

Nikt nie przyjeżdża do Zelowa, nie rozmawia z nami, rodzicami poszkodowanych, ani ludnością Zelowa, która wie dużo o współwinnych zaistniałej tragedii. Wobec istniejącego stanu rzeczy zwracamy się do najwyższych Władz Państwowych z prośbą o wydanie odpowiednich poleceń i zarządzeń, aby jak najszybciej ustalić personalnie winnych i postawić ich przed obliczem sprawiedliwości.

List uzupełniony został wykazem 28 nazwisk świadków, *którzy mogą zeznać na okoliczności związane z tragedią w dniu 4. XI. 1957 r.* Byli to: Włodzimierz Łuczyński, Wilhelm Engel, Karol Kupec, Krystyna Engel, Wacław Szklarski, Mieczysława Kiełbasińska, Janina Melewska, Maria Kopka, Józef Wolniak, Władysław Zaremba, Józef Dobroszek, Józef Swoboda, Władysław Olszewski, Nikodem Zagrodziński, Mieczysław Krawczyk, Jan Głowacki, Józef Stanek, Mieczysław Dzierdziejewski, Feliks Gosiński, Władysław Wilf, Stanisława Stawiak, Edward Krygier, Wawrzyniec Topolski, Bronisław Wodziński, Artur Mielczarek, Bolesław Krawczyk, Bolesław Kubarski, Marian Małańczak oraz *nauczycielstwo Zelowa domagające się przesłuchania przez prokuratora.*

Czy rzeczywiście i zasadnie pokładali nadzieje w Gomułce, partyjnym genseku, który po dojściu do władzy przed rokiem wciąż cieszył się ogromnym poparciem i zaufaniem społeczeństwa? Zmiany na górze w Warszawie nie przekładały się co prawda na zmiany na dole, gdzie wciąż urzędowali ci sami ludzie, ale wiara w „odnowioną górę" i przekonanie, że władza może wszystko, a już I sekretarz Partii z pewnością, mogła dawać sponiewieranym przez stalinowskie dziesięciolecie ludziom nadzieję – teraz będzie inaczej, bo Gomułka może wszystko nakazać i zmienić.

Musieli poczuć się zawiedzeni, gdy na list nie otrzymali odpowiedzi. Z kilku wypowiedzi, które usłyszałem po latach w Zelowie, wynikałoby, że „coś było na rzeczy", bo podobnie jak nie spodobały się w powiecie i województwie zabiegi zelowian o prawa miejskie „aż u Cyrankiewicza", tak i teraz miały z tych szczebli docierać do władz miasteczka pomruki niezadowolenia z powodu listu do Gomułki. Zbyszek, brat Romka Gapika, wielokrotnie mówił mi, że od tamtego listu zaczęły się kłopoty jego ojca.

Umorzenie po raz pierwszy

W styczniu 1958 roku podprokurator wojewódzki z Łodzi Henryk Rudnicki *po zapoznaniu się z aktami śledztwa przeciwko Tadeuszowi Bajochowi, podejrzanemu*

z art. 225 § 1kk na zasadzie art. 3 lit. e kpk w związku z art. 17 § 1 kk postanowił umorzyć śledztwo z powodu okoliczności wyłączających ściganie[65].

W trzystronicowym uzasadnieniu znajduje się opis zachowań Tadeusza Bajocha w okresie sprzed 4 listopada 1957 roku: *Bajoch od młodych lat zdradzał skłonności do picia alkoholu. Pił on wódkę przeważnie sam, unikając personelu nauczycielskiego, aby go nie widziano w stanie nietrzeźwym*[66].

Jest passus, który można jednoznacznie odczytać jako wskazanie współodpowiedzialnych za tę straszną zbrodnię: *Nauczyciele tej szkoły wiedzieli jednak o częstym piciu wódki przez Bajocha. Widziano go również, jak w stanie podchmielenia wchodził na lekcje. Wiadomości tych jednak nie rozgłaszano i nie stawiano tej sprawy na posiedzeniach Rady Pedagogicznej. Rodzice, których dzieci uczęszczały do szkoły, również wiedzieli o częstym piciu wódki przez Bajocha, gdyż ich dzieci opowiadały o tym w domu.*

I dalej: *Jedni i drudzy nie meldowali o tym nigdzie. Nauczyciele nie meldowali z uwagi, że obawiali się Bajocha jako przełożonego, który miał rzekomo szerokie znajomości we władzach szkolnych. Rodzice natomiast nie mówili o tym, obawiając się, że ich interwencje mogą wpłynąć ujemnie na oceny swoich dzieci z przedmiotów, które wykładał Bajoch.*

Sam opis przebiegu wydarzeń świadczy, iż śledczy niespecjalnie byli w tej kwestii docieliwi, ograniczyli się do zdania: *Bajoch biegnąc po schodach, korytarzu szkoły i klasach, uderzał napotykane osoby z personelu nauczycielskiego oraz dzieci szkolne, celując w głowę.* Okoliczności walki księdza z dyrektorem skwitowali mało precyzyjnie, choć zeznania księdza musiały im być znane: *Bajoch został zatrzymany na korytarzu szkoły przez księdza Józefa Stanka, który obezwładnił Bajocha i odebrał mu siekierę.*

Powołując się na opinię biegłych lekarzy psychiatrów, stwierdzono, że *Bajoch w okresie inkryminowanych czynów znajdował się w stanie psychotycznym o charakterze ostrej halucynozy alkoholowej* – z uwagi na ten stan *nie mógł on rozpoznać znaczenia popełnionych czynów i pokierować swoim postępowaniem w myśl art. 17 § 1 kk.*

W konkluzji postanowienia czytamy, iż wbrew opinii biegłych lekarzy, prokuratura będzie wnioskować do sądu wojewódzkiego o umieszczenie Bajocha w zakładzie leczniczym zamkniętym.

Oto końcowy akapit postanowienia:

> Jeśli chodzi o odpowiedzialność innych osób w tej sprawie to brak jest podstaw do skierowania przeciwko tym osobom sprawy na drogę postępowania

---

65 Prokuratura Wojewódzka w Łodzi, sygn. S 192/57, postanowienie o umorzeniu z 29.01.1958

66 Sąd Okręgowy w Łodzi, sygn. IV 13/58.

karnego. Chodzi tu mianowicie o odpowiedzialność kierownika Powiatowego Wydziału Oświaty w Łasku Neumana i lekarza Łuczyńskiego, w stosunku do których brak jest dowodów, które by wskazywały na to, iż niedopełnienie obowiązków z ich strony było w bezpośrednim związku przyczynowym z przestępstwem dokonanym przez Bajocha.

W punkcie III zapisano: *zarządzam zawiadomić o umorzeniu śledztwa pokrzywdzonych* (i tu siedem nazwisk).

Mimo dociekań nie udało mi się ustalić, w jaki sposób rodzice poszkodowanych dzieci zostali zapoznani z decyzją o umorzeniu. Na nic zdało się poszukiwanie tego pisma w Zelowie ani próba ustalenia, czy ktoś im pomagał w sprawie, np. czy mieli pełnomocnika. Znając ówczesne realia, można jedynie domniemywać, uwzględniając przy tym pewną mglistą informację od jednego ze starszych mieszkańców, że z postanowieniem prokuratury zapoznano ich podczas spotkania wszystkich zainteresowanych w sali urzędu gminnego w Zelowie. Prawdopodobnie przekazano im odpis decyzji, ale pewności nie ma.

Postanowieniem o umorzeniu byli porażeni i oburzeni, najbardziej uwolnieniem przełożonych Bajocha i władz lokalnych od współodpowiedzialności za szkolną tragedię oraz stwierdzeniami, że nauczyciele i rodzice *ukrywali wiadome im fakty*. Ich zdaniem akurat to była nieprawda.

Słyszał głos Pana Boga

Nie wiadomo, czy opinie biegłych lekarzy psychiatrów, na których oparła swoje postanowienie Prokuratura Wojewódzka w Łodzi, mieli okazję poznać rodzice poszkodowanych dzieci. Mało prawdopodobne. Po latach odnalazłem je w dokumentacji sądu, który rozpatrywał pozew-wniosek rodziny Bajocha o uwolnienie go z ze szpitala psychiatrycznego.

Wcześniej już była mowa o tym, że 4 listopada 1957 roku Tadeusz Bajoch został przyjęty do Państwowego Szpitala Psychiatrycznego w Warcie (koło Sieradza) dopiero wieczorem, o 21.00. Nie wiadomo, gdzie przebywał przez tyle wcześniejszych godzin (około południa został przewieziony do Łasku do prokuratury) ani czy w tym czasie zajmowali się nim jacyś lekarze.

Przy przyjęciu odnotowano słowa T. Bajocha, który podał, że *wymordował toporkiem ze trzydzieści dzieci oraz kilku nauczycieli, bo słyszał głos, który kazał mordować każdego kogo spotka na drodze, słyszał też głos Pana Boga, który go nawracał*[67]

67 Wszystkie zeznania, op. cit.

Medycy wstępnie rozpoznali stan majaczeniowy, psychozę alkoholową. Świadomość Bajoch miał odzyskać dopiero 9 listopada.

12 listopada 1957 roku Prokuratura Wojewódzka w Łodzi formalnie przedstawiła Tadeuszowi Bajochowi dwa zarzuty: 1. – *że w zamiarze pozbawienia życia Romana Gapika uderzył go toporkiem w okolice kości ciemieniowej głowy, powodując ranę rąbaną długości 12 cm i uszkodzenie mózgu w następstwie tego tenże zmarł w dniu 5. XI 1957 r.*; 2. – *w tym samym czasie i miejscu usiłował pozbawić życia* [tu nazwiska sześciu uczniów, dwóch nauczycieli i woźnego], *zadając im ciosy toporkiem w górne części ciała – przez co dopuścił się czynu przewidzianego w art. 225 § 1 i 23 § 1 w zw. z art. 225 § 1 kk*[68].

W obecności dwu lekarzy psychiatrów Bajoch został oficjalnie przesłuchany:

> Tak, przyznaję się do zarzutów przedstawionych mi w postanowieniu w dniu 12 XI 1957 r. i wyjaśniam, co następuje. Od lat siedmiu pracuję w szkole podstawowej nr 1 w Zelowie na stanowisku kierownika szkoły. Jest to szkoła 8-klasowa ogólnokształcąca. Mieszkam na terenie tej szkoły na pierwszym piętrze. W dniu 1, 2 i 3 listopada 1957 r. byłem w Pabianicach. W tych dniach piłem wódkę z Czesławem M. Do domu wróciłem 3 XI po obiedzie. Syn Wiesław był ze mną w Pabianicach i wrócił do domu. Do domu wróciłem prawie trzeźwy. Tego samego dnia, gdy był syn, przyszło dwóch młodych ludzi, których wpierw nie znałem. Ludzie ci mówili, że następnego dnia trzeba będzie zrobić zamieszki na terenie szkoły, które zostały uzgodnione z wydziałem oświaty i związkiem zawodowym. Mówili oni, że na drugi dzień przyjdzie do mnie jakaś pani, która pomoże w przeprowadzeniu tych zamieszek. [...] Na drugi dzień rano ja nawet nie piłem, w czasie drugiej przerwy lekcyjnej przyszła do mnie do mieszkania młoda niewiasta, której nie znałem. Poleciła ona, abym przebrał się w stare niechlujne ubranie i żebym wziął toporek i przeszedł całym korytarzem i do klasy. Mówiła ona, abym tym toporkiem uderzył spotkane dzieci. Nie pamiętam, żeby ta niewiasta kazała mi te dzieci zabijać[69].

Jednocześnie Bajoch, odtwarzając przebieg wydarzeń, przytaczał poprawnie nazwisko księdza i opowiadał o walce z nim, wymieniał poprawnie nazwiska nauczycielek. Opowiedział o incydencie z nauczycielką Melewską i przewodniczącym komitetu rodzicielskiego Olszewskim, o incydentach z dziećmi, kontaktach z inspektorami z wydziału oświaty, kontaktach z lekarzami i wcześniejszym pobycie w Warcie. Przyznawał: *piłem wódkę od młodych lat, ostatnio co miesiąc przez kilka dni aż do chwili, kiedy osłabłem i straciłem przytomność.*

---

68 Prokuratura Wojewódzka w Łodzi, S 192/57.
69 Tamże.

Opisał okoliczności ujęcia go na ulicy i związania; stwierdził że potem stracił przytomność.

Do protokołu przesłuchania, który osobiście przeczytał, wniósł poprawkę: *Ja przyznaję się jedynie do tego, że biłem dzieci po to, żeby ich pobić. Natomiast nie miałem zamiaru pozbawić ich życia.*

W prawym uchu słyszał szepty

Dyrektor Tadeusz Bajoch przebywał w szpitalu w Warcie przez trzy tygodnie, od 4 do 28 listopada 1957 roku. Formalnie aresztowany, skierowany został do szpitala więziennego dla umysłowo chorych przy zakładzie karnym we Wrocławiu.

W styczniu następnego roku badający go lekarze stan aresztanta-pacjenta określili następująco:

> zborny, w pełni zorientowany, prawidłowo podaje personalia i wyczerpująco wywiady; przyznaje, że pił wódkę, ale tylko ćwiartkę raz na tydzień, a więcej dopiero po opuszczeniu go przez drugą żonę; nie potrafi podać konkretnych przyczyn, dla których żona opuściła go; zaprzecza, jakoby w stanie nietrzeźwym prowadził lekcje, nie pamięta rzekomo swojego zachowania się w 1953 r., kiedy to był już skierowany do Warty. Pierwszy raz zachorował w styczniu 1957 r. w Pabianicach, miał wtedy atak na tle religijnym. Wydawało mu się, że za życia zacząć ma karę. W prawym uchu słyszał szepty, które wydawały mu się wtedy głosem Boga: „za grzechy twoje zaczynasz już swoją wędrówkę na tamten świat. Nie zobaczysz już swoich dzieci, które tak mocno kochasz. Żona twoja umrze wkrótce po tobie. Szukaj właściwej drogi do nieba"[70].

Po ponownym opisie wydarzeń z 4 listopada 1957 roku przez Bajocha, lekarze stwierdzili, że: *Początkowo badany podawał, iż wydawało mu się, że widział zarówno tych panów i tę panią* [którzy przyszli do niego z poleceniem „porąbania dzieci"]. *Po głębszej analizie psychopatologicznej ustalono jednak, że nie widział żadnych panów ani pani, a miał tylko przeświadczenie, że byli u niego. Wszystko to miało być jakimś bliżej nieokreślonym puczem.*

Opinie końcowe:

> Uwaga i pojmowanie w normie, pamięć, wyjąwszy okresy następujące po zespołach omamowych – niezaburzone. Zasób wiadomości szkolnych i ogólnych

70 Tamże.

> na ogół na poziomie odebranego wykształcenia i środowiska, jednak zasób wiadomości fachowych wydaje się obniżony. Inteligencja i krytycyzm niezaburzone. Afekt i mimika dostosowane do sytuacji, badany żałuje swych czynów, martwi się, bo słyszał, że jedno dziecko zmarło. Nie przeżywa jednak dość głęboko tragicznych wypadków, których był sprawcą. Nie wydaje się również zmartwiony własną sytuacją.
> Na sali chorych w doskonałym kontakcie ze zorientowanymi pacjentami, jada z apetytem, dobrze sypia, czysty i dbały o swój wygląd zewnętrzny. Interesuje się prasą, czyta dużo beletrystyki. Prowadzi ożywioną korespondencję z rodziną, martwi się jednak najbardziej losem pozostałych w szkole rzeczy osobistych i likwidacją mieszkania służbowego, aniżeli poranionych dzieci. Podczas częstych rozmów z lekarzami nie interesuje się swoją sprawą ani przyszłością.

2 stycznia 1958 r. lekarz psychiatra i specjalista chorób nerwowych i umysłowych na pięciu stronach przedstawili swoją opinię. Oto konkluzja:

> 1. Podejrzany Tadeusz Bajoch nie cierpi w zwykłym stanie na żadną chorobę psychiczną, jest jednak osobnikiem nadużywającym przewlekle alkoholu, z zaznaczonymi cechami pewnej degradacji intelektualnej i afektywnej. 2. W okresie popełnienia inkryminowanych czynów Bajoch znajdował się w stanie psychotycznym o charakterze ostrej halucynozy alkoholowej ze słuchowymi omamami imperatywnymi i urojeniową ich interpretacją. 3. Z uwagi na stan psychotyczny *tempore criminis* – podejrzany Tadeusz Bajoch nie mógł rozpoznać znaczenia popełnionych czynów ani pokierować swoim postępowaniem po myśli art. 17 § 1 kk. 4. Ze względu na duże niebezpieczeństwo społeczne popełnionych czynów – konieczne przymusowe leczenie Tadeusza Bajocha w jednym z zamkniętych szpitali psychiatrycznych (wolnościowych) po myśli art. 79 kk.

Odwołanie i ponowne umorzenie

Przez lata nie było wiadomo, przez kogo i w jaki sposób zostało przygotowane odwołanie od decyzji o umorzeniu i jakich argumentów użyto. Z informacji uzyskanych od moich zelowskich rozmówców wynikało, iż nie wszyscy z pokrzywdzonych podpisali się pod odwołaniem, bo pomiędzy nimi był już jakiś rozdźwięk.

Jakiś czas temu Zbigniew Gapik natrafił w domu na dwa czy trzy dokumenty adresowane do jego ojca – sfatygowane, niepełne strony wskazywały, że były to

pisma Prokuratury Generalnej informujące o uchyleniu decyzji Prokuratury Wojewódzkiej w Łodzi. W aktach udało się odnaleźć ten dokument – postanowienie z 14 maja 1958 roku zlecało uzupełnienie śledztwa przez ponowne poddanie podejrzanego T. Bajocha badaniom psychiatrycznym i wydanie orzeczenia przez innych biegłych lekarzy psychiatrów.

Z uzasadnienia wynikało, że decyzję o umorzeniu zaskarżyli *wyżej podani rodzice nieletnich pokrzywdzonych* (ostatecznie sześciu spośród siedmiu rodziców poszkodowanych dzieci), kwestionując zasadność opinii biegłych. Domagano się także *pociągnięcia do odpowiedzialności karnej T. Bajocha oraz tych osób, które jako przełożeni dopuścili do pozostawania tegoż Bajocha na stanowisku nauczyciela, aczkolwiek wiedziały o tym, że nadużywa alkoholu i demoralizuje dzieci*[71].

Prokuratura Generalna także miała wątpliwości co do opinii biegłych:

> Zarówno medycyna sądowa, jak i nauka prawa karnego znają dwa stany upojenia alkoholem, a mianowicie stan upojenia fizjologicznego i stan upojenia patologicznego. Stan patologicznego upojenia może występować w różnych postaciach, przy czym najczęściej w postaci epileptoidalnej lub w postaci paranoidalnej. W praktyce zajść może jednak wypadek, gdy w wyniku fizjologicznego upojenia, przy chronicznym nadużywaniu alkoholu, następuje takie ogólne upośledzenie psychiczne i umysłowa, że stan ten może stanowić zakłócenie czynności psychicznej, skutkujący zastosowanie art. 17 par. 1kk. Opinia biegłych wydana w sprawie niniejszej nie odpowiada na pytanie, które ze wskazanych wyżej przypadków zachodzi odnośnie pod. Bajocha. [...] Jest niejasna [...]

Jeśli skarżący mogli mieć jakąś nadzieję, że „pogrożenie palcem z góry" (przez Gomułkę), jak odczytali postanowienie Prokuratury Generalnej, coś zmieni, to ostatni akapit na nowo wzbudził ich nieufność *Kwestia odpowiedzialności innych osób* – stwierdzono – *nie może być przedmiotem rozpoznania w trybie instancyjnym, albowiem postanowienie o umorzeniu śledztwa osób tych nie dotyczy i przeciwko tym osobom śledztwa nie prowadzono*[72].

Nie rozumiał ich znaczenia...

Byłego dyrektora Bajocha przewożono z jednego zakładu psychiatrycznego do kolejnego, dłużej został w Kochanówce pod Łodzią. Tam badali go specjaliści

---

71 Tamże.
72 Tamże.

z łódzkiej Akademii Medycznej. Ich opinia przyczyniła się do decyzji o ponownym umorzenia śledztwa.

Z obserwacji wynikało, że Bajoch *cierpi na przewlekły alkoholizm oraz wykazuje degradację psychiczną przejawiającą się zmniejszeniem krytycyzmu do swojego nałogu, wybitnym obniżeniem uczuć wyższego rzędu oraz obniżeniem inteligencji. Wykazuje tendencję do zapadania na psychozy alkoholowe.* [...] *Z powodu swojego stanu psychicznego nie będzie mógł prawdopodobnie powstrzymać się od picia alkoholu.*

Oto konkluzja psychiatrów, mająca decydujące znaczenie, jeśli chodzi o uznanie odpowiedzialności Bajocha za dokonaną zbrodnię: *Dokonując zarzucanych mu czynów przestępczych, nie rozumiał ich znaczenia i nie mógł kierować swoim postępowaniem.*

Opinia biegłych różniła się od poprzedniej tym tylko, że podkreślono: *Tadeusz Bajoch może być niebezpieczny dla otoczenia i powinien być internowany w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym.*

Po kilku miesiącach, 19 grudnia 1958 roku, wiceprokurator wojewódzki w Łodzi Michał Woźniak ostatecznie umorzył śledztwo z powodu *okoliczności wyłączającej ściganie.*

Z jednostronicowego uzasadnienia wynikało, że podstawą postanowienia była opinia lekarzy psychiatrów z łódzkiej AM. Z decyzją o umorzeniu zapoznano skarżących 2 stycznia 1959 roku. W jakim trybie, nie wiadomo.

O sprawie dyrektora szkoły podstawowej i liceum ogólnokształcącego w Zelowie Tadeusza Bajocha powoli przestawano mówić. Jego miejsce w szkole zajęła Mieczysława Kiełbasińska, dotychczasowa nauczycielka i wicedyrektorka. Na kilka miesięcy, w maju następnego roku, łódzkie kuratorium przysłało nowego dyrektora. Nikomu nieznany starszy pan, rusycysta, z wyglądu przypominający bohaterów Mikołaja Gogola, o nadzwyczaj spokojnym usposobieniu, wprowadził w liceum niezbędny spokój.

Poza rodzicami poszkodowanych dzieci mało kto interesował się już śledztwem, dominowało przekonanie, że może najwyżej potrzymają Bajocha w „psychiatryku", a potem wypuszczą. Nigdy publicznie nie poinformowano o rezultatach śledztwa. Mieszkańcy tak naprawdę dowiedzieli się o tym dopiero z moich późniejszych publikacji. Wtedy także poznali „tajemnicę" dyrektora zelowskiego liceum.

Dlaczego pił?

Dlaczego dyrektor szkoły podstawowej i zelowskiej jedenastoklasówki pił? Na jakiej podstawie prokuratura doszła do wniosku, że Bajoch *od najmłodszych lat*

zdradzał skłonności do alkoholu? Czyli kiedy zaczął go spożywać – jako piętnastolatek, dwudziestolatek? Czy prokuratura dysponowała jakąś wiedzą, ustaleniami i dowodami, czy tylko powtarzała powszechne opinie o pijących nadmiernie czy rzekomo „genetycznie" Polakach? W dostępnych dokumentach śledczych, a także w sprawozdaniach i opiniach lekarzy specjalistów badających Bajocha nie ma żadnego tropu wskazującego, że sięgnęli dalej i drążyli głębiej w jego przeszłości – co działo się, zanim w 1947 roku został nauczycielem i wychowawcą młodzieży w wiejskiej szkole w Bachorzynie; zanim został delegowany do Zelowa i powierzono mu stanowisko kierownika, a potem dyrektora szkół, opiekuna kilkuset dzieci i zwierzchnika kilkunastu nauczycieli? Nie interesowali się, z jakim bagażem osobistych doświadczeń, poza formalnymi kwalifikacjami pedagoga, podejmował się tak odpowiedzialnej pracy. Nie wiedzieli, nie badali czy nie chcieli wiedzieć ani badać? Wystarczały opowieści o tajemniczej postaci i Bogu, których głosy nakłaniały go do zbrodni? I skąpe informacje nauczycieli o skomplikowanych relacjach dyrektora z żoną, też nauczycielką, na które nieco więcej światła rzuciła tylko najstarsza z nauczycielek?

Dlaczego Bajoch pił najczęściej sam? Co było przyczyną tego opilstwa, które przekształciło się w przewlekły alkoholizm i rujnowały jego zdrowie fizyczne i psychicznie? Czy zdawał sobie sprawę, że najbardziej szkodzi sobie, że naraża swój wizerunek na osąd publiczny i traci poważanie, szacunek, wreszcie autorytet. Czy był świadomy, że pogrąża się, stacza się w mrok, z którego nie ma powrotu?

Nieznana przeszłość – konspirator

Przypadek czy intuicja? Nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy – przy okazji kolejnego wyjazdu do Zelowa postanowiłem pojechać też do Pabianic, rodzinnego miasta Bajocha. Pierwsze kroki skierowałem do miejscowego muzeum. Już kiedyś tu byłem, ot tak, z ciekawości; zapamiętałem młodego pracownika, który chętnie opowiadał o historii Pabianic. Spotkałem go znowu – tym razem zapytałem o Zelów i jego tajemnice. Życzliwy kustosz wiedział sporo o tym mieście, bo interesując się historią Pabianic, jak mówił, co i rusz natrafiał na zdarzenia i nazwiska osób związanych z Zelowem. Gdy wymienialiśmy się informacjami, najpierw z okresu powstania państwa polskiego w 1918 roku i wojny polsko-bolszewickiej (w muzeum znajduje się dużo materiałów o pabianickich, ale i zelowskich uczestnikach tych wydarzeń), potem konspiracji podczas II wojny światowej, pojawiło się nazwisko Bajocha.

Kustosz: W *Pabianicach był i jest osobą znaną, przynajmniej w kręgu kombatantów. W książce „Szare Szeregi, Armia Krajowa, Narodowa Organizacja Wojskowa*

(NOW) w Pabianicach" nazwisko Tadeusza Bajocha wymienione jest wiele razy, poświęcono mu zapis, jakim wyróżniono kilku pabianiczan[73].

Udostępnił mi książkę, zrobił ksero wskazanych stron. Czytam m.in.:

> W pierwszych latach okupacji podjął naukę w zakresie zawodu kominiarskiego. W wyniku tej nauki uzyskał zaświadczenie czeladnicze upoważniające go do wykonywania tego zawodu na terenie Pabianic. Dzięki wykonywanemu zawodowi mógł swoją działalność organizacyjną swobodnie prowadzić na terenie całego miasta, nie zwracając na siebie specjalnej uwagi ze strony gestapo czy żandarmerii. Osobiście dotąd dobrze zakonspirowany zaczął dość wcześnie, bo na początku 1940 roku organizować kontakty w ramach stworzonej Staromiejskiej Kompanii „Orzeł Biały", w której był zastępcą dowódcy kompanii Romana Molendy. Jesienią 1941 roku zostaje dowódcą kompanii, w której następuje przeorganizowanie i szybki ilościowy i jakościowy wzrost szeregów.

Jego kompania przystępuje do realizacji akcji *polegającej na sparaliżowaniu pracy Wirtschaftamtu, tj. Urzędu Gospodarczego w Pabianicach*[74].

Akcja ta polegała m.in. na *zniszczeniu dokumentacji niemieckiej* [...] *zniszczono wszystkie kartki żywnościowe i odzieżowe, stemple, godła niemieckie. Zabrano ze sobą wszystkie kartki żywnościowe tzw. bloczkowe dla podróżujących oraz 3 maszyny walizkowe do pisania.* Akcja została oceniona jako *całkowicie udana, bez strat osobowych.*

W sierpniu 1942 roku Tadeusz Bajoch i jego zastępcy, po uprzednich spotkaniach i rozmowach z lokalnymi dowódcami obwodu pabianickiego AK, podporządkowują się Armii Krajowej.

Czytam dalej: *Organizuje sprawnie działającą łączność między Pabianicami a Generalną Gubernią na linii Piotrków Tryb. – Warszawa. W wyniku aresztowań w lutym 1944 roku* [...] *ucieka do Generalnej Guberni i przebywa tam na różnych punktach kontaktowych NOW i AK. Bierze udział w akcjach partyzanckich NOW-AK zorganizowanych w rejonie piotrkowskim i radomskim.*

Jednocześnie, mimo przekazania dowództwa kompanii innym osobom, Tadeusz Bajoch miał utrzymywać stały kontakt z pabianickimi konspiratorami, dla których wciąż pozostawał formalnym dowódcą i niekwestionowanym autorytetem. W maju 1944 roku do Pabianic – przez *specjalnego łącznika z obozu partyzanckiego znajdującego się w lasach radomszczańskich* – dotarł jego rozkaz, zarządzający *pełną mobilizację Kompanii (pozostałej części) w związku z planowanym Powstaniem w Warszawie* [...] *podnieść morale i stan bojowy całej Kompanii na najwyższy poziom.*

---

73 Notatka z rozmowy, 20.02.2011 i 15.03.2011.

74 E. Debich, H. Adamus, K. Wołdański, *Młodzież pabianicka w walce z okupantem 1939–1945*, Pabianice 1997.

Nachodzi mnie myśl, czy to możliwe, że Tadeusz Bajoch faktycznie z oddali sprawował dowództwo nad pabianickim oddziałem? Czy faktycznie brał udział w akcjach partyzanckich NOW-AK w rejonie piotrkowskim i radomskim?

Cały powyższy wywód każe się zastanowić, czy faktycznie chodzi o „tego" Tadeusza Bajocha. Zgadza się data: dzień, miesiąc i rok urodzenia, i miejsce: Pabianice. Także charakter pisma na wielu dokumentach wydaje się identyczny.

Pracownik muzeum zajmujący się m.in. tematem działalności pabianickiej konspiracji w czasie II wojny rozwiewa moje wątpliwości: *To była znana osoba w czasie wojny, niby kominiarz, a wiedziano, że przedwojenny nauczyciel. Po latach kojarzono go z wypadkami w Zelowie.*

Liczne rozmowy, które odbyłem m.in. w Pabianicach, nie pozostawiają żadnych wątpliwości – tak, ten zasłużony dla Pabianic konspirator to zelowski nauczyciel Tadeusz Bajoch.

W Pabianicach odszukałem ulicę Ossowskiego, przy której mieszkała siostra Bajocha. Chciałem zobaczyć dom, w którym mieszkał wcześniej i w którym spędził dwa i pół dnia przed tragicznym poniedziałkiem. Posesję zajmowali już inni ludzie i nic o nim nie wiedzieli, co najwyżej pamiętali byłą właścicielkę: *zamożną pabianiczankę, co dorobiła się fortuny na wieńcach.*

Więcej natomiast informacji miała starsza pani, która – ot, przypadek, częsty sojusznik reportera – naraz pojawiła się przed sąsiednim domem. Zagadnąłem, bardzo zainteresowało ją moje pytanie o rodzinę Bajocha: *Leokadia S., dawna właścicielka, już nie żyje; ten jej brat, o którego pan pyta, bywał u siostry często, ale ja go widziałam może ze dwa razy. Wiem, że miał zrobić coś strasznego, podobno kogoś zabił*[75].

Zwięźle opowiedziałem historię zelowskiej tragedii, co zrobiło na starszej pani ogromne wrażenie. *Gdy się ożenił mieszkał chyba w Ksawerowie, to jest pomiędzy Pabianicami a Łodzią* – wspominała. *Znałam jego synów Marka i Wiesława, ale obaj już pomarli. Młodo. Ten starszy mocno popijał i chyba z tego umarł, a Wiesiek był jakiś wsobny, zamknięty. Jego syn* [wnuk Bajocha] *pracował w Łasku, w starostwie, a gdzie teraz jest, nie wiem. A córka tego Bajocha mieszka w Pabianicach, na Bugaju. Będzie jej pan szukał?* – zaciekawiła się.

Jeszcze bardziej nieznana przeszłość

Znów przypadek? Coś musiało pokierować moją prawą dłonią w stronę klawiatury komputera i kazało palcom wpisać nazwisko Bajoch Tadeusz. Wyświetliło się na ekranie i lakoniczny zapis pozwolił mi rozpoznać, że to ten, o którym

75 Notatka z rozmowy z 15.03.2011.

właśnie myślałem. Zapisałem sygnaturę, złożyłem zamówienie, po kilku dniach w warszawskiej czytelni Instytutu Pamięci Narodowej miałem przed sobą teczkę. Jego teczkę, z wyraźnie wybitym rokiem 1947, co mogło wskazywać na datę jej założenia lub zakończenia „sprawy" i złożenia do archiwum. Nie była cienka, zawierała kilkadziesiąt stron pożółkłych dokumentów[76].

Zdumiewająca, nieprawdopodobna HISTORIA. Znana komukolwiek w Zelowie? – wątpię. Czy znana organom prowadzącym „intensywne śledztwo" w sprawie zelowskiej tragedii? Nie wiem, mało prawdopodobne, zastanawiam się, czy śledczy mogli być zainteresowani jego przedwojenną i wojenną przeszłością. Czy bezpieka miała jakikolwiek interes, żeby dzielić się swoimi archiwalnymi zasobami? A wojsko, jeszcze bardziej hermetyczne, tym bardziej nieskore do odtajniania swoich tajemnic? Myślę, że śledczy nie mieli specjalnego powodu, aby zagłębiać się w przedzelowskie życie Bajocha i dociekać przyczyny jego nałogu – w zupełności wystarczyły im opinie lekarzy specjalistów, w których nie ma śladu zainteresowania źródłami alkoholizmu badanego. Śledczy skupili się jedynie na tym, czy w momencie popełnienia zbrodni Bajoch był poczytalny, świadomy swojego działania. Chyba że była jakaś zwierzchność, która dyktowała śledczym tryb i tok postępowania. Ale tego nie wiemy i już się zapewne nie dowiemy.

Większość dokumentów w teczce to różnego rodzaju oficjalne kwestionariusze wypełnione przez Bajocha, pisane przez niego życiorysy (wielokrotne pisanie życiorysów było jedną z głównych praktyk w okresie stalinowskim), dane ujawniane pod rygorem odpowiedzialności za ich prawdziwość – ani śladu czegokolwiek, o czym dowiedziałem się w pabianickim muzeum. Chciałoby się przywołać użytą już wcześniej w tej książce frazę – biografia, która się wyłoniła z tych dokumentów, jest *czysta jak szklanka.*

Tadeusz Bajoch urodził się w 1915 roku w Pabianicach, w 1936 roku ukończył seminarium nauczycielskie w Płocku. W następnym roku został powołany do wojska, zaliczył kurs dywizyjny podchorążych, odbył stosowną praktykę w pułku piechoty i w stopniu plutonowego odszedł do cywila. Wrócił do Pabianic, ale nie podjął pracy w wyuczonym zawodzie, przez rok był buchalterem w największej pabianickiej manufakturze.

W marcu 1939 roku został zmobilizowany, z 37 Pułkiem Piechoty stacjonującym w Kutnie wyjechał w pobliże granicy polsko-niemieckiej w rejon Wągrowiec-Żnin. Z plutonowego awansował na podporucznika. Już jako dowódca plutonu łączności we wrześniu 1939 roku walczył z Niemcami. W czasie akcji pod Inowrocławiem wybuchł obok niego pocisk, został częściowo zasypany, doznał urazu nogi i czaszki, stracił przytomność, wraz z całą dywizją dostał się do

[76] Akta sprawy T. Bajocha, Instytut Pamięci Narodowej BU 644/70.

niewoli. Trafił do obozu pracy w Zduńskiej Woli, skąd w połowie stycznia 1940 roku uciekł i przekroczył granicę Kraju Warty i Generalnego Gubernatorstwa (GG) w pobliżu Piotrkowa Trybunalskiego

Wiedział, że w Pabianicach będzie poszukiwany, więc na jakiś czas pozostał na terenie GG. Po kilku miesiącach przedostał się do rodzinnych Pabianic, pracował w niemieckiej teraz firmie Kindlera – jak sam podał – nadal jako buchalter. Potajemnie spotykał się z młodymi ludźmi, udzielał lekcji. W 1943 roku umarł jego ojciec, Bajoch dowiedział się też o śmierci dwóch swoich szwagrów przebywających w Dachau. Gdy poczuł niebezpieczeństwo ze strony Gestapo, przeniósł się znów do GG w okolice Piotrkowa Trybunalskiego

Z akt zachowanych w IPN, z dokumentów – co istotne – wypełnianych osobiście przez Bajocha, nie zawsze jednoznacznie określających jego okupacyjną działalność, wyłania się nietuzinkowa postać. Od grudnia 1943 roku działał w partyzantce w Warszawie, w styczniu 1944 roku znalazł się w Armii Ludowej jako dowódca patrolu wywiadowczego, w lutym 1945 roku był członkiem PPR w Pabianicach, 7 kwietnia, jak napisał, powołano go do odrodzonego Wojska Polskiego. Działalność „Czarnego" (tak miał brzmieć jego pseudonim konspiracyjny) potwierdzają co najmniej dwaj świadkowie.

W maju 1945 roku jego jednostka została przekształcona i weszła w strukturę Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (KBW), Tadeusz Bajoch stał się oficerem tej bardzo mobilnej formacji, której zadaniem było fizyczne rozprawianie się z przeciwnikami politycznymi. Trafił do Warszawy, pełnił służbę jako oficer służby łącznościowej KBW. Od samego początku zwracał na siebie uwagę, wyróżnia się jako *politycznie uświadomiony i pewny, moralnie wytrwały, w pracy stanowczy, pracowity, energiczny, inteligentny, bez nałogów.* Po pół roku służby, w grudniu 1945 roku, awansował na porucznika i zaproponowano jego kandydaturę na szefa zaopatrzenia artyleryjskiego warszawskiego oddziału KBW. Tego stanowiska chyba jednak nie objął, bo wkrótce znalazł się w dowództwie KBW w Łodzi.

Przerwana kariera

Chodził w mundurze z granatowymi wyłogami, wyróżniającymi żołnierzy KBW, przepasany koalicyjką, z krótką bronią przy pasie. Jego kariera zapowiadała się obiecująco, i kto wie, jak wysoko wspiąłby się po szczeblach bezpieczniackiej struktury, gdyby nie jego fatalne kontakty i znajomości. W lipcu 1946 roku został zatrzymany w Warszawie przez I Oddział Zarządu Informacji KBW. Zarzut – kontakty z dezerterem z KBW, utrata służbowej broni i amunicji, kontakty i biesiady

z innymi dezerterami. *Dopuścił się czynu hańbiącego honor wojskowy* – stwierdził sąd wojskowy i skazał Tadeusza Bajocha na rok więzienia, jednocześnie degradując go do stopnia szeregowca. Legitymację oficera odebrał mu osobiście sowiecki „opiekun" w KBW, mjr Miazdrykow. Bajoch przestał być członkiem PPR.

W lutym 1947 roku ogłoszono amnestię i w połowie kwietnia Bajoch wyszedł na wolność. Wrócił do Pabianic, podjął pracę w szkolnictwie, 1 września 1947 roku został kierownikiem czteroklasowej szkoły publicznej w Woli Buczkowskiej (około 25 km od Pabianic i 10 km od Zelowa).

Prawdopodobnie musiał się czymś wyróżnić albo wiązano z nim już jakieś plany, bo został skierowany na wyższy kurs nauczycielski. Niebawem, w 1951 roku, kiedy ja idę do pierwszej klasy podstawówki, Tadeusz Bajoch zostanie kierownikiem mojej szkoły nr 1, największej w Zelowie. Jest dobrze postrzegany, nie należy do PZPR, ale do Stronnictwa Demokratycznego (SD), co w Zelowie akurat uznawane było za atut (przez kilka powojennych lat SD rządziło w mieście i legło dopiero pod ciosami PZPR w 1949 roku). We wrześniu 1957 roku władze oświatowe mianowały Bajocha dyrektorem jedenastoklasówki, przyszłego zelowskiego liceum. Został gminnym radnym, często prowadził posiedzenia rady, protokołował je, po raz ostatni kilka dni przed tragedią.

Mąż jego siostry w 1957 roku zeznał, że Tadeusz Bajoch pił od 1942 roku[77]. Nikt go nie zapytał, skąd o tym wie i czemu tak precyzyjnie określił pojawienie się u niego alkoholowego ciągu. Według jego szwagra, Bajoch w 1953 roku już *nie mógł się obejść bez wódki*, w 1954 roku miał pierwsze objawy halucynacji; cierpiał na bezsenność, męczyły go omamy.

Czy Bajoch miał dysponenta swojej biografii?

Czy doświadczenia wojenne, życie pod presją, niewiarygodne wręcz zawirowania konspiracyjne, jeszcze bardziej dramatyczna służba w powojennych służbach specjalnych, uwięzienie, tragedie osobiste, jak śmierć ojca, mężów jego sióstr w obozach koncentracyjnych i śmierć żony, mogły złamać młodego człowieka? Dwóch małych synów, niepewna przyszłość, być może perspektywa życia „na smyczy", w nieustannym napięciu i oczekiwaniu, że ci w mundurach go odwiedzą i nie dadzą już nigdy spokoju – to zdecydowanie marny kapitał na rozpoczęcie normalnego życia. Czy to wszystko sprawiło, że szukał ukojenia w alkoholu, którego potrzebował coraz częściej i więcej, oraz było powodem zjazdu w dół, którego nie była w stanie powstrzymać druga żona ani opiekuńcza siostra...?

77 Sąd Okręgowy w Łodzi, IV 13/58.

Nie wiadomo, kto po degradacji i wyrzuceniu z wojska, po odbyciu kary więzienia, w części darowanej na mocy amnestii, dał Bajochowi szansę niespodziewanego powrotu do zawodowego życia i powierzył stanowisko kierownika jednoklasowej szkoły w niewielkiej wsi – można byłoby to postrzegać jako test, ale przez kogo przeprowadzany? Przez służby? Jeśli wierzyć wspomnieniu byłego ucznia, o czym poniżej, próba nie wypadła chyba dobrze, bo Bajoch został zapamiętany jako nadużywający alkoholu i nerwus. Prowadził uczniów do kościoła i opowiadał o akowskiej przeszłości. Gdy dano mu kolejną szansę, w Zelowie, Bajoch – niewykluczone, że złożył wcześniej przyrzeczenie „dysponentom" jego biografii – być może miał nadzieję, że upora się z demonami przeszłości, początkowo zdawał się bowiem odporny na alkoholowe pokusy. I pewnie miał mocno zakodowane w głowie, żeby stronić od kościoła i od wspominania o swojej przeszłości, gdyż akurat w tej sprawie danego słowa chyba dotrzymał.

Zelowianie często mówili o nim, że był człowiekiem znikąd, nie mieli najwyraźniej pojęcia o jego wojennych zasługach i konspiracyjnych wyborach ani też o powojennych problemach. Można przyjąć, że nie wiedzieli o tym powiatowi decydenci pracujący w oświacie ani tym bardziej małomiasteczkowi prominenci. Najwyżej komendant komisariatu MO mógł znać tę część biografii nauczyciela, ale i to wątpliwe. Tak zwany oficer prowadzący Bajocha (jeśli miał takiego opiekuna, ale wydaje się to oczywiste w postalinowskich czasach), zapewne stał wysoko w hierarchii służbowej.

Być może Bajoch... źle trafił z tym Zelowem, bo prowincjonalne miasteczko choć stworzyło mu dobre warunki mieszkaniowe i zawodowe, nie dało szansy; na odwrót, tuż obok szkoły otworzono knajpę „U Adama" (jakby ktoś to specjalnie wymyślił), a nieco dalej była słynna „Gospoda ludowa". I byli też nie stroniący od alkoholu prominenci, którzy bez trudu wciągnęli go do swojej kompanii.

Nie usprawiedliwia to jednak zbrodni, której się dopuścił.

Nie chciałem w to uwierzyć...

Przy okazji kolejnego pobytu w Pabianicach, w drodze do Zelowa odwiedziłem w Łasku Stanisława Woźniaka. Jego numer telefonu dał mi Zdzisław Pierzynka z Bełchatowa, mówiąc, że Woźniak coś wie o przeszłości Bajocha. Pan Stanisław, jak się okazało, szukał mnie po artykule o Bajochu, który przeczytał w „Expressie Wieczornym". Nie udało mu się mnie zidentyfikować, więc chwycił się innej możliwości. Zaskakującej, o czym za chwilę.

Rzeczywiście poznał Bajocha w latach 1947–1949, a więc w okresie przedzelowskim, był jego uczniem w czteroklasowej Publicznej Szkole Powszechnej

w Woli Buczkowskiej. Do dziś ma świadectwo szkolne z podpisem kierownika Tadeusza Bajocha.

Stanisław Woźniak dobrze pamiętał swojego nauczyciela:

> To był jeszcze stosunkowo młody człowiek, choć włosy miał już przyprószone siwizną. Opowiadał nam, że był w AK, a były to czasy, kiedy nie było to dobrze widziane. Prowadził nas całą klasą do kościoła na msze, pięknie grał na skrzypcach. Ze strażakami, których był prezesem, często bywał w kościele przy każdej uroczystości. Postrzegałem go wtedy jako wzór patrioty. Czy był bez skazy? Niestety, nie, już wtedy nawet my, uczniowie czwartej klasy, raptem 10-latkowie, wiedzieliśmy, że popijał, zdarzało się, że na lekcje przychodził podchmielony. Rodzice mówili, że to z powodu żony, która mu zmarła [w 1949 roku]. Dawno to było, ale pamiętam, że był z niego nerwus...[78].

Kiedy Tadeusza Bajocha awansowano na kierownika szkoły podstawowej w Zelowie, Stanisław Woźniak stracił swojego nauczyciela z oczu. Na kilkadziesiąt lat zapomniał o nim. W 1996 roku przeczytał mój artykuł *Zelów jak Dunblane*. Wróciły wspomnienia, ogarnęło go niedowierzanie, że Bajoch był zdolny do czegoś takiego: *Musiałem koniecznie dowiedzieć się, co takiego się stało, że ten mój wspaniały nauczyciel zrobił coś tak nieprawdopodobnego. Nie chciałem w to uwierzyć...*

Stanisław Woźniak czuł potrzebę odnalezienia swego nauczyciela sprzed lat, sądził, że może już nie żyć, ale musiał dowiedzieć się, jak potoczyły się jego losy, czy to faktycznie on dopuścił się tak strasznego czynu. Blisko 70-letni mężczyzna kartkował książki telefoniczne wszystkich województw, szukając znanego sobie nazwiska, traci nadzieję i szukał dalej. Wreszcie natrafił na to nazwisko, ale czy to właściwy trop? Napisał wiele listów.

We wrześniu 2000 roku dostał list z Zabrza. Od synowej Bajocha, żony Wiesława (w 1957 r. ucznia ósmej klasy zelowskiego liceum), który, jak się okazało, już nie żyje. *Niestety, nie znam zbyt wiele szczegółów z życia Teścia* – pisze kobieta – *ponieważ nie utrzymywaliśmy bliższych kontaktów.* Przesłała jedno zdjęcie i adres córki dyrektora (urodzonej w 1958 r.), która *do ostatnich dni życia Teścia mieszkała razem z rodzicami*[79]. Stanisław Woźniak uzyskał więc potwierdzenie, że jego dawny nauczyciel umarł. Napisał pod wskazany adres i otrzymał odpowiedź: *Nie przypuszczałam, że ktoś tak bardzo zainteresowany jest losem mojego Ojca...*

78 Notatka z rozmowy z 30.04.2011.
79 List synowej z 30.08.2000, kserokopia w zbiorach autora.

Kobieta przekazała kilka podstawowych danych: od 1962 roku mieszkali na Dolnym Śląsku w miasteczku Nowa Ruda. Jej ojciec pracował do emerytury w Wydziale Oświaty i Wychowania, w tamtym czasie nie wykonywał już zawodu nauczyciela[80].

Z listu wynika, że Tadeusz Bajoch pod koniec życia chorował, cierpiał i ostatecznie zmarł 4 maja 1984 roku. Został pochowany na cmentarzu w Nowej Rudzie. Dziesięć lat później na tym samym cmentarzu spoczęła jego żona (druga).

Córka Bajocha napisała do pana Stanisława tak: *cieszę się bardzo, że tak życzliwie wspomina Pan mojego Ojca, gdyby żył, na pewno ucieszyłoby Go to.* Ale dodała też: *Dla mnie to bolesne wspomnienia, dlatego niechętnie do nich wracam. Nie będę więcej z Panem korespondowała.* Byłemu uczniowi Bajocha przesłała jedno zdjęcie swego ojca. Pan Stanisław uszanował wolę adresatki. Poczuł się usatysfakcjonowany, że dopełnił obowiązku, że poznał dalsze losy swego pierwszego nauczyciela. Nadal nie mógł uwierzyć, jak w Zelowie mogło stać się coś takiego. To jego zadziwienie udzieliło się i mnie. To wtedy ostatecznie zdecydowałem wrócić do sprawy dyrektora Bajocha, mojego nauczyciela geografii.

80 List córki z 19.11.2010, kserokopia w zbiorach autora.

V. Proces przeciwko miastu

Nietrudno sobie wyobrazić najazd dziennikarzy na Zelów, gdyby opisywane w tej książce wydarzenia miały miejsce obecnie, w 2022 roku. Miasteczko byłoby na czołówkach gazet i na paskach w telewizjach informacyjnych. W latach 1945–1947 roku łódzkie gazety były pełne informacji z zagranicy, sporo miejsca poświęcano konfliktowi polsko-czechosłowackiemu, ale o powojennym dramacie zelowskich Czechów nie ukazał się ani jeden artykuł. W 1957 roku zainteresowanie było znikome, ze stolicy do sali sądowej w Łodzi, gdzie rozstrzygał się los „złodziejskiej szajki", dojechała jedna dziennikarka. Po tragedii w szkole podstawowej i liceum doliczono się w Zelowie dwóch redaktorów partyjnych dzienników, z których jeden był ekszelowianinem.

Zwariował chłop, każdemu może się to zdarzyć...

Nie wiem, skąd mój ojciec miał tę informację, ale pamiętam, że jakieś dwa tygodnie przed końcem 1957 roku, a może w święta „wygadał się" – co rzadko mu się zdarzało, bo zawodowych spraw nie przenosił do domu – że znowu będzie głośno o Zelowie.

– Kogoś aresztują, czy nie daj boże, zamordują – usłyszałem głos starszej siostry.

– Nie, nie, tym razem obsmarują nas w gazecie.

– Za co?

– Za wszystko, co się tu wydarzyło.

I rzeczywiście – 13 stycznia 1958 roku „Głos Robotniczy", partyjny organ komitetu wojewódzkiego PZPR w Łodzi, rozpoczął cykl publikacji dotyczących wydarzeń w Zelowie zatytułowany *Proces przeciwko miastu*[81]. Wywołało to niebywałe zainteresowanie.

81 Wszystkie cytaty poniżej z: Z. Chyliński, *Proces przeciwko miastu*, „Głos Robotniczy" nr 9–15, styczeń 1958.

Proces przeciwko miastu

V

☆ Złodziejski klan ☆ Tajemnice czerwonych kamieniczek ☆ W mieszkaniu po Piekielnym

VI

☆ Zeznania świadka porucznika S.

Jutro: Pouczająca historia „rolnika” Józefa Pejci i kowojenia Alfonsa Klepki.

ROBOTNICZY

Proces przeciwko miastu

I

☆ Zbiegowisko na cmentarzu ☆ Panowie na Zelowie ☆ Zbrodnia pijaka ☆ Pierwsze zwierzenie autora

II

☆ Żałosny komentarz ☆ Szerokie plecy pana kierownika ☆ Cztery zastraszone kobiety

JUTRO: III. Uciecha prowodyrów. — Pracuj, weźcie, koledzy idźcie!... — Daj pan ten przykład, panie... IV. Woda i buńkst. — Odkrycie autora. — Dlaczego doktor nie chciał mówić. — Spotkanie z siwym młodzieńcem.

Mark Twain — MILION funtów szterlingów

Przez tydzień Zelów był na „wokandzie”

Miałem wtedy 14 lat i pamiętam, że gazeta znikała z punktów sprzedaży, wyrywano ją sobie z rąk, czytano na głos i komentowano. Byli tacy, którzy przepisywali je ręcznie (przez kalkę) lub na maszynie do pisania (też z użyciem wielokrotnie kalki) – a pamiętać trzeba, że nie było wtedy kserokopiarek – i sprzedawali np. w środę na targu.

„Głos Robotniczy" nie był naszą lekturą, bez skutku konkurował ze „Światem Młodych" czy „Płomykiem", ale wtedy mnie i kilku kolegów zaciekawiło, co też tam napisali o nas.... Wytłuszczone tytuły przyciągały uwagę: *Piekielne miasto, Dziki zachód, Miasto bezprawia*, ale za wykrzyknikami kryły się jakieś pokrętne, jak dla nas, analizy i refleksje, w każdym razie chyba rozczarowaliśmy się peregrynacjami redaktora po Zelowie. W pamięci utkwił nam jego jednozdaniowy komentarz, w którym powołując się na zasłyszane w miasteczku opinie, kwitował szkolny dramat, „naszą tragedię", słowami bywalców „Gospody ludowej": *No cóż, zwariował chłop, każdemu może się to zdarzyć i tyle.*

To zdanie mocno nas wtedy zdenerwowało, wiedzieliśmy, że wzburzyło wielu mieszkańców. *No tak, ukręcą sprawie łeb* – komentowano. Ciekawe, że po dekadach ta reporterska fraza nadal pozostaje w pamięci zelowian, oczywiście tych najstarszych...

Zelów to miasto sławne!

*Nie tylko ta „odkrywcza" konstatacja zaskoczyła czytelników. Już pierwszy odci*nek budził emocje. Autor, o którym krążyła pogłoska, że jest synem bardzo prominentnego obywatela państwa, chyba świadomie wziął pod uwagę, iż Zelów bynajmniej nie jest intelektualnym eldorado, więc dzieląc się wiedzą i refleksjami, ubrał je w styl nieco lekki, by nie rzec krotochwilny:

> Po trzykroć w ciągu roku wsławiło się miasto. Wiosną wyzionął ducha obywatel A. Adamski. [...] Ale dopiero „Panowie na Zelowie", jak ich ochrzczono po procesie, dopiero przynieśli sławę miastu!
> [...] zaraz jakoś po procesie w depresję wpadł dyrektor świeżo założonej jedenastolatki, pan Bajoch, człowiek przemiły i ustosunkowany. [...] Miał tę wadę, że pijał w samotności! [...] W poniedziałkowy ranek szaleniec wpadł do szkolnych klas z toporem w ręku.

Pierwszy odcinek kończy taka oto myśl: *Autor podaje te dość znane fakty, by nikt już nie miał wątpliwości, że Zelów to miasto sławne. Autor ponadto chciał wyjaśnić, dlaczego wszczyna proces przeciw temu miastu. Usłyszał bowiem żałosny*

komentarz z ust dorosłych w kilka dni zaledwie po tym nieszczęściu „no cóż zwariował chłop, każdemu może się zdarzyć i tyle". Naprawdę tylko tyle?

Drugi odcinek zaczyna się tak: O *czymże to dumać na zelowskim bruku, jeśli nie o tym co wstrząsnęło ludźmi? Wstrząsnęło?* [...] *Dumałem tedy na zelowskim bruku: jak to się mogło dziać, że nałogowy, chory alkoholik przez tyle lat był przełożonym wychowawców dzieci? Czy to, że Bajoch miał „szerokie plecy" wystarczy za odpowiedź?*

I pada pierwsze oskarżenie: *Milczało jak zaklęte najbliższe otoczenie pana kierownika.*

Zaraz drugie: *Mur obojętności!* Do tego stopnia, że lokalni dygnitarze nawet z nim, redaktorem partyjnej gazety, nie chcieli rozmawiać. Musiał *wdepnąć* do gospody żeby spotkać przewodniczącego Gosińskiego, co nie na wiele się zdało, bo w oparach dymu i hałasu *naraz zniknął.* Autor zauważył tylko: *Mały człowieczek, chudy, nieogolony. Pijak. Pijak rządzi miastem!*

Doprawdy, niebywała odwaga redaktora partyjnej, a więc ważnej gazety. Nie tylko wobec zelowskiego notabla, ale także wobec miejscowego lekarza, niechętnie rozmawiającego z łódzkim wysłannikiem i unikającego odpowiedzi. Dziennikarz doszedł więc do wniosku, że lekarz, który opatrywał dzieci poranione przez człowieka, którym wcześniej „się zajmował", lekarz od lat praktykujący w Zelowie *sprawami miejscowymi się nie interesuje, są mu obojętne.*

Trzecie oskarżenie: *Wóda. W Zelowie wóda płynie strumieniami.* [...] *I nad tym stanem rzeczy nikt się tutaj nie zastanawiał* [...]. *Radni nie widzą belki w oku.*

Obrzydłówek?

Skojarzył się redaktorowi ten Zelów z Obrzydłówkiem z noweli Żeromskiego. I zaraz potem pojawia się myśl, że przecież jasnym punktem tej literackiej mieściny była miejscowa nauczycielka, tytułowa Siłaczka, więc i w podniesionym do rangi miasta Zelowie, poza przewodniczącym pijakiem i obojętnym na ludzkie sprawy lekarzem, też tacy muszą być. Zwabiło go jasne światło w mieszkaniu po Piekielnym, teraz zajmowanym przez jego następcę. (Ciekawe jednak, jak go zwabiło, bo okna mieszkania po byłym dyrektorze nie są widoczne od ulicy, dostrzeżenie ich światła z podwórka też wymagało pewnego trudu).

Zajmujący to mieszkanie Stefan Chrapkiewicz, nowy dyrektor ZZPB, świadek w procesie poprzednika z trzema klasami otwiera oczy redaktorowi na Zelów:

> Potentaci i dziadoki. Ci pierwsi kombinują, niczego się nie boją i zarabiają. Dziadoki, czyli znakomita większość, nie wierzą tu w sprawiedliwość. To

znaczy przede wszystkim – bać się mówić prawdę, to znaczy milczeć, to znaczy też, nie wierzyć w społeczeństwo, wyobcowywać się powoli z niego, stawać się w nim statystą, albo wrogiem. [...] Jest w nim coś, w Zelowie coś szczególnego, skoro złodziejska klika działała przez dwa lat i nikt nie puścił pary z gęby, choć wielu ludzi ten proceder znało lub się domyślało. Prawdziwym „bohaterem narodowym" miasta powinien zostać ten, kto klikę w końcu zdemaskował. Paradoks w tym, że ów bohater albo kilku bohaterów do swego bohaterstwa się nie przyzna.

Albo ten Bajoch: *Zdawałoby się – historia nie z tej ziemi. A jednak z tej. Ludzie są zastraszeni. Boją się potentatów. Piekielni byli potentatami. Bajoch był również jednym z nich i bardzo dbał, by w oczach ludzkich za takiego uchodzić. Strach!*

Chrapkiewicz pyta redaktora: *Dlaczego to zaraz po procesie nikt nie przyjechał do Zelowa, żeby poniuchać, na jakiej glebie wyrosła grupa, której tak chętnie przypisywano epitety szajka, malwersanci, rodem z anglosaskich kryminałów.* Zdaniem dyrektora, można mówić o funkcjonującym w Zelowie szczególnym systemie społecznym i ekonomicznym. Zrobił wykład partyjnemu redaktorowi o nitkarzach zaopatrujących się do niedawna w fabryce w złodziejską przędzę, o dziesiątkach, ba, setkach ludzi żyjących z purpuru, *wie pan, pościelowego*, pośrednikach, handlarzach. I choć teraz ci nitkarze mogą się legalnie zaopatrywać w fabryczną przędzę, to jej nie biorą bo znakowana. Oni takiej nie chcą, a trudności surowcowych jakoś nie przeżywają, mają dostawców w całym kraju, bo Zelów od dawna jest miastem tranzytowym, znanym paserom w Polsce.

Bezprawie tutaj jest jakieś spokojne, normalne

Chrapkiewicz uderza mocno: *Winę za to ponosi system. System – społeczny i ekonomiczny. Gdybym mógł, od razu jestem w stanie zatrudnić osiemset osób, chętnych, bezrobotnych, i o tyle mniej byłoby w Zelowie ludzi podatnych na „lewiznę". Ale nowego oddziału nie uruchomię, bo skarbiec państwa nie z gumy, a kraj wciąż na początku drogi do...*

W Zelowie to problem złożony i redaktor oddycha z ulgą, że dyrektor nie rozwija wątku „błędów na drodze do socjalizmu", bo to przecież nie socjalizm tu winien, myśli redaktor, ani bynajmniej nie jakieś systemowe błędy władzy, ale ludzie, konkretni. Autor woli temat już przepracowany „ciemnej strony miasta". Zelów jest przecież miastem tranzytowym, znanym paserem w Polsce. Działa tu klan. Nietykalny i bezkarny. Autor zlekceważy więc napomnienie dyrektora: *Ale*

wy, dziennikarze, tego też nie chcecie widzieć, bo zamiast zbiorowości i oddziaływania na nią, najlepiej winić ludzi, konkretnych ludzi. Zmierzcie się z tym. Odważcie się.

Autor nie idzie za wskazówką dyrektora. Owszem za jego radą poznaje młodego milicjanta, porucznika S., który jak w podręczniku socjalistycznego agitatora ma jasne, kędzierzawe włosy i bystre spojrzenie, 30 lat i mnóstwo entuzjazmu w sobie, choć pobiera co miesiąc tylko 1000 złotych pensji. Porucznik utwierdza redaktora w przekonaniu, że Zelów to piekielne miasto: *przez jedenaście lat takiego nie spotkałem, piekielne miasto, dziki zachód.* Sypie przykładami przestępstw i cwaniactwa, dzięki czemu złodzieje i paserzy unikają najgorszego, czyli więzienia. Redaktor chętnie skorzysta z zasobu wiedzy porucznika MO i zaprezentuje czytelnikom przestępczą „drobnicę" oraz konkretne nazwiska, zahaczy też o Czechów, stanowiących większość tzw. nitkarzy, którzy wyróżniają się szczególną „zaradnością". Tego tematu jednak z jakiegoś powodu nie rozwija.

Po tym co usłyszał od nowego dyrektora i porucznika S., dochodzi do nieco zaskakującego wniosku: *Bezprawie tutaj jest powszednie, ale jakieś spokojne, jakieś normalne...* Jego przyczyny nie upatruje się w żadnym systemie, problemach społecznych i ekonomicznych, ale w *zatomizowaniu*, którego źródłem miałoby być rozproszenie społeczności i dopływ do miasta ludzi z okolicznych wsi (chłoporobotników). Stąd, wnioskuje łódzki globtroter, *nieufność, bierność, zmowa milczenia, znieczulica*, a w konsekwencji *nastroje rezygnacji i apatii – grunt podatny dla alkoholizmu i ciemnych interesów.* A więc nie system, ale ludzie sami sobie są winni...

Autor nie może – istnieją przecież sprawiedliwi...

Autor artykułów najwyraźniej poszukiwał czegoś optymistycznego, co rozjaśniłoby nieco przygnębiający obraz „miasta bezprawia", nawet jeśli jest, jak odkrył, *jakieś spokojne, jakieś normalne.* Opowiedziano mu historię nowego inżyniera ruchu w fabryce (jak poprzednika przywiezionego *skądsiś*), który pod presją ciężarnej żony samowolnie zajął lepsze od przydzielonego mieszkanie. Ludzie się sprzeciwili, zostali wysłuchani i przyznano im rację, że to niegodziwość, a beneficjent zrozumiał swój błąd, i opuścił zajęte pochopnie mieszkanie. Sukces! Coś w ludziach drgnęło...

Zaraz potem redaktor trafił na posiedzenie komitetu fabrycznego, Partii oczywiście, i słuchał, chyba z narastającą ulgą: *My tu w zakładzie sobie poradzimy. Zaprowadzimy praworządność. Ludzie nie będą kraść. Nie dopuścimy do obelg wobec robotników. Za jedną szpulkę nici robotnik precz, bo innej rady nie ma i to jest nasza sprawiedliwość. Ale kanalia, która szmugluje setki kilogramów kradzionej*

przędzy, swobodnie chodzi po ulicy. I to jest także sprawiedliwość. Powiedzcie – zabrzmiało jakby specjalnie pod adresem gościa z partyjnej gazety – *może istnieją dwie sprawiedliwości?*

Zakończenie samo się pisało:

> Autor nie może wnieść o wyrok bezwzględnego, moralnego potępienia miasta za wszystko zło, które w nim poznał i które nagromadził w swym opisie. Albowiem autor nie jest przekonany, by taki wyrok o zbiorowej odpowiedzialności mógł być bezwzględnie sprawiedliwy. W każdej do głębi nawet znieprawioną sprawiedliwość, do cna przeżartą tym, co nazywamy „plagami społecznymi", w każdym najbardziej obojętnymi na występki środowisku, istnieją przecież sprawiedliwi, ludzie wrażliwych serc i czułych sumień. To oni ujawniają prawdę i oni świadczą przeciw złu. Ze względu na nich autor podjął próbę tego, co sam umownie nazwał „procesem przeciw miastu". To oni są świadkami oskarżenia i na nich spocznie jego ciężar – im wypadnie nadal codziennie w życiu spotykać się z wrogami społeczeństwa, i stawiać im czoła.

Redaktor podpowiada

Autor artykułów nie byłby sobą, czyli partyjnym dziennikarzem, gdyby odjeżdżając z Zelowa, nie podsunął odnalezionym przez niego sprawiedliwym pomysłu, jak szybko i skutecznie mogą przywrócić swemu miastu normalność i dobre imię w kraju. Taką okazję, jego zdaniem *stwarza obecna chwila polityczna*, czyli popaździernikowe wzmożenie zwane też odwilżą, i żeby nie było wątpliwości, co autor ma na myśli, precyzuje: *autor myśli o wyborach*. Bynajmniej nie o tych najważniejszych, do sejmu, bo te są, wiadomo (domyślnie), poza zasięgiem ludu pracującego miast i wsi, który co prawda będzie wybierał, ale odgórnie wskazanych, wybranych wcześniej przez Partię. Ludowi zelowskiemu pozostanie szczebel lokalny i to właśnie podpowiada redaktor: *Trzeba odmienić ojców miasta, którzy może i byli na swój sposób porządni* – dziwi się autor – *jak zaświadczają mimo wszystko o przewodniczącym, ale nie wytrzymał Października.* [...] *macie szansę zmienić zasadniczo niezdrową sytuację.*

Publicysta wraca do arcyprostych sposobów na bezprawie, np. znakowanie przędzy produkowanej przez fabrykę, budowa ośmiokilometrowej linii kolejowej, która połączyłaby to odcięte od świata miasto ze... światem i wyeliminowała podstawowy transport „purpuru" samochodami lub via poczta polska. Czy wreszcie budowa nowej przędzalni, która powinna zaspokoić głód pracy. Co te

arcyproste sposoby na bezprawie spowodują? Odpowiedź też jest „arcyprosta": *Mała socjalistyczna industrializacja oznacza w konsekwencji stopniową likwidację rozdrobnienia miejscowego społeczeństwa, przez co pozostaje ono gdzieś na bocznym torze naszej rewolucji.*

Duża industrializacja, socjalistyczna z ducha industrializacja – należy domniemywać podążając za świattą myślą redaktora – w sposób naturalny zintegruje lokalne społeczeństwo, które z ochotą włączy się w partyjny program budowy ustroju szczęśliwości społecznej. Redaktor odjechał do Łodzi zapewne z poczuciem dobrze spełnionego odgórnego polecenia.

Było po nazwiskach, ale bez wyroku...

Byłoby przesadą twierdzenie, że artykuł wstrząsnął miasteczkiem. Największe zaskoczenie budził fakt, że o tych sensacjach w ogóle napisano – ludzie przywykli, że władza nie informuje o anomaliach, bo w ten sposób „chroni" przed nimi obywateli, żeby nic im nie zakłócało budowania ustroju szczęśliwości społecznej. Jeszcze bardziej zdumiewało, że tak „po nazwiskach", i że konkretnych ludzi nazwano aferzystami i malwersantami albo pijakami, wręcz wrogami ludu. Choć w tej akurat kwestii zdania były podzielone, bo gdy jedni przyjmowali to ze zrozumieniem, a niejeden wręcz się cieszył („dobrze im tak"), inni uznawali to za niedopuszczalne piętnowanie i moralne nadużycie, celowe wykluczanie określonych ludzi, prowadzące do skłócenia mieszkańców. Czy był to świadomy zamysł redaktora?

Z podsłuchanej przypadkowo rozmowy ojca z kilkoma znaczącymi w Zelowie osobami, beneficjentami zmian w fabryce i mieście, zrozumiałem, że cały ten cykl potraktowali jako partyjną, propagandową zagrywkę, mającą uspokoić atmosferę w Zelowie, a przede wszystkim w Fabryce-ZZPB, gdzie na fali politycznego wzmożenia w kraju rozhuśtały się nastroje.

W sumie redaktor przyjechał do Zelowa wstrząśnięty dramatycznymi wydarzeniami i tragedią, która rozegrała się w szkole. Najwyraźniej miał z góry założoną tezę, którą uzewnętrznił tytułem, bowiem był przekonany, że zobaczy miasto do cna zepsute, zdemoralizowane „miasto bezprawia". Taki dziki zachód, w którym tylko brakuje, żeby jak w westernach zaczęto strzelać. I takie zobaczył, tyle że jak w socrealistycznej opowieści napotkał nagle dobro, które objawiło mu się w postaciach kilku ludzi, a to nowego dyrektora fabryki, a to porucznika milicji, a to wreszcie w bohaterze zbiorowym, jakim okazały się tkaczki i robociarze. Posłużył się wydarzeniami w mieście, żadnego z nich zdecydowanie nie piętnując, a nawet po części rozgrzeszając, jak choćby Bajocha, który „zwariował

i tyle", czy Gosińskiego, który co prawda pijak, ale „w sumie porządny, tyle że nie wytrzymał Października", i naznaczył nowego nominata w fabryce na... Mojżesza, który poprowadzi zelowski lud przez „Morze Czerwone".

Tymczasem ludzie spacerowali ulicami i pokazywali palcem czerwone kamieniczki manufaktur, o których tyle pisano w cyklu. I domy, których mieli dorobić się „panowie na Zelowie". Sława miasteczka nie gasła. A odgłos pracujących krosien, choć może z mniejszym natężeniem, nadal dobiegał z czerwonych kamieniczek. Nazwa ulicy – nomen omen, Tkackiej, choć potem zmieniono ją na Jana Amosa Komeńskiego, co nie bardzo spodobało się nieczeskim mieszkańcom – utrwaliła się w potocznej mowie jako „ulica siedmiu złodziei".

W wyborach do rady miasta ludzie wybrali, jak radził partyjny dziennikarz, nowych przedstawicieli, zmieniono ojców miasta: przewodniczącego rady i naczelnika, do władz wybrano też dyrektora zelowskiej fabryki i rekomendowanych przez niego urzędników oraz robotników z ZZPB. Nowi ludzie, nowe zadania, spektakularna budowa pierwszego bloku mieszkalnego, wszystko to skutecznie odwróciło uwagę od niedawnych dramatów. Nikt publicznie nie pytał, co dzieje się z dyrektorem szkoły, czy stanie przed sądem, czy zostanie ukarany. Czasem tylko w „Gospodzie ludowej" ktoś wspomniał o zelowskiej tragedii, ale szybko takiego delikwenta uciszano, kwitowano, że ot, to był taki „wypity gość...".

*

Na długie lata nad wydarzeniami tego fatalnego roku w Zelowie zapadło milczenie. Najszybciej zapomniano o „cmentarnej bitwie", tym bardziej, że miejscowa plebania rozpostarła parasol nad katolickimi rodzinami, skutecznie chroniąc je przed wpływami coraz bardziej marginalizowanych „innowierców". Rosło znaczenie proboszcza i wikarych wśród miejscowej elity.

Czesi, sponiewierani i pozbawieni liderów, zaszyli się w swoich uratowanych przed grabieżą domach i gospodarstwach. Zamilkli na długo w swoistej enklawie, skupiając się wokół nowego pastora i jemu powierzając swoje troski i zmartwienia. Ten zaś, czując brzemię odpowiedzialności za „swój lud", prowadził ich z rozwagą, starając się niczym nie zakłócić z takim trudem osiągniętego w miasteczku spokoju.

„Panowie na Zelowie" krótko jeszcze wzbudzali emocje miejscowych. Następca Piekielnego zadbał nie tylko o wyprowadzenie fabryki na prostą, ale swoim postępowaniem zyskał sympatię, bo choć „przywieziony w teczce", mocno zaangażował się w sprawy miasteczka i ożywił senną atmosferę nietuzinkowymi inwestycjami, choćby udostępniając fabryczny klub i dom kultury, a także łaźnię



Liceum z nowym skrzydłem i patronem

wszystkim mieszkańcom. Sprzyjały mu piłkarskie sukcesy miejscowego „Włókniarza", który w miejsce boiska otrzymał prawdziwy stadion.

Liceum nadano imię działacza SDKPiL Ludwika Waryńskiego[82], wkrótce wyposażono je w nowoczesną salę gimnastyczną; wyławiano talenty i dbano o ich rozwój. O szkolnym dramacie nie przypominano, nikt już nie chodził na grób Romka. Zapominano.

Trzeba było wielu lat, kilku dziesięcioleci, żeby zelowianie dowiedzieli się, jak potoczyła się sprawa szkolnej tragedii, co działo się przez te lata z dyrektorem Bajochem, i dlaczego w III RP ponownie chciano ją zamieść pod dywan.

82 Na pamiątkę jego rzekomego pobytu na wiecu w Zelowie w 1988 r.

VI. Pół wieku później

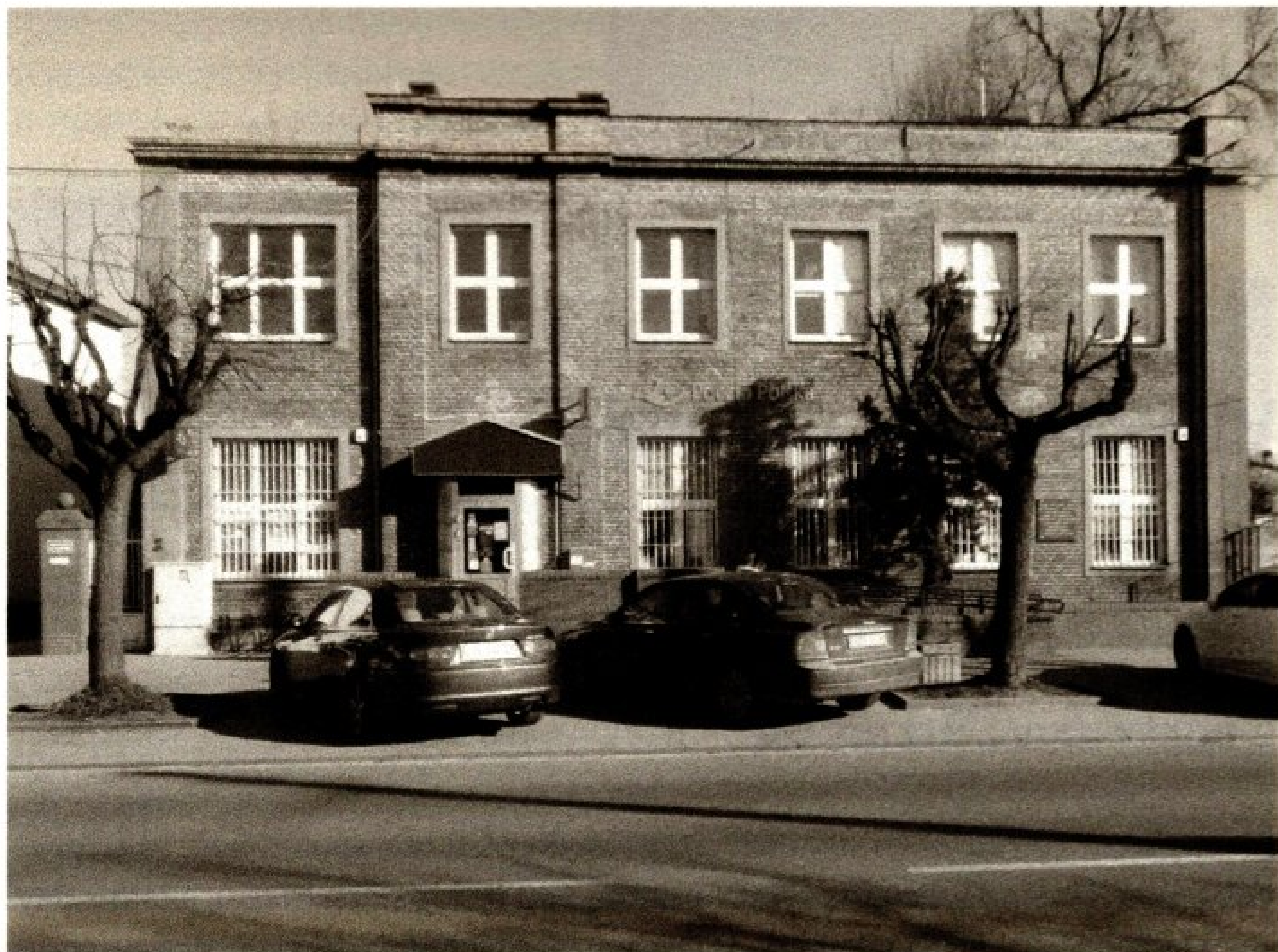
1. WIEŻY BABEL JUŻ NIE MA

Przez ponad 100 lat Żydzi stanowili drugą co do wielkości społeczność w Zelowie. Tuż przed II wojną światową żyło w osadzie 600 żydowskich rodzin, około 3,5 tysiąca ludzi; mieli własną szkołę, dwie jesziwy, pięć bibliotek, dwa koła dramatyczne, dwa banki, kasę pomocy, przedstawicieli w radzie gminy, działało osiem partii politycznych. Wnieśli znaczący wkład w rozwój gospodarczy oraz kulturalny Zelowa i w odróżnieniu od innych miejscowości, nie byli „przesadnie" szykanowani.

Sami Żydzi uznawali Zelów za miejsce dla nich przyjazne. *Tu utrzymywali się Żydzi z uczciwej pracy na różnych posadach i zawodach, w handlu i szczególnie w miejscowym przemyśle* – powiedziała autorowi przed kilku laty Perla Całecka, ostatnia z żyjących zelowianek, mieszkająca obecnie w Izraelu[83]. Jeden z członków najbardziej znanej rodziny żydowskiej, Max Liberman, wiele lat po wojnie, w Izraelu, wspominając przedwojenny Zelów mówił:

> To malutka miejscowość, dla obcego zaledwie punkt na mapie Polski. Dla nas, tam urodzonych, sam dźwięk tej nazwy wywołuje cieplutkie wspomnienia. Mieszkały tam różne grupy etniczne: Czesi, Niemcy, Polacy i my, Żydzi. Żyliśmy razem, współpracowaliśmy w interesach, szczególnie związanych z przemysłem tkackim czy w handlu. Ogólny stan materialny w Zelowie nie był zły, lepszy niż w innych miejscach. To właśnie była jedna z ważnych przyczyn, jak też to, że w Zelowie mieszkała duża grupa Czechów, że w naszym miasteczku nie można było odczuć żadnego antysemityzmu, który w owym czasie krążył po Polsce.

83 Notatki z rozmów odbytych w Łodzi w latach 2008–2011.



W dawnej synagodze obecnie działa poczta

Jedyna wyspa w Polsce – pisano o Zelowie w żydowskiej gazecie „Hajnt" (Dzisiaj), wychodzącej w Warszawie – w *której panuje pokój pomiędzy Żydami i Gojami, gdzie nie ma antysemityzmu i pretensji między mieszkańcami*[84].

Ta właśnie fama „przyjaznego Żydom Zelowa" spowodowała, że tuż przed wojną i w pierwszych tygodniach po jej rozpoczęciu, do osady napłynęło kilka tysięcy żydowskich uciekinierów, m.in. z Wielunia i Działoszyna, ale też z pobliskiego Szczercowa, Pabianic i Łodzi.

Większość z nich zginęła w ciężarówkach-komorach gazowych w Chełmnie nad Nerem, wielu zmarło w łódzkim getcie, w Auschwitz i innych obozach śmierci. Po wojnie doliczono się około 60 zelowskich Żydów, ostatnia rodzina wyjechała w 1969 roku. Zostawili trwałe ślady swej obecności, m.in. charakterystyczne domy z ornamentami pod dachami i balkonami ze świecznikami, macewy poukrywane w polskich domach (najwięcej znajduje się ich na terenie zboru) i przede wszystkim synagogę, która zbudowana tuż przed wojną, nie została nigdy przez nich zagospodarowana; dziś znajduje się w niej poczta. Kilka

84 Archiwum Ringelbluma, ŻIH.

lat temu odsłonięto na jej murze tablicę upamiętniającą ofiary wojny, ale nie ma najmniejszej wzmianki, że byli wśród nich zelowscy Żydzi.

Moja książka *Wszyscy się nas boją* (2012) rozeszła się w Zelowie w liczbie kilkuset egzemplarzy i wzbudziła ogromne zainteresowanie, od lat dopytywany jestem o wznowienie nakładu, a przede wszystkim proszony o uzupełnienie jej o fakty i osoby, które „przecież masz odnotowane w zapiskach". Po chwilowym zainteresowaniu lokalnych władz i udziale w capstrzyku pod pomnikiem T. Kościuszki, podczas którego wyczytywano nazwiska żydowskich mieszkańców Zelowa, ofiar Holocaustu, jak za dotknięciem przysłowiowej różdżki, a może świstu bata, wszystko nagle ucichło. Cisza trwa nadal...

A Czesi?

Do dziś jest to w Zelowie drażliwy temat – w książce *49 listów z powodu braci czeskich* pisał Edward Martuszewski – *wydaje mi się, że nie powinienem im w książce poświęcać zbyt dużo uwagi, bo kultywowaniem tego rodzaju uprzedzeń i urazów niczego sensownego się nie osiągnie*[85].

Nie wiem, dlaczego to pisarz z Olsztyna spędził wiele miesięcy w archiwach i na rozmowach w Zelowie i Pradze, żeby w 1971 roku napisać pierwszą prawdziwą książkę o zelowskiej wieży Babel. Zainspirował go ponoć łódzki literat, który być może właśnie z powodu „drażliwości tematu" (i geograficznej bliskości Zelowa oraz Łodzi) namówił do podjęcia go człowieka „z daleka". Martuszewski napisał świetną „biografię Zelowa", oddając należne zasługi czeskim założycielom osady, ale też Żydom i Polakom, ale tematu czeskiego eksodusu po II wojnie rzeczywiście właściwie nie ruszył, co najwyżej lekko go dotknął.

Tenże olsztyński pisarz w pierwszym liście do łódzkiego mentora pisał co prawda, *że ten Zelów, który tak mi zachwalałeś, właściwie już nie istnieje, a narodowościowa i wyznaniowa wieża Babel należy do przeszłości; Czesi przestali stanowić większość mieszkańców* [...]. *Zelów, o którym mi opowiadałeś, odnalazłem właściwie tylko w archiwum zboru ewangelicko-reformowanego*". I to, jak przyznaje, *nieuporządkowane archiwum – kopalnia wiadomości na temat czeskiego Zelowa* – zdecydowało, że postanowił napisać tę książkę.

O Zelowie powstało potem jeszcze kilka książek, ale i one bardziej koncentrowały się na religijnej i etnicznej odmienności, przedsiębiorczości zaradnych Czechów. Wyraźnie inspirowane przez zapobiegliwych liderów tej społeczności, mocno trąciły stronniczością w przekazywaniu wiedzy, posuwając się niekiedy

85 E. Martuszewski, *49 listów z powodu braci czeskich*, Wydawnictwo Łódzkie, 1971.



Okładka książki Edwarda Martuszewskiego

do takich argumentów, że do wpisywania się przez Czechów na listy narodowości niemieckiej (folksdojczów), *nakłaniano celowo – dawało to bowiem możliwości lepszej penetracji środowiska związanego z władzami niemieckimi*[86].

Oficjalna strona urzędu miejskiego „drażliwy temat" kwituje jednym zdaniem: *Po II wojnie światowej liczba Czechów znacznie zmalała*[87].

Nieznany autor hasła Zelów w Wikipedii napisał: *Po wojnie do wyjazdu zmuszono społeczność niemiecką, liczba represjonowanych Czechów także znacznie zmalała.*

Tu my, tam oni...

Po ponad pół wieku Zelów, o którego *miejskości świadczy właściwie tylko kilka tysięcy mieszkańców* (Martuszewski w 1971 r.), liczy obecnie około ośmiu tysięcy

86 *Wczoraj i dziś... Życie i teraźniejszość braci czeskich w Zelowie*, Muzeum w Zelowie, 1998.
87 zelów.pl.historia-miasta

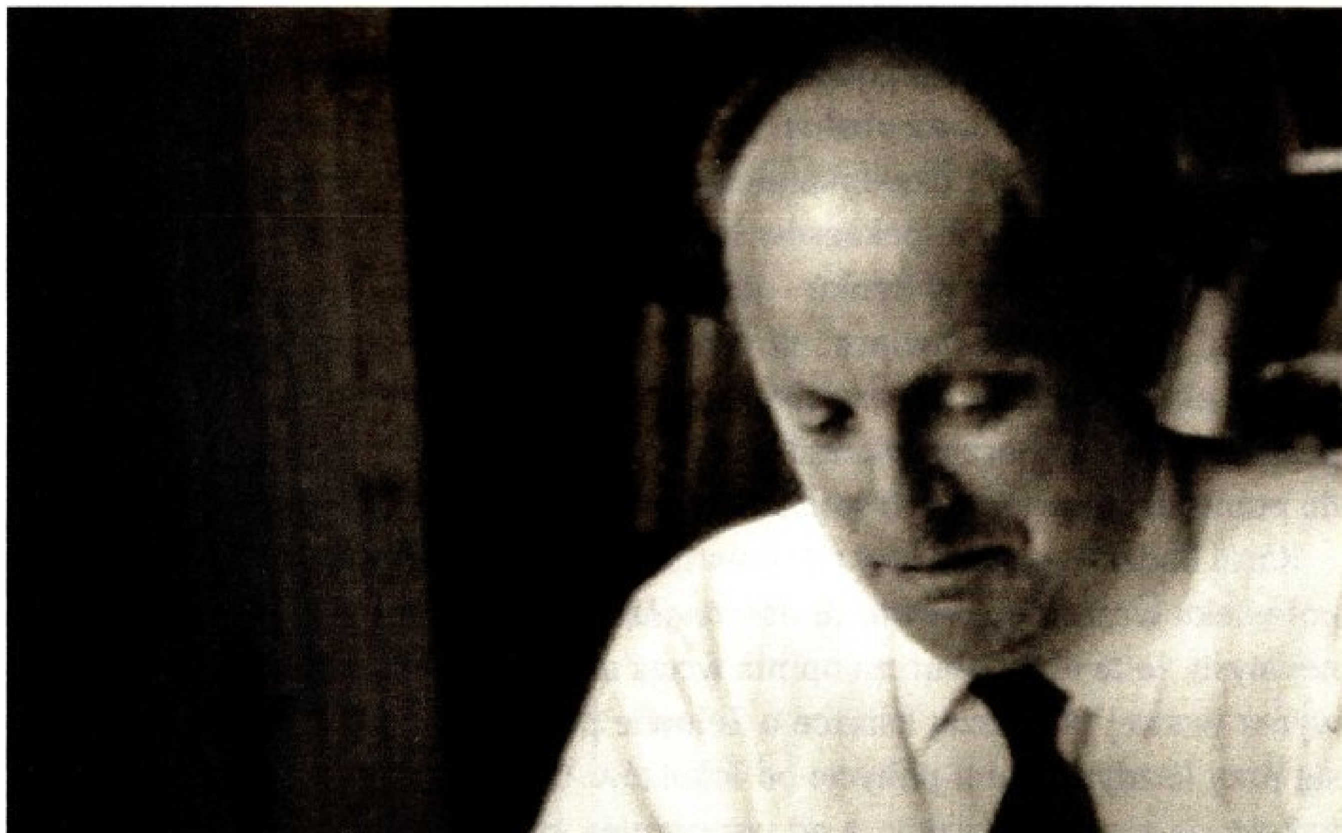
mieszkańców, w gminie mieszka drugie tyle. Miasto, w którym od przedwojnia aż po 1990 rok co osiem godzin rozbrzmiewała fabryczna syrena, odliczająca koniec i początek zmiany obsługi przy terkoczących krosnach, kiedyś tętniące codziennym gwarem i dzwonkami rowerów, którymi większość dojeżdżała do pracy, szumem licznych pekaesów łączących z Łodzią i Częstochową i cotygodniowym jarmarkiem w Rynku – jest teraz dojmująco ciche. Nie ma „Gospody ludowej" na rogu ani piwiarni, w ogóle nie ma gdzie się napić wódki. Dawną knajpę przekształcono w oazę ciszy, umieszczając w niej bibliotekę, targowisko przeniesiono na ubocze, pekaesów też już nie ma, kursuje parę zaledwie busów do pobliskich powiatowych stolic: Bełchatowa i Łasku.

Karol Badziak, pochodzący z Zelowa znany łódzki dziennikarz, pisał niespełna pół wieku wcześniej: *prowincja doskonała, idealna*[88]. Trudno pozbyć się natrętnej myśli, że ta obrazoburcza opinia wciąż nie traci na aktualności. Dałem temu wyraz w swej pierwszej książce o Zelowie pt. *Szare miasto*[89], za co dostaje mi się przy każdym moim pobycie od lokalsów. Choć w rozmowach przyznają, że w Zelowie nic się nie dzieje, a od wspomnień z przeszłości się ucieka, to drażni ich to określenie „szare miasto".

Czesi są nadal obecni w Zelowie. Ich enklawą jest głównie ulica Piotrkowska, przy której mieszka większość rodzin, ich skupiskiem pozostaje oryginalny, ale „niepolski" kościół, do którego zwykły zelowianin nie wejdzie. Wyróżniającymi obiektami w Zelowie są okazała plebania i dom zborowy z bogatym programem edukacyjnym dostępnym dla każdego dziecka (choć tak się dzieje, że uczestniczą w nim tylko „swoi"). Jest jeszcze muzeum – formalnie Ośrodek Dokumentacji Dziejów Braci Czeskich, na poddaszu ich kościoła – które u miejscowych nie budzi ciekawości. I jedyne takie w Polsce, a może i w świecie „Zelowskie dzwonki", zespół dzieci i młodzieży grającej na... dzwonkach ręcznych, będących podarkiem z amerykańskiego Pittsburgha. Rzadko koncertuje w Zelowie, gdzie raczej uświetnia co znakomitsze okazje, częściej słyszy się go w innych miastach Polski, w Czechach, w Europie. W Zelowie, poza oficjelami z urzędu, obecnych zwłaszcza, gdy przyjadą goście z zewnątrz, np. ambasador Czech, zespół mało kogo interesuje.

W miejsce istniejącego jeszcze w peerelu Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Czechów i Słowaków w Polsce, organizacji hermetycznej, żyjącej własnym życiem i rytmem, po przełomie ustrojowym powstało Stowarzyszenie Czechów w Polsce, jego emanacją w Zelowie jest Klub Czeski. Czynny każdego dnia, otwarty, przyjazny, gwarny, organizuje warsztaty dla dzieci, wyświetla czeskie filmy. W każdy poniedziałek odbywa się wieczór historyczny, podczas którego najstarsi

88 K. Badziak, *Zanim powstanie oś przemysłowa*, „Współczesność" nr 10, 1960.
89 S. Kopka, *Szare miasto*, 2014.



Pastor Zdzisław Tranda – budowniczy mostów

identyfikują przodków na starych zdjęciach i filmach, wspominają, opowiadają. Bywam tam przy każdej okazji; z miejscowej „większości" nie spotykam nikogo...

O wizycie prezydenta Havla w marcu 1998 roku – która była wielkim przeżyciem dla czeskiej mniejszości i dzięki której o Zelowie przez kilka dni było głośno w mediach – się nie mówi. Ani o Światowym Kongresie Potomków Braci Czeskich w 2002 roku, na który zjechało półtora tysiąca ludzi z całego świata, a podczas którego miejscowi oficjele zamiast być dumni z wydarzenia, czuli, jak odnotowano, pewien dyskomfort z powodu najazdu na Zelów. Ani o Zdzisławie Trandzie, pastorze przez 30 lat skutecznie łagodzącym lokalne napięcia razem z proboszczem Antonim Szarejką[90]. Z Valasske Klobouky w Czechach – miastem bliźniaczym – stosunki nawiązano w 2012 roku, 10 lat po tym, jak zaczęto współpracę z niemieckim Neuenhaus.

W 1998 roku we wstępie do książki wydanej przez zelowski zbór biskup Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w RP Zdzisław Tranda pisał:

> Podziwiam także moich rodaków, Polaków, którzy przyjęli na swej ziemi wygnańców z Czech, dzięki czemu znaleźli oni możliwość egzystencji, a nawet

90 S. Kopka, *Wizytownik zelowski*, 2014. W tej książce, w rankingu zasłużonych dla Zelowa obywateli, uznałem ich obu za najwybitniejszych mieszkańców dwustulecia.

wpłynęli na rozwój gospodarczy tego regionu przez rozwijanie rzemiosła, a potem przemysłu włókienniczego. Postawa Polaków była wyrazem głębokiej tolerancji, zakorzenionej wówczas w tym społeczeństwie. Sądzę, że można powiedzieć, iż ekumeniczne braterstwo w tamtych czasach, w pierwszej połowie XIX stulecia było niezwykłe[91].

Rzeczywiście nie w pierwszej, ale w drugiej połowie XIX stulecia było niezwykłe. W 2007 roku, już jako emerytowany biskup Kościoła Ewangelicko-Reformowanego, akurat z okazji 50-lecia uzyskania praw miejskich, Zdzisław Tranda, pierwszy przedstawiciel czeskiej społeczności, doczekał się tytułu Honorowego Obywatela Zelowa. Po burzliwych powojennych napięciach i konfliktach jego posługa pasterska w Zelowie dokonała niemal cudu, wzajemne relacje, wydawało się, wróciły do normy. Pięć lat później Klub Inteligenckiej Katolickiej przyznał człowiekowi, który zawsze starał się jednoczyć, a nie dzielić, wyróżnienie PONTIFICI – budowniczego mostów.

W tym samym 2007 roku na łamach łódzkiego dziennika ukazały się trzy publikacje poświęcone Braciom Czeskim – wyraźnie inspirowane przez jego następcę. Mając okazję pójść śladem wielkiego poprzednika, pastor Jelinek wybrał inną drogę, wykorzystał je, by wylać publicznie dawno przepracowane czeskie i polskie żale:

> Lata 1945–1947 to czarna karta w historii Zelowa. W 1945 r. pojawił się wojewoda łódzki, stwierdził, że trzeba stąd wygonić Czechów, bo tu ma być Polska. [...] Czesi należeli do zamożnych obywateli osady, więc prawdopodobnie chodziło o to, by zdobyć ich majątki. Starsi mieszkańcy wspominają, że w dzień milicja nachodziła ich oficjalnie, a nocami w przebraniu, by rabować. Wystraszeni zaczęli opuszczać Zelów. W ciągu dwóch lat wyjechało niemal całe czeskie społeczeństwo...[92].

To właśnie ta wypowiedź była prawdopodobnie przyczyną repliki burmistrza, o której pisałem na początku rozdziału I.

Czart z piekła rodem...

Ciekawe światło na współczesny Zelów rzucają badania socjologiczne dr. Piotra [illegible], który w latach 1988–1994 zajmował się relacjami między społecznością polską i czeską. Choć w studium *Społeczność czeska w Zelowie* pisał:

---

91 Z. [illegible], *Wczoraj, dziś i...*, Muzeum w Zelowie, 1998.
92 [illegible], *Bracia czescy z Zelowa*, „Dziennik Łódzki", 30.11.2007.

Relacje między społecznością polską i czeską w Zelowie układają się harmonijnie, to zauważył, że w administracji lokalnej znajduje się wiele osób, które mimo ożywionych, licznych kontaktów zagranicznych, przejawiają postawy ksenofobiczne i dla których *chrześcijanin innego wyznania jest czartem z piekła rodem.*

Większość respondentów i informatorów społecznych, niezależnie od etnicznego pochodzenia, odnosiła się z daleko idącą powściągliwością do osób przeprowadzających wywiady w Zelowie. [...] *Godząc się na przeprowadzenie wywiadu udzielali odpowiedzi zdawkowych. „Ja nic nie wiem"* – pisze autor o typowej reakcji części respondentów. I stawia tezę, że: *przyczyną niechętnej postawy wobec badaczy ze strony wielu respondentów i potencjalnych informatorów społecznych była obawa przed „obcymi", których roli społecznej nie mogli zelowianie w sposób jasny zdefiniować. Zjawisko to w przypadku respondentów mieści się w ramach zachowania utrwalonego wśród wielu mieszkańców, które jeden z informatorów społecznych określił jako „strach przed władzą".* Według niego *w mieście ludzie obawiają się przedstawicieli wszelkiego typu instytucji, które w opinii zelowian powiązane są z szeroko pojętą „władzą", czyli państwowym aparatem administracyjnym.*[...] *mieszkańcy Zelowa pytali najczęściej o to, czy w udzielane informacje nie będą mieli wglądu przedstawiciele miejscowych władz administracyjnych*[93].

Wiem coś o tym, bo sam tego doświadczyłem. Kiedy zacząłem się bardziej interesować przeszłością Zelowa, zwłaszcza okresem powojennym, początkowo spotkałem się z niezwykle sympatycznym odzewem. Chętnie rozmawiano, wspominano, pokazywano mi zdjęcia, wskazywano ludzi, którzy wiedzą więcej o Zelowie tamtych czasów. Trwało to jakiś czas; ja wracałem do Warszawy, po kilku miesiącach znowu przyjeżdżałem na kilka dni i zacząłem dostrzegać coraz większą powściągliwość w rozmowach, gdy schodziły na tematy „historyczne". *Ja ci tego nie powiem, bo dobrze nie pamiętam* – to było w pierwszej fazie, w drugiej mówiono wprost: *Ja ci tego nie powiem, bo nie wiem, w jakim celu zbierasz te informacje i jaki użytek z nich zrobisz.* Nikt wprost nie mówił o obawach, że to może mu zaszkodzić, ale też niektórzy nie ukrywali: *Ty wyjedziesz, a ja tu zostaję i będę na cenzurowanym.* Zgoła humorystycznie zachowywali się w tym względzie ludzie pracujący w urzędzie gminnym lub związani z zelowskim establishmentem – nie tylko odmawiali rozmowy, ale przy przypadkowych spotkaniach w miejscach publicznych nerwowo rozglądali się na boki, czy ktoś nie jest świadkiem jego „podejrzanego" kontaktu, może nie tyle z zupełnie obcym, ale na pewno nie jednym z nich. Często słyszę o istnieniu układu, który jak się okazuje, nie jest charakterystyczny tylko dla wielkiej polityki i bywa dotkliwy dla osób spoza niego.

93 Wszystkie cytaty poniżej z: P. Wróblewski, *Społeczność czeska w Zelowie*, Semper 1996.

Trzymają się razem

Wracając do badań dr. Wróblewskiego, wynika z nich, w lapidarnym skrócie, iż sami Czesi w zdecydowanej większości uważają się za „Czechów – zelowskich patriotów". Pisze: *We wzorze Polaka – czeskiego pochodzenia – występują silne przejawy polskiej świadomości narodowej, a czeski sentyment narodowy zredukowany został do wspomnień o podstawach tradycji religijnej i własnej językowej socjalizacji pierwotnej.*

Polacy generalnie pozytywnie postrzegają Czechów, jako uprzejmych, dobrych, miłych i uczciwych, także pracowitych ludzi (*lubią porządek, żyją według swojej wiary, skromni...*), choć zauważają ich skłonność do izolacji, zamykania się przed obcymi: *umieją się trzymać razem, żyją sami dla siebie*, co niekiedy postrzegane jest jako przejaw egoizmu, a nawet wywyższania się. Wróblewski zaznacza też, że niektóre przymioty tej grupy zanikają z uwagi na *małżeństwa mieszane lub niezachowywanie tradycyjnych wzorów przez przedstawicieli młodszego pokolenia – teraz to już dużo wymieszane i nie ma różnic.*

Badani zelowianie-Polacy generalnie pozytywnie oceniają i akceptują taką organizację państwa, *na terenie którego żyją przedstawiciele wielu kultur narodowych.* Twierdzą nawet, że *terytorium państwowe powinno być zamieszkiwane przez wiele grup narodowościowych, ponieważ z takiego stanu rzeczy wypływa bogactwo kulturowe członków zbiorowości państwowej lub przedstawicieli dominującej grupy narodowościowej.* Autor przytacza wypowiedź uczennicy liceum – Polki: *Ja osobiście nie zauważyłam, aby ktoś, kto jest innej narodowości, był z tego powodu upokorzony albo miał jakieś przykrości, np. w Zelowie ludzie innej narodowości są traktowani tak samo jak Polacy, zarówno w instytucjach, jak i przez tych samych mieszkańców.* Czeszka na pytanie o upokorzenia i przykrości doznawane ze względu na inną niż polska przynależność narodową stwierdziła, że takie zjawiska sporadycznie występują, *ale już coraz rzadziej, najczęściej w szkole dzieci bywają wyśmiewane z tego powodu.*

Zelowianie pytani podczas badań o wydarzenia historyczne o lokalnym znaczeniu, które były przełomowe w dziejach Zelowa, dość zgodnie, zwłaszcza ci młodsi, odpowiadali, że *do najważniejszych wydarzeń w historii Zelowa należy zaliczyć przybycie Czechów oraz założenie fabryki włókienniczej również przez Czecha, gdyż to właśnie doprowadziło do powstania i rozwoju miasta.* Te fakty zyskują na znaczeniu, gdy są łączone z nimi dalsze wydarzenia, jak *uzyskanie praw miejskich* [...] *przewrót w 1989 roku i demokratyzacja.* Starsi akcentowali powojenną rozbudowę zakładów włókienniczych.

Mały odsetek badanych mówił o tym, że w *latach 1945–1947 miały miejsce prześladowania ludności pochodzenia czeskiego.* Najwyraźniej nie są one



Autor i Rene Pospiszył – nasza przyjaźń trwa od dziesięcioleci

czynnikiem stygmatyzującym lokalną społeczność, żyją we wspomnieniach nielicznych. Tym bardziej należy ubolewać, iż tak bez dozy refleksji, może nazbyt spontanicznie ujawniają się w najmniej spodziewanym momencie. Szkoda, bo niweczą one wysiłek wielu ludzi pracujących na dobro wspólnoty zelowskiej, a co bardziej wrażliwych utrzymują w stałym napięciu i oczekiwaniu, bo „coś wisi w powietrzu" i w każdej chwili może spaść jak grom z jasnego nieba. Taka niepewność nie jest, niestety, budująca. Być może w tym należy upatrywać pewnej niechęci zelowian do angażowania się w sprawy społeczne i publiczne oraz wyczuwalny chłód wobec działań podejmowanych przez instytucje, a nawet organizacje zajmujące się kulturą czy sportem. Może czas zatem na grubą kreskę, która odmieniłaby ten klimat niepewności.

Jak najciszej o nich...

Pastor Mirosław Jelinek w ciągu 30 lat przeżył w Zelowie dobre chwile, zadbał o medialny rozgłos wokół zboru, ale w większym stopniu... wokół siebie i żony, pierwszej kobiety wyświęconej na księdza-pastora (ewenement religijny), ale

parafianie go nie docenili. Tak jak na początku XIX wieku nie szukali i nie poszukiwali rozgłosu, tak i teraz przeszkadzał im ten gwar wokół ich wspólnoty. Mając taką możliwość – bo w Kościele Ewangelicko-Reformowanym to zgromadzenie członków zboru decyduje, kto będzie ich duchowym przewodnikiem – zwyczajnie pozbyli się najbardziej rozpoznawalnego mieszkańca Zelowa. Nikt Jelinków nie pożegnał, zresztą opuścili parafię niespodziewanie i pod osłoną nocy. Obecnie posługę pełnią w czeskich parafiach.

Następca Jelinka, pastor dr Roman Lipiński, do Zelowa przyjechał z Warszawy z jasno określoną misją uspokojenia atmosfery. Nie stronił od aktywności i uczestnictwa we wszystkich ważnych lokalnych wydarzeniach, ale bez tej, tak ją nazywają w miasteczku „Jelinkowej ostentacji" i skłonności do brylowania w mediach i na salonach. Zapytany, co sądzi o moim zamiarze opisania powojennych losów Zelowa i roli Czechów, ich ucieczce z miasteczka, wypowiedział się powściągliwie, ale zdecydowanie, że w *interesie zelowskich Czechów jest, żeby było jak najciszej o nich*[94].

Zgodnie ze swoją misją pastor Lipiński spokojnie spędził czas w Zelowie, wśród ewangelików reformowanych zyskał opinię człowieka nie tylko wyjątkowo pobożnego, świetnego oratora, ale także pełnego empatii i wewnętrznego ciepła, które emanowało na wspólnotę. Został zapamiętany jako pastor niosący każdemu dobre słowo, a także przesłanie dla zelowskiej wspólnoty: powinniście być razem, na dobre i złe...

O potrzebie rzetelności

Burmistrz, mimo swego gniewnego tonu, o czym pisałem wcześniej, zdobył się też na taką refleksję:

> Nie dorobiliśmy się rzetelnej naukowej monografii dziejów Zelowa. Nie okolicznościowego albumu czy folderu, ale naukowego opracowania zawodowych historyków, dotykającego nie tylko najważniejszych wydarzeń dziejowych, ale głęboko zanurzającego się w skomplikowaną zelowską przeszłość. Także w tę bolesną, pełną kontrowersji i niedomówień – jak chociażby historię okupacji hitlerowskiej w Zelowie. Należałoby to zrobić nie po to, by kogokolwiek stawiać pod pręgierzem, ale żeby – jak zaleca Marian Brandys, wielki nasz publicysta historyczny – to, co w naszych zelowskich dziejach piękne i wzniosłe, nazwać pięknym i wzniosłym, a to, co podłe i nikczemne,

94 W rozmowie z autorem w Zelowie, 11.06.2011.

„Przesłanie jubileuszowego roku miało przypomnieć niezwykłą zelowską historię, historię zgodnego budowania gminnej wspólnoty przez pokolenia ludzi wywodzących się z różnych środowisk religijnych i narodowościowych. Szkoda, że pod koniec roku ta atmosfera została zmącona przez - wywołane przecież w Zelowie - echa antypolskich i antykatolickich kompleksów."

PRZESZŁOŚĆ DLA TERAŹNIEJSZOŚCI, TERAŹNIEJSZOŚĆ DLA PRZESZŁOŚCI

Rozmowa z burmistrzem Sławomirem Malinowskim o obchodach jubileuszowego roku 50. lecia praw miejskich Zelowa



Olena Krawczuk - Chojnacka: Panie Burmistrzu, zbliżamy się do końca jubileuszowego dla Zelowa roku, roku 50.lecia uzyskania praw miejskich. Towarzyszyły tej rocznicy i inne zelowskie jubileusze - powstania ważnych dla życia naszej gminy organizacji i instytucji. Siłą rzeczy więc, mieliśmy cały szereg okolicznościowych imprez, koncertów, rozgrywek sportowych. Chciałam Pana namówić na pierwsze podsumowania jubileuszowego roku, ale może nie w kontekście blichtru okolicznościowych imprez, tylko dla przypomnienia przesłania rocznicowych obchodów. „Przeszłość dla teraźniejszości, teraźniejszość dla przyszłości" - tak można by streścić to przesłanie...

Sławomir Malinowski: Chcieliśmy obchodom jubileuszowym nadać głębszy sens. Towarzyszące rocznicy praw miejskich przesłanie, które Pani przytoczyła, miało najpierw skierować uwagę na niezwykłą zelowską historię, historię budowania gminnej wspólnoty przez pokolenia ludzi wywodzących się z różnych środowisk religijnych i narodowościowych. To przecież tak bardzo odróżnia nas od innych miast i gmin w Polsce. Ale to odwołanie się do lokalnych dziejów miało mieć i walor wydobycia z nich całego pozytywnego bogactwa, które można wykorzystać w naszej teraźniejszości dla większego jeszcze skupienia sił dla przyszłego rozwoju gminy. Bo jak powiedział Władysław Grzeszczyk: „Nawet najlepsza teraźniejszość marzy o lepszej przyszłości".

O.K.Ch.: Rozumiem, że symbolicznym ucieleśnieniem tego przesłania było nadanie honorowego obywatelstwa Zelowa biskupowi Zdzisławowi Trandzie.

S.M.: Ksiądz biskup Zdzisław Tranda jest z jednej strony niezwykle zasłużoną dla Zelowa postacią, z drugiej strony nikt lepiej nie symbolizuje tych wszystkich ludzi i ich wysiłków, które zmierzały do budowania w Zelowie wspólnej, bratniej, wolnej od religijnej i narodowościowej wrogości koegzystencji zelowian. To honorowe obywatelstwo dla tego właśnie duchownego ewangelicko-reformowanego, było projektowane już od dawna. Chcieliśmy wszakże, aby i okoliczności były dostatecznie doniosłe. Wręczenie aktu nadania Honorowego Obywatelstwa biskupowi Zdzisławowi Trandzie w Święto Konstytucji 3 Maja, w roku jubileuszu 50.lecia praw miejskich Zelowa na centralnym miejscu miasta, w asyście sztandarów i licznie zgromadzonych mieszkańców było zaplanowanym zamiarem, obliczonym na oddanie najwyższego hołdu tej wybitnej postaci i wartości, które symbolizuje.

O.K.Ch.: Czy ta uroczystość i szereg innych przyniosły zamierzony skutek?

S.M.: Myślę, że tak. W szeregu wydawnictw, wystaw, spotkań, przybliżaliśmy zelowianom, a także mieszkańcom innych miast, naszą historię, problemy bieżące i plany na przyszłość. Szkoda tylko, że tę dobrą atmosferę nieco zmąciły pod koniec roku niesione przez niektóre media, ale wywołane przecież w Zelowie, echa antypolskich i antykatolickich kompleksów. Głosy te są przejawem jakichś dziwnych roszczeń, aby zelowską historię zawłaszczyć dla jednego tylko środowiska religijnego czy narodowościowego. Tego zrobić się nie da, ponieważ ta historia i współczesna rzeczywistość przynależą nam wszystkim zelowianom bez rozróżnienia wiary i narodowych korzeni.

O.K.Ch.: Czy takie głosy poszczególnych środowisk niosą jakieś daleko idące skutki dla życia miasta i gminy?

S.M.: Poprawka. To nie głosy środowisk, a jednostek pochodzących z określonych środowisk i dlatego nie jestem w stanie się nimi nadto przejąć. Mogą wywołać chwilową irytację, ale to wszystko. Natomiast to, o czym przypominają takie wypowiedzi, to refleksja, że nie dorobiliśmy się rzetelnej naukowej monografii dziejów Zelowa. Nie okolicznościowego albumu czy folderu, ale naukowego opracowania zawodowych historyków, dotykającego nie tylko najważniejszych wydarzeń dziejowych, ale głęboko zanurzającego się w skomplikowaną zelowską przeszłość. Także w tą bolesną, pełną kontrowersji i niedomówień - jak choćby historię okupacji hitlerowskiej w Zelowie. Należałoby to zrobić nie po to by kogokolwiek stawiać pod pręgierzem, ale żeby - jak zaleca Marian Brandys, wielki nasz publicysta historyczny - to, co w naszych zelowskich dziejach piękne i wzniosłe, nazwać pięknym i wzniosłym, a to, co podłe i nikczemne, podłym i nikczemnym. Kolejny jubileusz byłby doskonałą okazją do wydania takiej monografii, choć zdaję sobie sprawę, że to praca na wiele lat i bardzo kosztowna.

O.K.Ch.: Tymi refleksjami zamknijmy może wątek historyczny, a przejdźmy do teraźniejszości, do bieżącego biegu wydarzeń w gminie. Kilka zdań o tym, co najważniejsze w mijającym, jubileuszowym roku.

S.M.: W bieżącej pracy jubileusz 50.lecia miejskości Zelowa chcieliśmy uczcić w dwojaki sposób. Po pierwsze z powodzeniem zakończyć 3-letni, wspierany przez fundusze Unii Europejskiej projekt „Przebudowa oczyszczalni ścieków oraz budowa systemów wod.-kan. z odtworzeniem pasów drogowych w Zelowie" o wartości **17.168.257** zł, z czego dofinansowanie Unii wyniosło **12.269.674,23** zł, a drugie skutecznie wystartować w konkursach na środki europejskie w okresie 2007-2013. Oczywiście, na to drugie nie mieliśmy szans, bo po prostu środki te nie zostały uruchomione i do tej pory nie ogłoszono żadnych konkursów w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego - programu, z którego będą finansowane przedsięwzięcia inwestycyjne. Natomiast projekt „Przebudowa oczyszczalni ścieków oraz budowa systemów wod.-kan. z odtworzeniem pasów drogowych w Zelowie" został zakończony w terminie i czeka na końcowe, finansowe rozliczenie.

O.K.Ch.: To trzeci, co do wielkości projekt w województwie łódzkim realizo-

DOKOŃCZENIE NA STR. 4

Nazwać, co piękne i co podłe...

> podłym i nikczemnym. Kolejny jubileusz byłby doskonałą okazją do wydania takiej monografii, choć zdaję sobie sprawę, że to praca na wiele lat i bardzo kosztowna[95].

Póki co praca taka nie powstała i nic jej nie zapowiada, choć zbliżające się jubileusze byłyby dobrą okazją do prezentacji poważnej, rzetelnej HISTORII Zelowa. Malutka „czeska wysepka" istniejąca ponad 200 lat (w 2022 roku będzie to 220 lat) zapewne nie zniknie, może nawet, mam nadzieję, stanie się oczkiem w głowie dla miejscowych władz i atutem w pogoni za coraz bardziej cywilizującą się Polską.

Polscy mieszkańcy, którzy uważają że w *1945 roku dokonała się sprawiedliwość – odzyskali Zelów dla Polski i Polaków* – mogą i powinni uczynić wszystko, żeby obecna mniejszość czeska, a także inne mniejszości, poczuły, że ich małe ojczyzny są integralną częścią dużej ojczyzny jaką jest Polska. I żeby zelowski patriotyzm był cechą wspólną całej społeczności Zelowa.

Współżycie czterech narodowości w Zelowie nadawało osadzie przez półtora stulecia wyjątkową barwność i urok – pisała przed wielu laty prof. E. Štěřikova[96]. Co stoi na przeszkodzie, żeby z tych minionej barwności i uroku uczynić walor współczesnego Zelowa?

Mój szkolny kolega, gdy jego córka wyszła za mąż za Czecha, zerwał z nią wszelkie stosunki i wzbrania się przed poznaniem wnuczki. Nie chce ze mną rozmawiać na ten temat (*co cię to obchodzi, to moja sprawa*). Drugi co jakiś czas ponawia ofertę skorzystania z jego garażu, gdybym jeszcze odważył się przyjechać do Zelowa (*po co ma ci ktoś porysować samochód*). Znajoma Czeszka, była nauczycielka, osoba dość popularna w „miastku", mówi mi, że nie może wejść nawet na plac pod kościołem katolickim ze znajomymi z Pragi, bo zawsze znajdzie się ktoś, kto zagrodzi wejście, nieprzyjaźnie warknie: *Gdzie?*, i poradzi: *Macie swoją kocią kaplicę.*

Jakiś czas temu w pewnej rozmowie jeden z jej uczestników – osoba oczytana, lokalnie raczej prominentna – wypalił: *Gdyby TO, co w 1945 roku miało miejsce w Zelowie, zdarzyło się po prawej stronie Wisły, pewnie obeszliby się z nimi jak z Żydami w... Jedwabnem*. Byłem wstrząśnięty, ciarki przeszły mi po plecach...

W Zelowie aktywni są narodowcy, składający hołdy „wyklętym" pod tablicą na murze katolickiego kościoła; tablicą skądinąd podającą nieprawdę. A teraz ten długotrwały konflikt na pograniczu z Czechami, częściowo zażegnany, ale tlący się. Niepokojące.

95. *Przeszłość dla teraźniejszości, teraźniejszość dla przeszłości*, „Informator Zelowski" XII, 2007.
96. E. Štěřikova, *Rys historyczny osadnictwa czeskiego*, „Przewodnik po muzeum", 2006.

2. FABRYKI Z PAŹDZIERZA

Po procesie „zelowskiej szajki" przez pewien czas przejeżdżający przez miasteczko zatrzymywali się i dopytywali, gdzie to się działo. Pokazywano im fabryczny biurowiec i samą fabrykę, okazały jak na lokalne ówczesne warunki dom, który zbudował jeden z oskarżonych, i zapraszano do knajpy. Jeśli mieli niewymagający zmysł powonienia, mogli w niej najwięcej dowiedzieć się o zelowskiej sitwie i jej złotych czasach.

Dziś o fabryce, która w okresie największej prosperity, w latach 70. ubiegłego wieku, zatrudniała 3,5 tysiąca ludzi i żywiła całe miasto, przypomina tylko skryta niemal w krzakach tablica mówiąca, że w tym miejscu w okresie okupacji hitlerowskiej stała fabryka, w której znajdował się obóz pracy... A i jej los zdaje się niepewny, bo postawiona w miejsce fabryki z intrygującymi architektonicznie szedowymi dachami małomiasteczkowa galeria z paździerza ma plany inwestycyjne, które – jak mówi jeden z ostatnich żyjących jej pracowników i kustosz zelowskiej pamięci Eugeniusz Biskupski – *w końcu zmiotą obelisk*[97]. Podobnie jak stało się to z tuż obok przez dziesięciolecia stojącym tzw. pałacykiem, należącym do przedwojennego właściciela, J. Jersaka. To architektoniczne cacko mogło być nie tylko pamiątką po fabrykanckiej przeszłości Zelowa, ale po odpowiednim remoncie jego atrakcją. Na swoim miejscu pozostał tzw. biurowiec, jednopiętrowy budyneczek, w którym urzędował Piekielny, Piętosiu i inni – służy teraz za siedzibę władzy miejskiej i gminnej.

Młodzi ludzie o fabryce, z której żyli ich rodzice i dziadkowie, właściwie nic nie wiedzą, a tym bardziej, że produkowała bajeczne tkaniny i narzuty. Nazwisko Piekielny zostało zapomniane, choć samo słowo „piekielny" słyszy się nieraz w odniesieniu do miasta, przymiotnik ma raczej charakteryzować mieścinę, w której mało co się dzieje, w każdym razie brak tu historycznego kontekstu (afera).

Pewne zaskoczenie budzi pytanie o ulicę Chrapkiewicza, bo mało kto kojarzy dziś tę osobę. Następca Piekielnego jedynie w pamięci najstarszych zapisał się jako człowiek wyjątkowy, bo choć był *skądsiś*, był tym, *co tchnął życie w miastko*. Może zapamiętał prokuratora z procesu „fabrycznej sitwy" (stawał jako świadek), który zganił Piekielnego, że będąc w Zelowie niejako *pierwszym po Bogu, mógł przez odpowiednie wykorzystanie funduszów, którymi dysponował zelowski zakład, rozruszać to zacofane kulturalnie miasteczko*[98].

Bo rzeczywiście za dyrekcji Stefana Chrapkiewicza w tzw. biurowcu zaczął działać klub fabryczny otwarty dla wszystkich (pamiętam, że my, licealiści,

---

97 Notatka z rozmowy autora z E. Biskupskim, 19.08.2013.

98 Chyliński Z., *Proces przeciwko miastu*, „Głos Robotniczy" nr 9-15, styczeń 1958.

Fabryki, żywicielki i chluby miasta, już nie ma...



Po fabryce została tablica...



Okładka *Wizytownika zelowskiego*

oglądaliśmy tam pierwsze „Kobry" i graliśmy w brydża z naszym matematykiem), do domu kultury systematycznie dojeżdżał Teatr Ziemi Łódzkiej. Miejscowe klepisko służące piłkarzom za boisko przekształcił w prawdziwy stadion, z którego korzystali łódzcy pierwszoligowcy, bo miał świetną murawę; powstało sztuczne i kryte lodowisko. W samej fabryce poprawiły się warunki socjalne, dzieci jeździły na kolonie i obozy, starsi na wczasy i do branżowych sanatoriów; zanim pojawiły się autobusy, zakładowa ciężarówka, zapewniająca minimalny komfort, woziła ludzi na trasę Wyścigu Pokoju i na wycieczki po całym kraju.

Ludzie zarabiali, wydawali pieniądze w coraz lepiej zaopatrzonych sklepach, bawili się, brud zmywali w fabrycznej, nowoczesnej i ogólnodostępnej łaźni (pamiętam, że na komisji wojskowej w Łasku lekarz nie mógł się nadziwić, że ci chłopcy z Zelowa... nie śmierdzą). W swoim rankingu „Lista 200-lecia znanych zelowian", obejmującym kilkadziesiąt postaci, umieściłem Stefana Chrapkiewicza na ósmym miejscu (na pierwszym byli pastor Zdzisław Tranda i ksiądz Antoni Szarejko). Wielu mieszkańców dziękowało za przypomnienie tej postaci...[99]

Wcześniej napomknąłem o ulicy jego imienia, bo też już po latach stał się swego rodzaju cud – pierwszy, że upomnieli się o jego zasługi byli pracownicy, a miejscowa władza temu przyklasnęła, nadając jego imię jednej z ulic; drugi cud

99 S. Kopka, *Wizytownik zelowski*, 2014.

to ten, że pomimo dekomunizacyjno-lustracyjnego wzmożenia nazwę tę uratowano (nikt nie bronił natomiast ulicy T. Kunickiego, byłego ministra przemysłu lekkiego, któremu zelowska fabryka też co nieco zawdzięczała). Na jak długo, czas pokaże, bo żyjemy w wyjątkowo nieprzewidywalnej ponowoczesności.

Warto jeszcze wspomnieć o herbie miasta, na którym obok półorła, drugą część wypełnia czółenko tkackie, symbol-pamiątka po czasach, kiedy Zelów był włókienniczą potęgą i wizytówką przemysłu lekkiego w kraju. Umieszczenie w niedawno powstałej izbie pamięci w miejscowym liceum kołowrotka, na którym swego czasu *snuła się wić*, może wskazywać, że wełniano-bawełniana przeszłość miasta nie zostanie bezpowrotnie utracona.

3. NOWE ŻYCIE ZAPOMNIANEJ TRAGEDII

O najbardziej tragicznym wydarzeniu w zelowskiej szkole i o Romku Gapiku zapomniano szybko i na wiele lat. Absolwenci rozpierzchli się po świecie, liceum „wypchnęło" z okazałych przedwojennych murów „jedynkę", czyli szkołę podstawową, dyrektorzy liceum i nauczyciele się zmieniali, nawet brat i siostra Romka wyjechali z Zelowa – kto miał się upomnieć o pamięć o 4 listopada 1957 roku?

Gdy po 40 latach na spotkaniu klasy maturalnej dotarło do mnie, że tylko kilkorgu co nieco pamięta, postanowiłem, że muszę coś z tym zrobić. Odgrzebałem własne wspomnienia, przypomniałem wydarzenie w stołecznej popołudniówce, w „Expressie Wieczornym"[100], spotkałem się z byłym uczniem Bajocha we wsi Wola Buczkowska – wiedziałem już, że archiwa, kwerenda, rozmowy-wspomnienia wypełnią moje pozazawodowe życie.

Dotarłem do jakimś cudem zachowanego tomu akt w łódzkim sądzie, S. Woźniak udostępnił mi korespondencję z rodziną Bajocha, no i odbyłem dziesiątki rozmów. Potem było niespodziewane odkrycie w pabianickim muzeum i zaskakujące znalezisko w warszawskim oddziale Instytutu Pamięci Narodowej. Zacząłem pracować nad książką, ani przez moment nie przypuszczając, że wchodzę na niebywale śliski grunt i że w Zelowie ujawnią się z tego powodu nieprawdopodobne emocje.

Nieoczekiwanie w czasie pewnej podróży, w drodze z Poznania do Warszawy, usłyszałem dzwonek telefonu i nieznany mi głos oznajmił, że poszukuje ze mną kontaktu. Był to Zdzisław Pierzynka, były licealista mieszkający w Bełchatowie, zainteresowany sprawą szkolnej tragedii. *Skoro jesteś niedaleko Bełchatowa, zapraszam do siebie*[101].

100 M. [illegible], *Zelów jak Dunblane*; M. Kołodziejczyk *...i czterdzieści lat później*, „Express Wieczorny" nr 76, 1996.

101 [illegible] z rozmowy, 8.12.2007.



Z prawej Rene, który siedział w jednej ławce z Romkiem, w środku Rolisław – świadek tragedii Romka, i autor, wtedy uczeń VIIa

Byłem przed północą, gadaliśmy do rana. Zdzisław planował powołanie komitetu dla przypomnienia tragedii sprzed lat, a za najważniejsze uznał uhonorowanie czynu księdza Józefa Stanka. Moje kontakty z Pierzynką i z kilkoma osobami, które były zainteresowane inicjatywą Zdzisława, sprawiły, że odnowiłem relacje ze Zbyszkiem Gapikiem, młodszym o kilka lat szkolnym kolegą, bratem Romka. Od niego usłyszałem o jego własnych kłopotach z zelowskim liceum i wyjeździe z Zelowa: *Nauczyciel od angielskiego przy każdej okazji obrzydzał mi naukę i życzliwie informował, że „w tej szkole to ja matury nie zrobię". Szykany odczuwałem nie tylko z jego strony, czułem, że komuś bardzo zależy na tym, żebym zniknął ze szkoły; po roku przeniosłem się do technikum górniczego w Krakowie. Potem wojsko, przez wiele lat nie było mnie w Zelowie, pracę podjąłem w pobliskim Szczercowie, bo na miejscu nie miałem na to szansy*[102].

102 Notatki z rozmów ze Z. Gapikiem, 2007–2018.

Z jego opowieści dowiedziałem się, jak mocno sprawy związane z Romkiem wpłynęły na całą rodzinę. Nie wszyscy rodzice poszkodowanych dzieci byli tak zdeterminowani jak ojciec Romka w walce o całą prawdę. Zbyszek niechętnie wspominał tamten okres: początkowo zgodnie współpracujący rodzice poszkodowanych z czasem przestali działać wspólnie, może się nawet poróżnili, w każdym razie jako nastolatek zapamiętał, że przez kilka lat jego rodzice zostali sami ze swym bólem, nawet ksiądz i organista omijali ich dom w czasie kolędy. Atmosfera wokół Gapików zgęstniała do tego stopnia, że mieszkańcy, i sąsiedzi, do niedawna tak pomocni i życzliwi, nabrali dystansu. *Przed matką zamykano drzwi* – mówiła Ela, młodsza siostra Romka i Zbyszka – *odmawiano podpisów pod skargami i zażaleniami, jakie rodzice pisali w sprawie brata*[103]. Gdy po śmierci Romka, opowiadał Zbyszek *ojciec zaczął organizować rodziny poszkodowanych wokół listu do Gomułki, krytykować władze lokalne, powiatowy wydział oświaty i kuratorium w Łodzi, nachodzić prokuraturę w Łasku i Łodzi, pisać do prokuratury generalnej, czyli „robił szum", stał się „elementem niepewnym"*[104]. I mógł, wykorzystując śmierć syna – domniemywano – stworzyć „zagrożenie" dla interesów lokalnej elity.

Jeszcze i dziś trudno uwierzyć, że ówczesne władze (a przecież był to okres popaździernikowej odwilży) mogły tak mocno ingerować w sprawy ludzi tak tragicznie doświadczonych. Zbyszek opowiadał, że rodzicom od lat nie wiodło się najlepiej. Po powrocie z robót przymusowych z Niemiec Wacław, ojciec trojga dzieci, początkowo zajął się tkactwem „na swoim", czyli został prywaciarzem, a to w tym czasie, gdy kraj wchodził na drogę socjalistycznego rozwoju, w Zelowie było zajęciem coraz większego ryzyka. Właściciele warsztatów tkackich stale żyli w cieniu podejrzenia, że są współorganizatorami kradzieży przędzy z miejscowej fabryki, a te rzeczywiście przybierały wówczas niekiedy masowy charakter. Każdy pracujący na własny rachunek był stale nachodzony przez różne kontrole. Gapikowie co rusz musieli wyjaśniać, skąd mają przędzę, [illegible] utkany towar i ile z tego mają; tłumaczyli się, często bezskutecznie, przed wszechmocną wtedy „skarbówką", z trudem płacili wydumane kary i domiary, więc komornik zostawiał w domu tylko niezbędne do życia sprzęty, i tyle [illegible], ilu było domowników. Wpędzano ludzi w nędzę lub w szarą strefę.

Dzięki wsparciu brata Kazimierza, który po powrocie z robót przymusowych został sekretarzem w urzędzie gminy (był nim już przed wojną), ojciec Zbyszka

---

103 [illegible]

104 [illegible]

zmienił zajęcie. W 1957 roku pracował już na państwowej posadzie w wojewódzkim Przedsiębiorstwie Budownictwa Wiejskiego z siedzibą w Łasku. Pełnił nawet funkcję kierownika, a już po tym, co stało się z Romkiem, zaproponowano mu awans na wyższe stanowisko. Postawiono jednak warunek: miał zapisać się do Partii. Zrozumiał, że to jest cena, którą musi zapłacić za... swoje milczenie. Do Partii nie wstąpił, więc i awansu nie było, a po jakimś czasie zaczęły się „schody".

Domisko

Nowy dom Gapików przy głównej ulicy Kościuszki – w 1957 roku już zamieszkały, choć jeszcze w stanie surowym, a faktycznie wciąż w budowie, co zresztą widać na zdjęciu z tego roku – pod który po tej tragedii przychodzili ludzie nie tylko z ciekawości, ale często z autentycznymi wyrazami współczucia dla rodziny, naraz zaczął budzić emocje. Wydawało się oczywiste, że budowę domu rozpoczęto wcześniej, co najmniej przed rokiem, ale ludzie nagle zaczęli powątpiewać w to, co widzieli i usłyszeli od innych. W miejsce współczucia pojawiła się zazdrość i zawiść, zwykły dom stawał się „domiskiem": *To za odszkodowanie* – powtarzano, i ta plotka utrzymywała się przez całe lata, można usłyszeć ją jeszcze i dziś. Choć jak twierdzi Zbyszek Gapik, *żadnego odszkodowania nigdy nie było.*

Po ostatecznej decyzji o umorzeniu śledztwa Wacław Gapik podjął kolejną próbę zainteresowania sprawą organów ścigania – nikt go nie wsparł. Pod zażaleniem na ostateczne umorzenie sprawy „szkolnej tragedii" podpisał się sam. Prokuratura Generalna skwitowała, że postanowienie prokuratury wojewódzkiej z 19 grudnia 1958 roku o umorzeniu śledztwa jest zasadne i jego zażalenie pozostawiono „bez rozpoznania".

Niemal przy każdej rozmowie o wydarzeniach sprzed 60 lat, a odbyłem ich dziesiątki, jeśli nie setki, w różnej tonacji powraca temat odszkodowań: opowieści o tym, kto się wzbogacił na tragedii, kto jakie dostał odszkodowanie i za co Gapikowie wybudowali dom. To wciąż ludzi bardziej nurtuje niż kwestia, co stało się z kierownikiem-dyrektorem Bajochem. Może stąd wywodzi się niespodziewanie ujawniony w 2017 roku pogląd, że śmierć Romka to „niechlubna sprawa"?

Nie poszło tak szybko

Wracam do Zelowa. Jest koniec maja 2002 roku, pierwsze spotkanie klasy maturalnej po 40 latach. Ciekawe, wzruszające, brzemienne w skutki, jeśli chodzi

o mnie i moje postanowienie, że przeszłość trzeba przywrócić i utrwalić, aby została w pamięci moich koleżanek i kolegów, ale także zelowian.

Przypadkiem dowiaduję się, że rok wcześniej ksiądz Józef Stanek otrzymał tytuł Honorowego Obywatela Miasta Zelowa. Fakt ten, o czym się przekonałem, najwyraźniej nie przebił się nawet do lokalnej opinii publicznej, a ci, co słyszeli, nie bardzo przypominali sobie, w jakich stało się to okolicznościach. Podpowiedziano mi, że jeśli coś takiego miał miejsce, to *na pewno będą wiedzieli w kościele*. W ten sposób poznałem Aurelię Muśkiewicz z zespołu charytatywnego przy kościele katolickim i to od niej dowiedziałem się o okolicznościach przyznania księdzu Stankowi tytułu Honorowego Obywatela Miasta Zelowa. Jak powiedziała, temat zasług księdza *podjęliśmy zaraz po zmianach ustrojowych* [...] *przypominaliśmy historię parafii, księży, i wtedy pojawiło się też wspomnienie pobożnego i skromnego wikarego księdza Józefa Stanka, także o jego roli w czasie zelowskiego dramatu, który dzięki niemu nie stał się jeszcze bardziej tragiczny*[105].

Księdza Stanka zespół charytatywny odwiedził w nieodległej od Zelowa parafii w Kwiatkowicach, gdzie był proboszczem. Powspominali i – choć z pewnym trudem – uzyskali zgodę na przypomnienie jego roli w wydarzeniach w 1957 roku oraz na wystąpienie do władz miejskich o docenienie jego osobistych zasług w tym dziele. *Urzędujący wtedy burmistrz Jerzy Jóźwiak poparł naszą inicjatywę nadania tytułu honorowego obywatela Zelowa i obiecał znaleźć środki na profesjonalną sztalugę, którą chcieliśmy przy tej okazji obdarować księdza-malarza*[106].

Nie poszło tak szybko, jak chcieli. Sprzeciw przyszedł z najmniej spodziewanej strony, od proboszcza zelowskiej parafii księdza Kazimierza Cioska. Nie dostrzegał nic nadzwyczajnego w postawie kolegi, z którym w Zelowie zaczynał kapłańską karierę, ani nie widział szczególnej potrzeby wyróżnienia proboszcza z Kwiatkowic. Trzeba było uzbroić się w cierpliwość i przekonywać, co musiało potrwać. Wniosek o przyznanie księdzu Stankowi tytułu Honorowego Obywatela Miasta Zelowa został złożony dopiero za kadencji następnego burmistrza.

23 października 2001 roku wpłynął do rady miejskiej wspólny wniosek zespołu charytatywnego i księdza proboszcza Cioska, 28 listopada rada miejsko-gminna podjęła decyzję o nadaniu księdzu Józefowi Stankowi tytułu Honorowego Obywatela Miasta Zelowa, a 21 grudnia, podczas uroczystego nabożeństwa w kościele Matki Boskiej Częstochowskiej w Zelowie, którego sam wyróżniony był celebransem, tytuł ten, w *szczególności za bohaterską postawę w 1957 roku, dzięki której ocalało wiele istnień ludzkich*, uroczyście nadano.

105 Notatka z rozmowy, 31.05.2013.
106 Notatka z rozmowy, 31.10.2013.

Od kilkorga uczestników tego nabożeństwa usłyszałem, że ani ksiądz Stanek w okolicznościowym wystąpieniu, ani nikt inny nie wspomniał o śmierci Romka i poszkodowanych dzieciach. W styczniu następnego roku w domu katechetycznym w Zelowie zaprezentowano wystawę prac *Malarstwo sakralne ks. Józefa Stanka.*

„Obrońca zelowskich dzieci" zasługuje na więcej

W sierpniu 2003 roku Józef Stanek zmarł i zgodnie ze swoją wolą został pochowany w Kwiatkowicach. Parafianie, wdzięczni za jego 27 lat posługi, mogiłę księdza umieścili w centralnej części cmentarza i wznieśli okazały nagrobek. Zespół charytatywny przy zelowskiej parafii, który uczestniczył w pogrzebie, odnotował w kronice: *ten cudowny kapłan dokonał niezwykłego czynu* [...] *zyskał na zawsze miano obrońcy zelowskich dzieci.*

Tymczasem starania Zdzisława Pierzynki doprowadziły do formalnego powstania komitetu uczniów i sympatyków księdza Józefa Stanka. W marcu 2007 roku jego członkowie zwrócili się do burmistrza z prośbą o kolejne wyróżnienie kapłana: *Dnia 4 listopada 1957 r. Ksiądz Stanek w czasie zajęć w Liceum i Szkole Podstawowej nr 1 stanął w obronie uczniów i pracowników, wykazując się bezprzykładnym bohaterstwem. Aby imię, czyn i postawa księdza Stanka nie uległy zapomnieniu w społeczeństwie Zelowa, proponujemy aby ufundowana została tablica pamiątkowa w Zespole Szkół Ogólnokształcących przy ulicy Kilińskiego 40 oraz nazwana została ulica lub plac jego imieniem*[107].

Pod pismem podpisało się 25 uczniów i uczennic z lat 1959–1966 oraz osoby popierające inicjatywę, m.in.: Dariusz Banaszkiewicz, Henryk Bolonek, Wiesław Buczek, Wincenty Berliński, Stanisław Dróżdż, Krzysztof Furmański, Aleksandra Pogorzelec, Jolanta Pawlak, Andrzej Mularczyk, Stefan Mikulski, Krzysztof Matyjaszewski, Jan Korzynek, Zdzisław Gilski, Józef Jędrzejczyk, Jacek Pniewski, Krzysztof Gawron, Andrzej Błęcki, Mirosław Jacoń, Andrzej Tosik, Włodzimierz Lotczyk, Grzegorz Szulc, Mariola Wieczorek, Marek Wilf, Andrzej Wypych.

Zadziwiło mnie tylko, że pośród tych zdeterminowanych osób nie było nikogo z klasy Romka ani też z mojego rocznika maturalnego, tym bardziej, że część z nich mieszkała w Zelowie lub w pobliżu. Nie naciskałem na wyjaśnienie, dlaczego to młodsi od nas wzięli na siebie tę sprawę, ani też przyczyny tego, że zapomnieliśmy o Romku.

---

107 Pismo w zbiorach autora.

Tak, ale...

Po dwóch miesiącach milczenia uznali, że burmistrz celowo zignorował petycję. Postanowili ją upublicznić, przynajmniej w lokalnej gazecie. Redaktor G. Maliszewski z Bełchatowa zacytował wypowiedź jednej z dawnych licealnych uczennic: *My nie chcemy wykopywać topora wojennego, nam chodzi o zachowanie w pamięci bohaterskiej postawy odważnego człowieka*[108].

Słowa te wskazywały, że jednak coś nie szło tak, jak oczekiwali dawni uczniowie liceum. Burmistrz, pod presją prasy, odpowiedział: *Sprawa będzie dyskutowana na najbliższej sesji rady miejskiej.*

Co do petycji, to burmistrz zapewnił dziennikarza, że *komitet odpowiedź otrzymał*, i dodał: *urząd trzyma rękę na pulsie i wszystko idzie w jak najlepszym kierunku, tablica lub mały postument w szkole powstaną jeszcze w tym roku*[109].

Faktycznie „urząd trzymał rękę na pulsie", bo 27 września 2007 roku rada miejska podjęła uchwałę w sprawie wzniesienia pomnika dla upamiętnienia bohaterskiej postawy księdza Józefa Stanka, ale ani pomnik, ani mały postument nie powstały. Burmistrz za swojej kadencji nie dotrzymał danego słowa. Nie ręczę za tę informację, ale dość często słyszano w Zelowie pogłoskę, że znaczącą rolę w zahamowaniu uczniowskiej inicjatywy odegrał ponownie... miejscowy proboszcz, ponoć *zazdrosny o sławę skromnego księdza.* Kolidowałaby ona z wcześniejszą jego postawą, bo przecież wsparł przyznanie księdzu Stankowi tytułu honorowego. Chyba, że ów tytuł uznał za dostatecznie wyróżniający.

Medialne wsparcie

Licealiści nie dali za wygraną i sprawą zainteresowali prasę. W efekcie tuż przed listopadową rocznicą redaktor G. Maliszewski wysłuchał opowieści kilkorga uczniów i w lokalnej gazecie ukazał się jego artykuł pt. *Bronił uczniów przed szaleńcem*[110]. Obficie przytaczał wspomnienia o „tamtym dniu". Stanisława Kaczor, teraz Balcerzak: *Do dziś pamiętam wyraz jego twarzy, był pijany i milczał, tylko patrzył na nas przez chwilę. Miał na sobie niebieską piżamę, a w prawej ręce dzierżył ogromny topór, taki jak w sklepie u rzeźnika. Najpierw częścią ostrza trafił koleżankę w głowę. Kiedy się odwróciłam od tablicy i zaczęłam powoli iść w stronę klasy, ugodził mnie w plecy.* [...] *Wtedy nie było karetek, to przywieziono wszystkich ciężarówką do ośrodka zdrowia.*

---

108 G. Maliszewski, *Zatrzymał szaleńca*, „Dziennik Łódzki", 15.09.2007.
109 Tamże.
110 G. Maliszewski, *Bronił uczniów przed szaleńcem*, „Dziennik Łódzki", 5.10.2007.

Cytuję redaktora: *Pani Janina siedziała w pierwszej ławce. Rozmawiała z koleżanką odwrócona plecami do kierownika. Nie zdążyła zareagować przed niespodziewanym ciosem.*

Jadwiga Kulińska, odnaleziona w Sieradzu: *Uderzył mnie z taką siłą, że przeleciałam przez ławkę do drugiego rzędu. Na chwilę straciłam przytomność, ale po chwili uciekłam.[...] W Łasku żaden lekarz nie chciał się podjąć operacji, uznając sytuację za beznadziejną.*

Operowano ją w Pabianicach: *To był cud, że przeżyłam.*

Pani Jadwiga po 50 latach od tragedii jej sprawcy wybaczyła: *Musiałam, bo to był niesamowity dla mnie ciężar, teraz jest mi lżej z tym. On zresztą już dawno temu zmarł.*

I refleksja: *Nie poniósł żadnych konsekwencji, został uniewinniony, miał mocne plecy i poparcie ze strony partii. A nam, poszkodowanym, robiono straszne problemy, odszkodowania były bardzo niskie, a miałam 75 procent utraty zdrowia*[111].

Pięć lat później Janina/Danuta Jarosińska-Konieczna powie mi: *otrzymałam kwartalną rentę, dożywotnio 400 złotych, co przepadło po rewaloryzacji i comiesięczną pomoc 1100 złotych od Towarzystwa Przyjaciół dzieci do 18 roku życia.* Powie też, że została trafiona *tasakiem w głowę*[112].

Zdzisław Pierzynka, inspirator publikacji, przytaczał fragment zapisu niezidentyfikowanego autora: *Nauczyciele w popłochu zabarykadowali drzwi do pokoju nauczycielskiego. Ksiądz Józef Stanek w tym czasie zmagał się z Bajochem. Kierownik wymachiwał siekierą nad głową księdza, któremu w końcu udało się ją wyrwać z rąk Bajocha, ksiądz Stanek, podrapany i pogryziony po szyi, powiedział później: „to tylko cud Boski, że żyję, że wyszedłem cało z tej operacji, bo w 98 proc. byłem już na tamtym świecie"*[113].

Z dalszej części tekstu wynikało, że *obezwładniać kierownika księdzu pomagało, według relacji świadków, czterech mężczyzn. Związanego, zanim przybiegli rodzice uczniów i mieszkańcy okolicznych domostw, wywieziono z terenu szkoły. Inaczej doszłoby do samosądu.*

Wiele z tych opowieści nie wytrzymało próby czasu, ale i tak ich wartość jest ogromna.

Uhonorowany „jeszcze godniej"

Grupa uczniów (już bez Zdzisława Pierzynki, który zmarł nagle, w niejasnych okolicznościach) nie dawała za wygraną, za wszelką cenę chcieli uhonorowania

111 Tamże.
112 Notatka z rozmowy, 4.07.2013.
113 G. Maliszewski, *Zatrzymał szaleńca*, „Dziennik Łódzki", 15.09.2007.

księdza w „jakiś godny sposób". Nie dali rady. Po latach mówili, że *fanklub ówczesnego proboszcza był bardzo przeciwny honorowaniu ks. Stanka*. Fanklub? Oto co usłyszałem:

> Ksiądz proboszcz rozpoczynał swą kapłańską drogę w Zelowie w czasie, gdy już od dwu lat wikariuszem był ks. Stanek. To dwie różne osobowości; gdy ten drugi ujął parafian swoją pobożnością, a przede wszystkim skromnością (do legendy przeszła jego nicowana sutanna), młodszy o kilka lat wikary wzbudzał zaciekawienie, bo słuchał Presleya i bigbitu, szpanował skuterem Osa. Nigdy nie słyszeliśmy żeby byli zantagonizowani, ale po latach, gdy ten młodszy objął probostwo w Zelowie [ksiądz Stanek był już wtedy w Kwiatkowicach], okazało się że tkwiła w nim najwyraźniej jakaś zadra z przeszłości, bo nigdy o swoim koledze dobrze nie mówił, a wyczyn z 1957 roku bagatelizował. Nie było tajemnicą, że po zmianie ustroju proboszcz odgrywał znaczącą rolę w Zelowie. Nie sprzeciwiał mu się ówczesny dyrektor liceum, wszyscy go słuchali jak wyroczni[114].

Moje uwagi, że jednak wcześniej był za, i że przyczynił się do nadania księdzu Stankowi tytułu honorowego, jakoś nie przekonywały. Rozmówcy byli pewni swego, ale nie drążyłem tego tematu.

Gdy nastąpiły zmiany na stanowisku burmistrza (2010) i proboszcza, klimat w sprawie księdza Stanka się zmienił. 9 września 2011 roku rada miejsko-gminna zdecydowała o rozpatrzeniu wniosku o to, aby kapłan został patronem jednej z ulic Zelowa. W imieniu komitetu uczniów i sympatyków księdza Józefa Stanka, Aleksandra Pogorzelec poparła tę inicjatywę, choć z przykrością mówiła o zaniechaniu działań przez poprzednie władze miejskie i że *niepokoi fakt, iż ludzi pamiętających ks. Stanka jest coraz mniej*[115].

Uchwałę ostatecznie przyjęto jednogłośnie i dotychczasowa ulica Kwiatowa otrzymała imię ks. Józefa Stanka. Burmistrzyni obiecała umieścić przy niej stosowne tablice. Ulica co prawda jest na uboczu, prowadzi do lasku, a byle jaką tabliczkę co i rusz ktoś niszczy, ale uznano, że *dobre i to*.

Komitet się uaktywnił, i choć po pierwszym spotkaniu skurczył się do kilku [illegible] jak mi mówili, „dzieło Zdziśka Pierzynki". Uczniowie i sympatycy księdza Stanka: Józek Jędrzejczyk, Ola Pogorzelec, Zbyszek Gapik i Danusia [illegible] zgodzili się, że bohaterski ksiądz *musi być uhonorowany jeszcze godniej*, [illegible] na placu przed kościołem, *tak, żeby był widoczny z ulicy*. Tym razem

---

[114] [illegible] w zbiorach autora.
[115] [illegible] autora z A. Pogorzelcem, 2011–2012.

sprzymierzeńcem okazał się nowy proboszcz Marian Fałek. Co prawda początkowo miał inną propozycję w sprawie lokalizacji postumentu, ale ostatecznie uległ *zdeterminowanym licealistom. Uzyskano zgodę łódzkiej kurii, minikomitet przeprowadził zbiórkę pieniędzy.*

W 2012 roku, w 55. rocznicę pierwszej matury, po pokonaniu przeszkód natury administracyjnej – o których nie chcą mówić ani pamiętać, by nie przesłoniły one najważniejszego – na dziedzińcu kościelnym stanęła ufundowana przez nich tablica. 4 listopada było uroczyście, choć jeszcze w przeddzień nic tego nie zapowiadało i dopiero zapowiedź, że *autokarem wybierają się do Zelowa władze Kwiatkowic z parafianami, gdzie nieżyjący już ks. Stanek zapisał się dobrze w pamięci jako wieloletni proboszcz*[116], zmobilizowała lokalne władze. Był więc pełny kościół, podniosła msza w intencji księdza Stanka, dużo pięknych słów, na chórze zadudniły dwie orkiestry, z Kwiatkowic i Zelowa, i wreszcie odsłonięto postument. Jak chcieli inicjatorzy – jest okazały i widoczny z ulicy.

Jednak z każdym rokiem zainteresowanie tą postacią wygasało, mimo szumnych zapowiedzi malał krąg osób wspominających 4 listopada księdza Stanka, pomimo deklaracji dyrekcji liceum nikt nie roztoczył stałej opieki nad miejscem pamięci, sama młodzież, zwłaszcza harcerze, na których liczono najbardziej, najwyraźniej czekała na... dyspozycje. Nie doczekała się, ostatnio kwiaty składały tam same dyrektorki LO.

A co z Romkiem, najtragiczniejszą ofiarą wydarzeń z 1957 roku?

To nie jest dobry moment

Przypadająca w 2017 roku 60. rocznica powstania Liceum Ogólnokształcącego zmobilizowała jego kierownictwo – powstał projekt uroczystych obchodów i zaproszenia absolwentów do wspólnego świętowania.

Uaktywniła się ponownie grupa uczniów, która doprowadziła do upamiętnienia bohaterskiego księdza – postanowiła połączyć rocznicę powstania liceum z 60. rocznicą dramatycznych wydarzeń, wykorzystać zjazd absolwentów do przypomnienia tragedii i uzyskania poparcia dla trwałego upamiętnienia ofiar tragedii. Podjęto wstępne rozmowy z przedstawicielami władz miasteczka i kierownictwem szkoły.

Początkowo wydawało się, że wszyscy są tą sprawą zainteresowani i skłonni przyjąć argumentację rówieśników i młodszych kolegów Romka Gapika. Chociaż

116 Notatka z rozmowy autora z A. Muśkiewiczem, 31.10.2013.

już wtedy pojawiły się pierwsze zwiastuny, że może być jakiś problem, bo do byłych uczniów dotarła opinia, iż *obchody to nie jest dobry moment.*

Z czasem sygnały „co do momentu" się nasiliły, choć nic jeszcze nie wskazywało na porażkę uczniowskiej inicjatywy - wydawało się, że stanowisko burmistrzyni Zelowa, wciąż życzliwe pomysłowi, przeważy „czyjś" opór. Inskrypcja, która miała znaleźć się na niewielkich rozmiarów marmurowej tablicy nie wzbudziła zastrzeżeń, zwłaszcza że, jak poinformowano, została ona zaakceptowana przez wybitnego językoznawcę prof. Jerzego Podrackiego z Uniwersytetu Warszawskiego, skądinąd byłego zelowianina i kolegę Romana Gapika.



Czy od zniczy spłonie szkoła?

Problem powstał, gdy doszło do dyskusji nad usytuowaniem tablicy. Pani burmistrz początkowo odniosła się do projektu pozytywnie, a miejsce na murze szkoły, tuż przy historycznym wejściu i drodze ucieczki przed szaleńcem z toporem, uznała za odpowiednie, tym bardziej, że – jak sama argumentowała – będzie w *dobrym sąsiedztwie* głazu z tablicą ku czci Jana Pawła II.

Gdy wydawało się, że sprawa zmierza do szczęśliwego finału i odsłonięcie tablicy zostanie włączone do scenariusza uroczystości z okazji 60-lecia LO w Zelowie, niespodziewanie wybrzmiał głos dyrektorki liceum. Dotąd sprzyjała uzgodnionemu, jak się wydawało, projektowi, ale nagle otworzyła na nowo dyskurs pytaniami, które zdumiały wnioskodawców: *Czy ta propozycja jest w ogóle do przyjęcia? Czy merytorycznie to straszne wydarzenie zasługuje na przypomnienie? Czy wskazane jest szokować młodzież tym wydarzeniem, o którym zastępy uczniów kolejnych roczników nic do tej pory nie wiedzą? Czy „to" nie zaszkodzi szkole? Czy od zniczy nie spłonie szkoła?*[117]

Dyrektorka Marzanna Socha, której gabinet mieścił się w dawnym mieszkaniu Bajocha, ostatecznie uznała, że jednak warto „to" przypomnieć, i wtedy zaproponowała, czy raczej orzekła, że jedynym odpowiednim miejscem dla tablicy byłaby szkolna izba pamięci.

Pierwsze, co pomyślałem, to że tablica znalazłaby się pod kluczem – powiedział Zbyszek Gapik, młodszy o kilka lat brat zamordowanego Romka. Ktoś inny spontanicznie zareagował: *To znaczy na półce pomiędzy żelazkiem z duszą a książkami i portretem Ochaba* (wyróżniające się eksponaty w izbie pamięci). Grupa byłych uczniów, zwana umownie komitetem, uznała pomysł za niepoważny.

117 Relacje D. Tosik, J. Jędrzejczyka, Z. Gapika, 2017, w zbiorach autora.

Kolejna rozmowa z burmistrzynią uprzytomniła im jednak, że stanowisko dyrektorki LO nie było przypadkowe, bo i władza się usztywniła. *Trzeba „sprawę" przeprowadzić przez radę miejsko-gminną, a to wymaga przygotowania odpowiedniego wniosku, zaopiniowania przez właściwą komisję rady, musi potrwać* – tak mniej więcej brzmiała wypowiedź włodarzy. I od razu zrozumiano, że „sprawa" rozmywa się i nie będzie miała pomyślnego finału na uroczystościach rocznicowych w czerwcu.

„Niechlubna sprawa" psuje wizerunek szkoły

25 kwietnia 2017 roku Zbigniew Gapik, członek tzw. grupy inicjatywnej, zwanej niekiedy komitetem, udał się na sesję rady miejskiej z zamiarem przedłożenia „sprawy" i przekonania do niej radnych. Z trudem znaleziono miejsce i czas na jego wystąpienie, okazało się to możliwe dopiero w punkcie „wolne wnioski".

Zapis z protokołu sesji: *Przewodnicząca Rady udzieliła głosu mieszkańcowi Zelowa Panu Zbigniewowi Gapikowi, który w imieniu grupy inicjatywnej zwrócił się z prośbą o rozważenie możliwości upamiętnienia tablicą pamiątkową tragedii w Liceum Ogólnokształcącym w Zelowie w roku 1957*[118]. Po jego wystąpieniu zapadło milczenie, nikt w tej sprawie się nie wypowiedział.

Zbigniew Gapik był zdruzgotany potraktowaniem wniosku na radzie miejskiej i podzielił się ze mną taką oto refleksją: *Pośród tego szacownego grona, którego sam kiedyś byłem członkiem jako radny, poczułem się jak intruz. Miałem wrażenie, że zakłócam spokój ludziom, którzy nie byli zainteresowani tematem, a warto wiedzieć, że byli wśród nich także absolwenci LO, w tym syn klasowej koleżanki Romka i kolegi, który niósł trumnę z Romkiem. Jedynym efektem była mimochodem rzucona uwaga, żeby sprawą zajęła się właściwa komisja rady*[119].

Ostatecznie wniosek skierowano do komisji oświaty, kultury, sportu i bezpieczeństwa *celem wypracowania stanowiska*.

9 maja grupa inicjatywna na posiedzenie komisji stawiła się w pełnym składzie: Aleksandra Pogorzelec, Danuta Tosik, Józef Jędrzejczyk i Zbigniew Gapik. Obecna była burmistrzyni Urszula Świerczyńska i dyrektorka liceum Marzanna Socha.

W opinii wnioskodawców, komisja oświaty, kultury, sportu i bezpieczeństwa niespecjalnie była rada słuchać ich argumentacji, radni nie byli przygotowani do rozmowy ani nie zdradzali ochoty do dyskusji na temat tablicy ku czci ofiar wydarzeń w LO w 1957 roku. Tylko jeden z nich zdawał się skłonny do poparcia tej

---

118 Protokół z sesji rady miejskiej, 25 04 2017, strona internetowa UMG.
119 Relacja Z. Gapika, w zbiorach autora.

inicjatywy, ale po tyradach obu pań zmienił swoje stanowisko. Główną rolę odegrała dyrektorka LO, rozpoczynając od uwagi, że dyskusja na wiadomy temat jest *bez sensu*, bo *przecież wszystko zostało już ustalone*. Gdy wnioskodawcy zaoponowali, dyrektor Socha powtórzyła znane już obiekcje co do projektu i powiedziała, że w *przypadku umieszczenia tablicy na murze może spłonąć szkoła od zapalonych zniczy*. Dodała też, że precedens z tablicą *może spowodować wysyp innych projektów o upamiętnienie np. byłych nauczycieli* (tu padły nazwiska potencjalnych kandydatów). Zdaniem Marzanny Sochy, jedynym odpowiednim miejscem dla tablicy była szkolna izba pamięci. Burmistrzyni wsparła dyrektorkę.

Słuchaliśmy tego ze zdumieniem i *oburzeniem* – opowiadali potem byli uczniowie. *Oczywiste było, że powtarzane są argumenty już gdzieś „uzgodnione", a te nowe, wręcz głupie, to już zakrawało na jakąś groteskę...*[120]

Zbigniew Gapik opowiadał:

> Pani dyrektor nawiązała w ten sposób do rozmowy sprzed kilku tygodni, w czasie której rzeczywiście padła propozycja, aby tablicę umieścić w tzw. izbie pamięci. Żachnąłem się ponownie, że „pod kluczem", bo miejsce to jest faktycznie pod kluczem w tym sensie, iż dostęp do niego jest uzależniony od osób posiadających klucze do LO i izby pamięci. Poza tym wyobraziłem sobie tę sytuację umieszczenia tablicy na półce pomiędzy książką a żelazkiem z duszą, tuż obok zabytkowego kołowrotka, odgrywającego najwyraźniej rolę najważniejszego eksponatu w izbie pamięci. Zachowałem powagę, ale nie mogłem, nie mogliśmy się na to zgodzić.

Wtedy usłyszeli słowa, które trafiły w nich jak obuchem: *To taka niechlubna sprawa*.

D. Tosik: *Poczułam się bardzo nieswojo, gdy pani dyrektor dywagowała, czy w ogóle „ta sprawa" powinna być nagłaśniana, bo to jednak „niechlubna sprawa", która „psuje wizerunek szkoły". Byłam wstrząśnięta...* Zareagowała: *Albo tablica będzie na ścianie szkoły, albo wcale...*[121].

Wstrząśnięci zdawali się wszyscy radni, ale Michał Stańka, Dariusz Kaczmarek, Tomasz Zajączkowski, Andrzej Gudzio i Włodzimierz Łyp milczeli.

Członkowie grupy inicjatywnej, absolwenci LO, w tym Zbigniew Gapik, młodszy brat Romka, uznali, że dalsza rozmowa jest bezprzedmiotowa. Zgodnie poinformowali dyrektorkę LO, że *poczekają na lepsze czasy*.

Wychodząc z posiedzenia komisji, nie znali jej oficjalnego stanowiska. Dowiedzieli się o nim po kilku miesiącach ze strony internetowej. Brzmiało jak wyrok: *Komisja*

120 Relacja D. Tosik., Z Gapika, 2017.
121 Relacje w zbiorach autora.

po wnikliwym zapoznaniu się ze sprawą, wysłuchaniu stron zarówno osób wnoszących wniosek, jak i przedstawicieli gminy i szkoły, proponuje zamieszczenie tablicy pamiątkowej w izbie pamięci mieszczącej się w Zespole Szkół Ogólnokształcących (LO).

Jesteśmy temu przeciwni...

Oni sami, byli licealiści, od razu pomyśleli, żeby nagłośnić „niechlubną sprawę", napisać jakiś tekst, w którym wyrażą swoje stanowisko. I wyrazili:

> W 65 dniu nauki w nowopowstałym Liceum Ogólnokształcącym w Zelowie nasza Szkoła stała się miejscem bezprecedensowej tragedii – 4 listopada 1957 r. oszalały dyrektor zabił Romka Gapika i mocno poranił kilkoro naszych koleżanek i kolegów, nauczycielkę i woźnego. Ówczesne władze zrobiły wszystko, żeby zbrodniarz nie poniósł kary.
> Jesteśmy niezwykle szczęśliwi i dumni, że przed kilku laty udało nam się zrealizować projekt upamiętnienia księdza Józefa Stanka, dzięki którego odwadze zbrodniarz został powstrzymany – Jego skromny pomnik znajduje się przy kościele katolickim w Zelowie.
> Przed rocznicą 60-lecia powstania Liceum Ogólnokształcącego wyszliśmy z dawno ukształtowanym projektem utrwalenia pamięci tragicznie zmarłego ucznia ósmej klasy LO Romka Gapika i pozostałych ofiar dramatu.
> Niestety, nasza propozycja została co prawda werbalnie wsparta, ale ostatecznie ją zablokowano. [...] Oburza nas też użyta argumentacja, w tym zwłaszcza określenie „niechlubna sprawa", jakiego używają niektórzy wobec tej tragedii. [...] Nawet największa liczba zniczy nie będzie w stanie zagrozić bezpieczeństwu Szkoły. [...] Zwracamy się z apelem do wszystkich naszych starszych i młodszych licealnych koleżanek i kolegów, mieszkańców Zelowa, także władz miejskich i radnych – o realne wsparcie naszego projektu – i doprowadzenie do odsłonięcia tablicy pamięci w sześćdziesiątą rocznicę tragedii[122].

Wasza postawa jest niezrozumiała – służy zacieraniu śladów

Pierwsi na kłopoty z tablicą pamięci ofiar z 1957 roku zareagowali absolwenci LO w Zelowie sprzed blisko 60 lat, pierwsi maturzyści z 1961 i 1962 roku. To

122 Pismo z maja 2017 r., w zbiorach autora.



Pierwsi licealiści 60 lat później

Nieliczna już grupa, ale o niezwykłej żywotności; spotkawszy się po 40 latach od matury, postanowili czynić to co roku – w 2016 spotkanie odbyło się po raz piętnasty. Na 60-lecie LO przygotowali album ze swojej licealnej przygody i swoich spotkań, ciekawi, z jakim spotka się przyjęciem.

Uzgodnili stanowisko, które zaprezentowali podczas obchodów 60-lecia Liceum Ogólnokształcącego 9 czerwca 2017 roku:

> My – pierwsi licealiści zelowskiego Liceum Ogólnokształcącego, rozpoczynający naukę w 1957 i 1958 roku – wysoko cenimy projekt i determinację naszych młodszych licealnych Koleżanek i Kolegów, którzy doprowadzili do upamiętnienia księdza Józefa Stanka, odważnego wikarego, dzięki któremu przerwane zostało pasmo tragicznych zdarzeń w 1957 r.
> Z tym większym uznaniem i życzliwością odnosimy się do kolejnej inicjatywy [illegible] Koleżanek i Kolegów, której celem jest utrwalenie pamięci Romka [illegible], ucznia Liceum i naszego szkolnego Kolegi, który zginął podczas dramatycznych wydarzeń w naszej szkole w dniu 4 listopada 1957 r., a także pozostałych ofiar.
> Nie rozumiemy argumentacji i nie przyjmujemy do wiadomości stanowiska dyrekcji Zespołu Szkół Ogólnokształcących (LO), ani radnych gminy Zelów,

zapewne także władz miasta, których zdaniem ta „niechlubna sprawa" źle przysłuży się Szkole. Z humanistycznego kanonu wartości czerpiąc, a taki przyswoiliśmy dzięki znakomitym nauczycielom i wychowawcom Liceum w Zelowie, zwracamy się do Was o ponowne przemyślenie tej „sprawy". W naszym przekonaniu Wasza postawa jest niezrozumiała i szkodliwa społecznie, świadczy o niezrozumieniu kontekstu czasów, w których wtedy żyliśmy i dzięki którym mógł funkcjonować taki człowiek-dyrektor, sprawca strasznej zbrodni – służy zacieraniu śladów o wydarzeniach, które głęboko zapadły nie tylko w naszej pamięci, ale także naszych rodziców i większości zelowian. Jesteśmy temu przeciwni.
Popieramy projekt i wniosek naszych Koleżanek i Kolegów, żeby pamiątkową tablicę, której wykonanie i koszty biorą na siebie, umieścić na ścianie „naszej Szkoły" tuż obok dawnego wejścia – tędy uciekaliśmy przed siekierą oszalałego dyrektora. Najlepszą datą odsłonięcia pamiątkowej tablicy byłby 4 listopada 2017 r.
To dramatyczne wydarzenie to nie tylko cząstka naszej osobistej historii, o której nie można zapomnieć, to także część Historii Liceum, której nie można zamazywać ani fałszować.
Ostatni żyjący pierwsi licealiści, Koleżanki i Koledzy Romka Gapika – w sześćdziesiątą rocznicę powstania Liceum Ogólnokształcącego[123].

Dyrektorka liceum nie zareagowała na żadne z tych stanowisk, albumu *Pierwsi zelowscy licealiści* nie przyjęła.

Nie zmuszajcie nas do milczenia...

Do sprawy tablicy powrócono po miesiącu, 12 lipca podczas sesji rady miejskiej. Temat przywołała sekretarz urzędu Agnieszka Mysłowska. Oto zapis z protokołu:

[...] Poinformowała, że Komisja Oświaty, Kultury, Sportu i bezpieczeństwa pozytywnie zaopiniowała ten wniosek (byłych licealistów) wyznaczając miejsce umieszczenia ww. tablicy w Izbie Pamięci w Zespole Szkół Ogólnokształcących w Zelowie. Burmistrz Zelowa wystąpiła również o zaopiniowanie wniosku do społeczności szkolnej. Opinię tę przedstawiła dyrektor ZSO Marzanna Socha. We wniosku jako miejsce umieszczenia tablicy wskazywano zewnętrzną ścianę budynku przy wejściu do szkoły bądź korytarz szkolny. Wraz z rodzicami,

123 Pismo z czerwca 2017 r., w zbiorach autora.

uczniami i radą pedagogiczną ustalili, że znacznie lepszym miejscem dla tego typu tablicy będzie Izba Pamięci. Burmistrz Urszula Świerczyńska powiadomi o swojej decyzji na następnej sesji[124].

Być może w ferworze wielu następujących po sobie działań umknęła byłym licealistom informacja, że pomiędzy posiedzeniem komisji oświaty a sesją rady miasta 12 lipca do burmistrzyni Zelowa wpłynęło pismo dyrektorki LO, w którym przedstawiła „opinię społeczności szkolnej" w sprawie wniosku tzw. komitetu. Na wspomnianej sesji sekretarz urzędu powołała się na tę opinię i zapowiedziała, że burmistrzyni powiadomi o swojej decyzji na następnej sesji.

Z opinią tą, mającą formę stanowiska Rady Pedagogicznej, Rady Rodziców i Samorządu Uczniowskiego, komitetu oficjalnie nie zapoznano. Powoływali się na nią urzędnicy i sama pani burmistrz przy podjęciu ostatecznej decyzji – autor tej książki otrzymał to „stanowisko" (z 27 czerwca 2017 roku) bezpośrednio od dyrektorki LO, za pismem z 19 marca 2018 roku (!)[125].

Oto fragmenty tej opinii:

> Nauczyciele, rodzice i uczniowie nie wyrazili akceptacji dla tej inicjatywy. [...] Umieszczenie w pobliżu któregokolwiek z wejść bądź na korytarzu szkoły tablicy upamiętniającej tragiczne, drastyczne i budzące silne emocje wydarzenia mogłoby w dzieciach budzić grozę, a nawet przerażenie i mieć bardzo złe następstwa dla ich psychiki w przyszłości. Zajścia, do których odwoływałaby się tablica, nawet dla nas dorosłych są szokujące, dlatego uzasadnionym wydaje się chronienie młodzieży przed takimi emocjami. Naturalna ciekawość dziecka pobudzałaby do pytań, na które uczniowie mogliby od rówieśników lub osób postronnych uzyskać szokujące w swej formie i treści odpowiedzi. [...] Jako Rada Pedagogiczna rozumiemy stanowisko Komitetu, w skład którego wchodzą osoby związane emocjonalnie i rodzinnie z tragicznymi wydarzeniami, które rozegrały się w budynku szkoły w 1957 roku. Szanujemy bolesną przeszłość i jej ofiary, jednak wydaje nam się, że skoro w nas dorosłych oraz uczestnikach i świadkach tamtych wydarzeń budzą one nadal tak ogromne emocje, to dla dzieci mogą stać się przyczyną traumy i lęku, a szkoła nie powinna kojarzyć się dziecku z miejscem, do którego lęka się przyjść.

Pod stanowiskiem nie ma podpisów sygnatariuszy „stanowiska", jest tylko pieczątka i podpis dyrektorki LO.

---

124 Protokół sesji rady miejskiej z 12.07.2017, strona internetowa UMG.
125 Pismo w zbiorach autora.

Zespół Szkół Ogólnokształcących
97-425 Zelów
ul. Kilińskiego 40
tel.(044) 634-11-70

Zelów, 26.06.2017 r.

ZSO.0242.1.2017

Burmistrz Zelowa

P. Urszula świerczyńska

W odpowiedzi na pismo nr OKSZ.033.13.2017 informujemy, że Rada Pedagogiczna, Rada Rodziców oraz Samorząd Uczniowski ZSO w Zelowie wyraziła swoją opinię co do propozycji umieszczenia w naszej szkole tablicy upamiętniającej ofiary wydarzenia z czwartego listopada 1957 roku na zewnętrznej ścianie szkoły, korytarzach szkolnych lub przed wejściem. Nauczyciele, rodzice i uczniowie nie wyrazili akceptacji dla tej inicjatywy.

Uzasadnienie

W uzasadnieniu pragniemy przypomnieć, że Zespół Szkół Ogólnokształcących to placówka edukacyjna, na terenie której obecnie przebywa młodzież od 13 roku życia a od września będą to również dzieci sześcio- i siedmioletnie. Umieszczenie w pobliżu któregokolwiek z wejść bądź na korytarzu szkoły tablicy upamiętniającej tragiczne, drastyczne i budzące silne emocje wydarzenia mogłoby w dzieciach budzić grozę a nawet przerażenie i mieć bardzo złe następstwa dla ich psychiki w przyszłości. Zajścia, do których odwoływałaby się tablica, nawet dla nas dorosłych są szokujące, dlatego uzasadnionym wydaje się chronienie młodzieży przed takimi emocjami. Naturalna ciekawość dziecka pobudzałaby do pytań, na które uczniowie mogliby od rówieśników lub osób postronnych uzyskać szokujące w swej formie i treści odpowiedzi.

Nie chcemy, aby tragiczna historia Romka Gępika została zapomniana, gdyż jest ona częścią naszego historii miasta i szkoły, ale musimy mieć na względzie w pierwszym rzędzie dobro dzieci obecnie uczących się w placówce oraz dobro szkoły jako placówki edukacyjnej. Rada Pedagogiczna zaproponowała rozwiązania alternatywne, dla uczczenia pamięci ofiar tamtych wydarzeń:

1) Umieszczenie tablicy w Izbie Pamięci w szkole (co pozwoli na właściwe wprowadzenie tej tematyki w odpowiednim momencie wychowawczym)
2) Umieszczenie tablicy w innym miejscu (na przykład przy symbolicznym grobie księdza Stanka)
3) Uczczenie pamięci ofiar podczas już organizowanych uroczystości upamiętniających bohaterstwo księdza Stanka
4) Zorganizowanie w listopadzie corocznej Akcji Udzielania Pierwszej Pomocy Przedmedycznej „Romek".

Ta ostatnia forma dawałaby (oprócz samego uczczenia pamięci uczniów liceum) również wymierne korzyści edukacyjne i wychowawcze. Uczniowie mogliby w przyszłości wykorzystać techniki udzielania pierwszej pomocy, aby uniknąć jakiejś tragedii, pomóc drugiej osobie czy czuć się bezpieczniej w sytuacjach zagrożenia.

Jako Rada Pedagogiczna rozumiemy stanowisko Komitetu, w skład którego wchodzą osoby związane emocjonalnie i rodzinnie z tragicznymi wydarzeniami, które rozegrały się w budynku szkoły w 1957 roku. Szanujemy bolesną przeszłość i jej ofiary, jednak wydaje nam się, że skoro w nas dorosłych oraz uczestnikach i świadkach tamtych wydarzeń budzą one nadal tak ogromne emocje, to dla dzieci mogą stać się przyczyną traumy i lęku, a szkoła nie powinna kojarzyć się dziecku z miejscem, do którego lęka się przyjść.

DYREKTOR SZKOŁY

mgr Marzanna Socha

O „stanowisku" dużo mówiono, nikt go nie widział...

Na sesji rady miejskiej w dniu 31 sierpnia 2017 roku – jak wynika z protokołu – ani radni, ani burmistrz „sprawy" już nie omawiali. 5 września jeden z wnioskodawców otrzymał pismo z zelowskiego urzędu, pani burmistrz napisała: *informujemy, że potraktowaliśmy Państwa propozycję z należytą powagą i przeprowadziliśmy szerokie konsultacje społeczne w tej sprawie. Biorąc pod uwagę stanowisko wypracowane podczas konsultacji, wyrażamy zgodę na upamiętnienie tragicznych wydarzeń w postaci tablicy pamiątkowej umieszczonej w Izbie Pamięci w Zespole Szkół Ogólnokształcących w Zelowie*[126].

W celu ustalenia szczegółów pani burmistrz odsyłała wnioskodawców do dyrektorki Liceum.

Bez przekonania, że to cokolwiek zmieni, część wnioskodawców (część poczuła się zmęczona bezproduktywnym dialogiem) podjęła ostatnią próbę przekonania do swoich racji:

> Z żalem, ale i niepokojem przyjęliśmy odpowiedź, z której wynika, że z raz podjętej decyzji władze miasta i ZSO nie zamierzają i nie chcą się wycofać. [...] Wiele przeszkód musieliśmy pokonać, żeby doprowadzić do upamiętnienia ks. Józefa Stanka, który zapobiegł większej tragedii. Doceniamy, że wyróżniono Go tytułem Honorowego Obywatela Zelowa, choć wiemy, jakie przeszkody w tej sprawie musieli pokonać inni wnioskodawcy. Cieszymy się, że ks. J. Stanek ma swoją ulicę w Zelowie, choć wybór ulicy nie jest najszczęśliwszy. W każdym razie, gdyby nie ta tragedia, gdyby nie te ofiary, to przecież ks. Stanek pozostałby na zawsze mało komu znanym księdzem. Więc jeśli już zasłużenie został doceniony, to dlaczego mamy milczeć o ofiarach?
> Ofiary zelowskiej tragedii to efekt – wina systemu komunistycznego, czy jak dziś chętnie mówimy – totalitarnego. W lokalnej skali obecnego także w Zelowie – wszyscy wiedzieli, że dyrektor LO jest alkoholikiem, bije dzieci i stwarza zagrożenie dla bezpieczeństwa uczniów. Roman Gapik, Danuta Jarosińska, Zbyszek Furmański, Jadwiga Kulińska, Andrzej Freus i pozostali poranieni wówczas, są ofiarami zbrodni komunistycznej i należy im się godne upamiętnienie. Żałować należy, że fakt ten staje się przedmiotem swoistego „przetargu" na racje. Ona jest jedna – i powinna zaistnieć publicznie, a nie pozostać w skryciu. [...] Staramy się nie pamiętać o absurdalnej argumentacji, którą się posługiwano w tej sprawie (od „niechlubnej sprawy" po „znicze, które spalą szkołę") – prosimy o wyzbycie się pychy, przekonania, że „wie się najlepiej", co jest dobre dla Szkoły, dla Zelowa. Prosimy nas nie ustawiać po „drugiej stronie" i jako tych, którzy „nie rozumieją", a tym bardziej, że „zaspakajamy jakieś osobiste

126 Pismo w zbiorach autora.

ambicje". Prosimy, żeby nie zmuszać nas do zapomnienia tej tragedii, do milczenia – razem powinniśmy uczcić to wydarzenie sprzed 60 lat jak najgodniej. Jeszcze jest czas na refleksję i zmianę niedobrej decyzji[127].



Media na ratunek

Nieoczekiwane wsparcie licealiści otrzymali z lokalnej powiatowej telewizji TKB Dolsat w Bełchatowie. Zainteresowani spotykali się w Zelowie na dziedzińcu kościoła katolickiego przy tablicy księdza J. Stanka i mówili do kamery. 21 września telewizja wyemitowała 10-minutową relację z Zelowa zatytułowaną *Walczą o pamięć*[128].

Danuta Jarosińska-Konieczna: *To był dramat, ale nikt o nim nie mówił i nie chciał mówić.*

Zbigniew Gapik: *Każdy wiedział o nałogach dyrektora, ale to był system, który go chronił.*

Jerzy Rusak: *Chcieli to ukryć, dziwię się, że obecne władze próbują to zakamuflować.*

Janina Samborska, nauczycielka: [...] *coś powinno być i to powinno być na zewnątrz, tablica nikomu krzywdy nie robi.*

Jeszcze raz Zbigniew Gapik: *To kolejna próba ukrycia prawdy; jeśli to się nie uda teraz, zrobimy to później, kiedy będą inni ludzie. Nie zgadzamy się na schowanie tej prawdy...*[129].

Kolejna sekwencja została nagrana w szkolnej izbie pamięci. Dyrektorka LO na tle eksponatów: kołowrotka, żelazka, zdjęć i portretu E. Ochaba. Nie wiadomo, co powiedziała do kamery, jej stanowisko przekazał narrator, w każdym razie słyszymy, że szkoła jest przeciw tablicy na murze szkoły. Może być tylko w izbie pamięci.

Dwa tygodnie przed rocznicą szkolnego dramatu byli licealiści postanowili zamówić mszę w intencji w księdza Stanka i ofiar dyrektora Bajocha. *Obie sprawy nie mogą być łączone w jednej mszy* – niespodziewanie gniewnie zareagował wikary[130].

Sprawa Romka i innych ofiar z listopada 1957 roku najwyraźniej rezonowała, upubliczniała się, miała coraz większy zasięg, angażowała instytucje i ludzi. Ktoś

127 Pismo skierowane do dyrektorki LO z września 2017 r., w zbiorach autora.
128 *Walczą o pamięć*, program emitowany przez lokalną telewizję TKB Dolsat.
129 Tamże.
130 Relacja w zbiorach autora.

postarał się, żeby w coraz bardziej dzielący społeczność spór włączyć funkcjonariuszy Kościoła. Kto? I dlaczego akurat ten konkretny wikary postanowił zademonstrować swoje co najmniej kontrowersyjne stanowisko? Wikłając Kościół w spór o pamięć...

3 listopada 2017 roku

W przeddzień rocznicy szkolnej tragedii w domu kultury w Zelowie odbyło się zapowiadane wcześniej spotkanie poświęcone wydarzeniom sprzed 60 lat. Inicjatorem tego przedsięwzięcia był Zbigniew Gapik, młodszy brat Romka. Jego intencją było przypomnienie tragedii i uzyskanie opinii uczestników spotkania o projekcie upamiętnienia ucznia liceum Romka Gapika oraz pozostałych ofiar tragedii z 1957 roku. Miała to być też okazja do promocji książki pt. *Romek*.

Frekwencja zaskoczyła organizatorów spotkania, niewielką salę wypełnili byli uczniowie szkoły podstawowej i liceum, teraz siedemdziesięciolatkowie, emerytowani nauczyciele oraz mieszkańcy. Zwracała uwagę obecność kilku radnych, byłego dyrektora liceum Damiana Nowaka (poprzednika Sochy) oraz Tomasza Jachymka, o którym przed zbliżającymi się wyborami samorządowymi mówiono „przyszły burmistrz". Pojawił się także znany radny Dariusz



Spotkanie w przeddzień rocznicy

Kaczmarek, członek komisji, która wsparła stanowisko dyrektorki LO i burmistrzyni. Były wspomnienia, dyskusja, miejscami burzliwa, z której najbardziej zapamiętano zapowiedź, że po zmianie obecnej grupy trzymającej władzę w Zelowie, co przewidywano, następcy zrealizują projekt byłych licealistów – tablica zostanie umieszczona w godnym miejscu, bo *Romek zasługuje na trwałą pamięć*[131].

W tej atmosferze moja książka *Romek* – zapomniana historia licealisty Romka i uczniów szkoły podstawowej: Danusi, Stasi, Jadwigi, Heni, Ireny, Andrzeja, Zbyszka oraz nauczycielki Marii i woźnego Krzysztofa, ukazująca też, jak szkolna tragedia stała się „niechlubną sprawą" – już w momencie premiery stała się lekturą „kanoniczną".

Chronić dzieci przed „takimi" emocjami

Sześćdziesiąta rocznica szkolnej tragedii nie połączyła zwaśnionych stron. Pod koniec listopada w 2017 roku w „Informatorze Zelowskim" w dziale „Wydarzenia" ukazał się kilkustronicowy artykuł *Pamięć, która powinna łączyć*[132]. Nikt się pod nim nie podpisał, a ponieważ periodyk wydaje urząd miejski w Zelowie, należało domniemywać, że publikacja wyrażała stanowisko burmistrza.

Artykuł odnosił się do spotkania w domu kultury. Już tytuł sugerował, że celem publikacji będzie wykazanie, iż stało się coś, co zawartej w tytule myśli przeczy: *Wydarzenia sprzed 60 lat odcisnęły swój ślad w pamięci uczniów – świadków tego zdarzenia, wielu z nich żyje do dziś z traumą emocjonalną. W Zelowie powstała grupa inicjatywna – świadków tamtego przykrego zdarzenia, która miała swoje pomysły na upamiętnienie tej historii.*

Z publikacji wynikało, iż burmistrzyni Zelowa, adresatka pomysłu na upamiętnienie „przykrego zdarzenia", skierowała sprawę do szerokich konsultacji społecznych. Po czym Rada Pedagogiczna, Rada Rodziców oraz Samorząd Uczniowski, doceniając inicjatywę i szanując pamięć, wypracowali wspólne stanowisko w tej sprawie. Autor publikacji (pani burmistrzyni?) przywołuje jego obszerne fragmenty. I wyjaśnia: *Niestety część grupy inicjatywnej odrzuca wypracowane stanowisko opinii społecznej. Argumentacje w zacytowanym uzasadnieniu uważa za absurdalną, zapominając tym samym, że gospodarzami tego miejsca są uczniowie, nauczyciele i rodzice. W związku z tym ich opinia jest dla Burmistrza Zelowa niezwykle istotna.*

131 Deklarację złożyli kandydat na burmistrza T. Jachymek i kandydat na radnego D. Nowak.
132 *Pamięć, która powinna łączyć*, „Informator Zelowski" nr 4/154.

PAMIĘĆ, KTÓRA POWINNA ŁĄCZYĆ...

4 listopada 1957 roku – to jedna z kart zelowskiej historii, przypominająca o tragicznych wydarzeniach w zelowskim liceum. 60 lat temu dyrektor szkoły w ataku furii zaatakował uczniów siekierą, w wyniku czego zginął Romek Gapik, a kilkoro uczniów zostało rannych. W ich obronie stanął Ksiądz Józef Stanek.

Wydarzenia sprzed 60 lat odcisnęły swój ślad w pamięci uczniów – świadków tego zdarzenia, wielu z nich żyje do dziś z traumą emocjonalną. W Zelowie powstała grupa inicjatywna – świadków tamtego przykrego zdarzenia, która miała swoje pomysły na upamiętnienie tej historii, m.in. nadanie Honorowego Obywatelstwa dla Księdza Józefa Stanka za jego bohaterską postawę, co zostało uczynione uchwałą Rady Miejskiej w 2001 roku; nadanie jednej z ulic w Zelowie imienia Księdza Stanka; w 2012 roku przy kościele M.B. Częstochowskiej powstała tablica pamiątkowa ku Jego czci. W tym roku ta sama grupa inicjatywna zwróciła się ponownie, tak jak we wszystkich wymienionych wyżej sprawach, do władz samorządowych Gminy Zelów o poparcie i wyrażenie zgody na umieszczenie pamiątkowej tablicy na zewnętrznej ścianie szkoły (Liceum Ogólnokształcącego w Zelowie) *„w celu upamiętnienia tragicznej śmierci ucznia VIII klasy LO Romka Gapika oraz uczniów Szkoły Podstawowej w dniu 4 listopada 1957 roku".* Burmistrz Zelowa Urszula Świerczyńska skierowała sprawę do szerokich konsultacji społecznych, w wyniku których Rada Pedagogiczna, Rada Rodziców oraz Samorząd Uczniowski, doceniając inicjatywę i szanując pamięć, wypracowali wspólne stanowisko w tej sprawie. W uzasadnieniu czytamy:

- Zespół Szkół Ogólnokształcących to placówka edukacyjna, na terenie której obecnie przebywa młodzież od 13 roku życia a od września również dzieci sześcio- i siedmioletnie. Umieszczenie w pobliżu któregokolwiek z wejść bądź na korytarzu szkoły tablicy upamiętniającej tragiczne, drastyczne i budzące silne emocje wydarzenia mogłoby w dzieciach budzić grozę, a nawet przerażenie i mieć bardzo złe następstwa dla ich psychiki w przyszłości. Zajścia, do których odwoływałaby się tablica, nawet dla nas dorosłych są szokujące, dlatego uzasadnionym wydaje się chronienie młodzieży przed takimi emocjami. Naturalna ciekawość dziecka pobudzałaby do pytań, na które uczniowie mogliby od rówieśników lub osób postronnych uzyskać szokujące w swej formie i treści odpowiedzi.

Nie chcemy, aby tragiczna historia Romka Gapika została zapomniana, gdyż jest ona częścią historii naszego miasta i szkoły, ale musimy mieć na względzie w pierwszym rzędzie dobro dzieci obecnie uczących się w placówce oraz dobro szkoły jako placówki edukacyjnej. Rada Pedagogiczna zaproponowała rozwiązania alternatywne, dla uczczenia pamięci ofiar tamtych wydarzeń:

1) Umieszczenie tablicy w Izbie Pamięci w szkole (co pozwoli na właściwe wprowadzenie tej tematyki w odpowiednim momencie wychowawczym);

2) Umieszczenie tablicy w innym miejscu (na przykład przy symbolicznym grobie księdza Stanka);

3) Uczczenie pamięci ofiar podczas już organizowanych uroczystości upamiętniających bohaterstwo księdza Stanka;

4) Zorganizowanie w listopadzie corocznej Akcji Udzielania Pierwszej Pomocy Przedmedycznej „Romek".

Ta ostatnia forma dawałaby (oprócz samego uczczenia pamięci uczniów liceum) również wymierne korzyści edukacyjne i wychowawcze. Uczniowie mogliby w przyszłości wykorzystać techniki udzielania pierwszej pomocy, aby uniknąć jakiejś tragedii, pomóc drugiej osobie czy czuć się bezpieczniej w sytuacjach zagrożenia.

Jako Rada Pedagogiczna rozumiemy stanowisko Komitetu, w skład którego wchodzą osoby związane emocjonalnie i rodzinnie z tragicznymi wydarzeniami, które rozegrały się w budynku szkoły w 1957 roku. Szanujemy bolesną przeszłość i jej ofiary, jednak wydaje nam się, że skoro w nas dorosłych oraz uczestnikach i świadkach tamtych wydarzeń budzą one nadal tak ogromne emocje, to dla dzieci mogą stać się przyczyną traumy i lęku, a szkoła nie powinna kojarzyć się dziecku z miejscem, do którego lęka się przyjść.



W ramach przeprowadzanych przez Burmistrza Zelowa konsultacji społecznych, Radni Rady Miejskiej w Zelowie (Komisja Oświaty, Kultury, Sportu i Bezpieczeństwa) jednogłośnie zajęli następujące stanowisko w sprawie:

- Komisja Oświaty, Kultury, Sportu i Bezpieczeństwa Rady Miejskiej w Zelowie informuje, że na posiedzeniu w dniu 9 maja 2017 roku zapoznała się szczegółowo z wnioskiem grupy inicjatywnej – dla upamiętnienia tablicą pamiątkową tragedii w Liceum Ogólnokształcącym w Zelowie w roku 1957. Komisja proponuje zamieszczenie tablicy pamiątkowej w Izbie Pamięci mieszczącej się w Zespole Szkół Ogólnokształcących.

Niestety część grupy inicjatywnej odrzuca wypracowane stanowisko opinii społecznej. Argumentację w zacytowanym uzasadnieniu uważa za absurdalną, zapominając tym samym, że gospodarzami tego miejsca są uczniowie, nauczyciele i rodzice. W związku z tym ich opinia jest dla Burmistrza Zelowa niezwykle istotna.

3 listopada br., z inicjatywy Pana Zbigniewa Gapika, odbyło się w Domu Kultury spotkanie, które miało być spotkaniem wspomnieniowym, poświęconym pamięci Romka Gapika – ofiary tragicznych wydarzeń w zelowskim liceum. Taka informacja została przekazana większości z zaproszonych osób. Stało się jednak inaczej. Głównym tematem spotkania okazała się dyskusja na temat miejsca umieszczenia pamiątkowej tablicy i krytyka stanowiska wypracowanego podczas konsultacji społecznych. Nie zabrakło emocji i polityki. Wiele osób uczestniczących w spotkaniu nie kryło swojego rozczarowania jego przebiegiem. Te osoby przyszły z nadzieją, że będą mogły porozmawiać o tragicznych wydarzeniach sprzed 60. lat; przyszły – by wyrazić swą pamięć o Romku Gapiku oraz o innych uczniach – ofiarach tragedii.

Jak co roku, 4 listopada została odprawiona Msza Święta w kościele M.B. Częstochowskiej w intencji Księdza Józefa Stanka, w której uczestniczyła Burmistrz Zelowa Urszula Świerczyńska wspólnie z byłymi uczniami liceum, pracownikami Zespołu Szkół Ogólnokształcących i mieszkańcami Zelowa. Na prośbę części grupy inicjatywnej i Burmistrza Zelowa, Dyrektor ZSO Marzanna Socha zobowiązała się każdego roku kontynuować wraz z pracownikami i uczniami szkoły uroczystości upamiętniające tragiczne wydarzenia z 1957 roku.

Jesteśmy przekonani, że uroczystości organizowane przez naszą młodzież doprowadzą do tego, że pamięć o tych wydarzeniach będzie zelowską społeczność łączyć, a nie dzielić.

Pod artykułem nikt się nie podpisał...

W artykule „dostało się" organizatorom spotkania w domu kultury, którym zarzucono, że tematem spotkania nie było wspomnienie tragicznego zdarzenia i jego ofiar, ale dyskusja *na temat miejsca umieszczenia pamiątkowej tablicy i krytyka stanowiska wypracowanego podczas konsultacji społecznych.* Podkreślono, że w czasie spotkania: *Nie zabrakło emocji i polityki*[133].

Należy tu jednak dodać, iż w przytoczonym stanowisku przedstawiono propozycje upamiętnienia Romka Gapika, m.in. przez umieszczenie tablicy w innym miejscu, np. w szkolnej izbie pamięci, przy symbolicznym grobie księdza Stanka (na terenie kościelnym) lub *po prostu uczczenie pamięci ofiar podczas już organizowanych uroczystości upamiętniających bohaterstwo księdza Stanka.* Informowano, że jak co roku 4 listopada (2017 r.) została odprawiona msza święta w intencji księdza Stanka, po czym – na prośbę części grupy inicjatywnej i burmistrzyni – dyrektor LO Marzanna Socha *zobowiązała się każdego roku kontynuować wraz z pracownikami i uczniami szkoły uroczystości upamiętniające tragiczne wydarzenia z 1957 roku*, które, jak podkreśla autor/autorka publikacji *doprowadzą do tego, że pamięć o tych wydarzeniach będzie zelowską społeczność łączyć, a nie dzielić.*

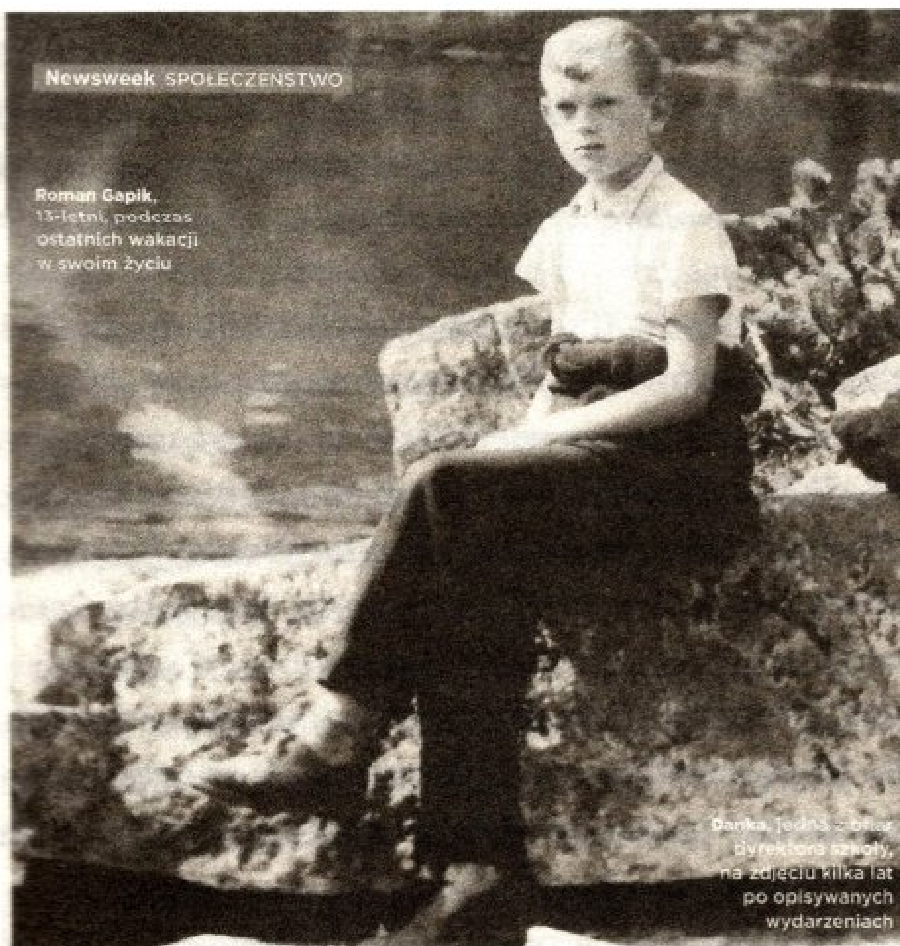
Autorskie „śledztwo" potwierdziło domniemanie, że stanowisko nie zostało wypracowane w „szerokich konsultacjach społecznych", ale w gabinecie dyrektorki LO. Indagowany przeze mnie na tę okoliczność wiceprzewodniczący rady rodziców, osoba w mieście znana ze społecznego zaangażowania, nic nie wiedział o pracach nad „stanowiskiem", nie czytał tego dokumentu, i nie wiedział, że „stanowisko" było podstawą decyzji burmistrzyni w sprawie upamiętnienia wydarzeń z 1957 roku.

„Sprawa" wyszła z grajdoła

Kilkanaście miesięcy trwał impas, grupa inicjatywna powoli się rozsypywała, Zbigniew Gapik, tak jak przed kilkudziesięciu laty jego ojciec, został sam. Nadal jednak był zdeterminowany, żeby o „sprawie Romka" nie zapomniano, ale nie bardzo wiedział co mógłby jeszcze zrobić i kogo poruszyć sprawą, którą zaczęto określać mianem „afery". Wtedy pojawił się ten artykuł.

W lutowym numerze „Newsweeka" w 2018 roku ukazał się reportaż z Zelowa. Autorka publikacji pisała: *Od 60 lat nie ma w Zelowie klimatu na mówienie o 14-letnim Romku, którego zabił siekierą dyrektor szkoły. – Musimy chronić nasze dzieci – mówią ludzie*[134].

133 Tamże.
134 Turlej E., *Nikt nie chce pamiętać*, „Newsweek" 6/2018.



Roman Gapik, 13-letni, podczas ostatnich wakacji w swoim życiu





Danka, jedna z ofiar dyrektora szkoły, na zdjęciu kilka lat po opisywanych wydarzeniach

TRAGEDIA SPRZED LAT

Nikt nie chce pamiętać

Od 60 lat nie ma w Zelowie klimatu na mówienie o 14-letnim Romku, którego zabił siekierą dyrektor szkoły. – Musimy chronić nasze dzieci – mówią ludzie

TEKST **ELŻBIETA TURLEJ** ZDJĘCIA Z ARCHIWUM **SŁAWOJA KOPKI**

Dyrektor Szkoły nr 1 lubił bić. Otwartą dłonią w twarz. Pięścią w nos. Kantem dłoni w szyję.

– Musimy chronić dzieci – powtarzali dorośli w Zelowie. Dlatego kiedy pokazywały siniaki czy zadrapania, prosili: – Nie rozpowiadaj po mieście.

– Pokażesz pręgę po kiju, to dyrektor nie dopuści cię do kolejnej klasy – mówiła matka. – Zapomnij o rozbitym nosie. My, dorośli, dogadamy się między sobą, ty siedź cicho – przekonywał ojciec.

– Napiszemy do partii, że cię uderzył po pijanemu, to dowie się jako pierwszy. Zniszczy donos, a nas naśle skarbówkę; zasądzą domiar – straszyli dziadkowie prywaciarze. Dlatego dzieci milczały. Ale to, co 14-letnia wtedy Danka zapamiętała z 4 listopada 1957 roku, to krzyk dzieci.

Odwróciła się w stronę drzwi – stała przy zielonym piecu kaflowym, w klasie 7a – i zobaczyła dyrektora. Rozczochrany, boso, w piżamie w siwe paski, trzymał w dłoni siekierę. Zapamiętała jeszcze błysk ostrza, które na moment przygwoździło jej głowę do kafli. Potem straciła przytomność.

Przebudziła się na boisku. Biały kołnierzyk jej granatowego fartuszka był bordowy od krwi. Któreś z dzieci puszczało wodę z pompy na głowę Romka z VIII B. Potem znów jakby wpadła w ciemność. Obudziła się, kiedy ktoś niósł ją na noszach, a wokół krzyczeli ojcowie, matki i dziadkowie. Kątem oka widziała dyrektora związanego, wrzuconego na przyczepę ciężarówki. Potem ocknęła się na podłodze ośrodka zdrowia – obok innych, z głowami w białych turbanach z bandaży. A potem było łóżko w sali szpitalnej. I widok na korytarz. Siedzieli tam rodzice Romka. Trzymali twarze w dłoniach. Milczeli.

Po latach, już jako dorosła, uświadomi sobie, że właśnie wtedy musieli usłyszeć, że Romek nie żyje.

Nikt już nie pamięta...

Redaktor Elżbieta Turlej spędziła w Zelowie trzy dni i, jak wiem, wróciła zdruzgotana.

Pisała: – *Musimy chronić dzieci – powtarzali dorośli w Zelowie. Dlatego kiedy pokazywały siniaki czy zadrapania prosili: – Nie rozpowiadaj po mieście. Pokażesz pręgę po kiju, to dyrektor nie dopuści cię do kolejnej klasy. Siedź cicho. Napiszemy do partii, że cię uderzył po pijanemu, to dowie się jako pierwszy. Zniszczy donos, a na nas naśle skarbówkę, zasądzą domiar – straszyli dziadkowie prywaciarze. Dlatego dzieci milczały.*

Dziennikarka z Warszawy dostrzegła to, czego nie widzieli miejscowi, a jak widzieli, to nie chcieli o tym mówić. – *Musimy chronić nasze dzieci – powtarzali ludzie w Zelowie. Lepiej, żeby nie wiedziały, że nawet nauczyciel religii, ksiądz Stanek, je zostawił.* [...] *Ksiądz uciekł z budynku, zabierając palto z pokoju nauczycielskiego. W drodze do domu musiał mijać Dankę leżącą na boisku i Romka, który nieopodal wykrwawiał się polewany lodowatą wodą z pompy.*

Tkwiło to ludziach jak zadra. Niektórzy stracili zaufanie do księży wikarych, przestali chodzić do kościoła. *To go musiało gryźć, dlatego nigdy nie chciał rozmawiać o tej tragedii* – słyszę teraz i ja w Zelowie – *pewnie stąd jego decyzja o wyjeździe z Zelowa.*

Ostatnie zdanie ilustrowanego zdjęciami reportażu brzmi: *Musimy chronić nasze dzieci – powtarzają ludzie w Zelowie. Zupełnie jak 60 lat temu*[135].

Słowa te powtarza jednak tylko miejscowa władza, a konkretnie burmistrzyni (absolwentka liceum w Zelowie) i dyrektorka LO. Pozostali mieszkańcy, z nielicznymi wyjątkami, przeważnie dystansują się od sporu, ale o „sprawie" wciąż nie chcą rozmawiać lub mówią, że nie pamiętają.

Dobrze, że ta sprawa wyszła z zelowskiego grajdoła – mówią m.in. Józek i Krzysiek, koledzy Romka. *Choć do nas dotarły tylko dwa czy trzy numery „Newsweeka", to po mieście krążą kserokopie. Sprawa ożyła i nie da się jej już zamieść pod dywan, jak wtedy*[136].

Zbyszek Gapik: *Opinie są różne i przeważa chyba pogląd „po co do tego wracać", ale dla mnie ta publikacja to duże wsparcie. A co do samej publikacji to szczególnie wdzięczny jestem tej redaktor, że zwróciła uwagę na księdza Stanka; sam się zastanawiałem, jak to było możliwe, że tak szybko wyszedł wtedy ze szkoły, że nie interesował się rannymi dziećmi; szukałem chociaż jednego zdania w jego zeznaniach, że nie tylko walczył o swoje życie, ale także myślał o dzieciach, że chciał je ratować. Nie znalazłem...*

135 Tamże.
136 Relacje w zbiorach autora.

Zbrodnia komunistyczna

Pomysł zrodził się po lekturze publikacji o poznańskim bohaterze z 1956 roku Romku Strzałkowskim. Z. Gapik: *Wiedziałem, że w Poznaniu jest uznany za bohatera i ma swoją ulicę, zaskoczyło mnie, jak wiele szkół obrało go za patrona. Mimo iż nie brał udziału w powstańczym zrywie poznaniaków, uznano go za ofiarę tamtego systemu, stał się symbolem zbrodni komunistycznej. Nikt tego nie podważa. Miasto jest dumne z tego powodu i czci jego pamięć.*

Napisał do łódzkiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej z zapytaniem – właściwie w formie wniosku – czy zabójstwo Romka można uznać za zbrodnię komunistyczną. W liście zawarł kilka własnych przemyśleń na ten temat. Został przesłuchany i formalnie wszczęto postępowanie wyjaśniające w *sprawie o przestępstwo zbrodni zabójstwa Romana Gapika.*

27 września 2018 roku prokurator Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Łodzi *po analizie materiału dowodowego zawartego w aktach sprawy* postanowiła odmówić wszczęcia śledztwa *wobec tego, iż postępowanie karne dotyczące tego samego czynu tej samej osoby zostało prawomocnie ukończone* – wystąpiła zatem, jak stwierdziła prokurator, *negatywna przesłanka procesowa powagi rzeczy osądzonej, zgodnie z którą nie wszczyna się postępowania, a wszczęte umarza, gdy postępowanie karne co do tego samego czynu tej samej osoby zostało prawomocnie osądzone.* Wykonane czynności i zgromadzony materiał w sprawie *nie pozwoliły na ustalenie, aby zdarzenie polegające na spowodowaniu śmierci Romana Gapika mieściło się w znamionach znamion zbrodni komunistycznej*[137].

W zażaleniu na to postanowienie Zbigniew Gapik napisał:

> Zdumiewa, że prokurator funkcjonujący w tej strukturze [IPN] tak bezrefleksyjnie, bez żadnych wątpliwości uzasadniła swoje postanowienie o umorzeniu śledztwa decyzją prokuratury z 1958 roku. Tej, która ścigała generałów, oficerów i zwykłych ludzi działających na rzecz wolnej Polski. Dziś już wiemy, że ówczesna prokuratura chroniła przed odpowiedzialnością członków PZPR, władz z politycznego nadania na każdym szczeblu. Przypadek Bajocha jest tego dobitnym przykładem. Postanowienie opiera się wyłącznie na formalnym uznaniu decyzji Prokuratury Wojewódzkiej w Łodzi z 1958 roku o umorzeniu postępowania. Pani prokurator nie sięgnęła do akt sprawy, której sygnatura została podana. Budzi to moje wątpliwości co do rzetelności prowadzonego postępowania[138].

137 IPN Łódź, S 30/2018.Zk, pismo w zbiorach autora.
138 Zażalenie z 12.10.2018, pismo w zbiorach autora.

Uzasadniał:

> Tadeusz Bajoch był osobą z tzw. kręgu władzy. Faktycznie przez nią chroniony, a jego występki ukrywane i zamiatane pod przysłowiowy dywan. Był osobą dla zwykłych zelowian nietykalną. [...] Czyn popełniony przez T. Bajocha jest zbrodnią komunistyczną – została popełniona przez funkcjonariusza państwa komunistycznego, została popełniona w okresie reżimu komunistycznego. T. Bajoch naruszał nie tylko prawa swoich podwładnych (nauczycieli), stosował represje wobec uczniów m.in. notorycznie używając przemocy i siły fizycznej, aż wreszcie – w poczuciu bezkarności – zabił.

Gapik zarzucił prowadzącej sprawę: *Pani Prokurator nie wykorzystała wszystkich możliwości dla merytorycznej analizy tego drastycznego przypadku. [...] Zauważalny jest także brak wiedzy o latach 1945–1989, zwłaszcza o jego pierwszym dziesięcioleciu, w którym panowało bezprawie i realne zagrożenie dla życia zwykłych obywateli nie będących członkami PZPR.*

I końcowe zdanie zażalenia: *Bezrefleksyjne skwitowanie postanowienia reżimowej prokuratury* [...] *źle świadczy o instytucji, która ma w nazwie „pamięć i sprawiedliwość", a podstawowym jej zadaniem jest „ściganie zbrodni przeciwko narodowi".*

15 stycznia 2019 roku do zażalenia odniósł się Sąd Rejonowy w Sieradzu. Kilka stron uzasadnienia, zdania niemal dosłownie zaczerpnięte z decyzji pani prokurator z IPN: *postępowanie karne dotyczące tego samego czynu tej samej osoby zostało prawomocnie zakończone w 1958 r.* [...] *nie wolno orzekać dwa razy co do tego samego czynu tego samego oskarżonego*[139].

Na uwagę zasługuje taka oto konstatacja: *Nie każde przestępstwo popełnione przez funkcjonariusza państwa komunistycznego spełnia warunki tej definicji (pojęcie zbrodni komunistycznej w rozumieniu ustawy z 18 XII 1998 r.) i tak jest w niniejszej sprawie, a czyn przypisany T. Bajochowi należy oceniać w kategoriach najcięższego gatunkowo przestępstwa kryminalnego, którego popełnienie nie wiązało się z wykorzystaniem przez sprawcę zajmowanego wówczas stanowiska w celu represjonowania ofiar.*

Burmistrz dotrzymuje słowa

Gdy w IPN i Sądzie Rejonowym w Sieradzu pochylano się nad pismami Zbigniewa Gapika, w Zelowie zaszła duża zmiana – zmienił się główny lokator urzędu

139 Postanowienie z 15.01.2019, w zbiorach autora.





Odsłonięcie tablicy

miejsko-gminnego, stanowisko burmistrza objął Tomasz Jachymek, reprezentujący tzw. dobrą zmianę. Ten sam, który podczas pamiętnego spotkania w domu kultury deklarował, że po zmianie władzy w liceum zostanie zawieszona tablica upamiętniająca tragiczną śmierć Romka i pokrzywdzonych dzieci.

Dotrzymał słowa – 4 listopada 2018 r. w liceum, na parterze, na ścianie korytarza, za którymi przed laty znajdowały się drzwi wejściowe (tylne), niemal dokładnie w tym samym miejscu, w którym Romek otrzymał śmiertelne ciosy



Danuta Jarosińska-Konieczna i Zbigniew Gapik



W 2021 roku kwiaty pod tablicą złożyli tylko Danusia Jarosińska-Konieczna, Danusia Tosik i Zbyszek Gapik. Dyrekcja uczciła pamięć księdza Stanka

siekierą, zawisła tablica pamiątkowa. Odsłonięcia dokonali burmistrz Tomasz Jachymek i Zbigniew Gapik, obecni byli Danusia Jarosińska-Konieczna, emerytowany nauczyciel Zenobiusz Kaźmierczak (w 1957 r. rozpoczął pracę pedagoga w LO, był pierwszym nauczycielem z wyższym wykształceniem), świadkowie szkolnej tragedii, w tym autor niniejszej książki, młodzież licealna i nauczyciele LO. W izbie pamięci młodzież zaprezentowała przygotowany z tej okazji występ, oparty na zaczerpniętych z moich publikacji wspomnieniach świadków (choć bez wskazania źródła ich pochodzenia). Było uroczyście i wzruszająco.

Pytam brata Romka:

– Duże przeżycie, i satysfakcja...?

– Tyle lat starań, zabiegów i przekonywania, wreszcie ulga, przygotowane zdania na tę okazję uleciały, mogłem tylko podziękować, co uczyniłem[140].

– Przede wszystkim burmistrzowi...

– Tak, dał słowo i dotrzymał, dzięki niemu szkoła się „otworzyła" i przystała na realizację mojego projektu. Jestem wdzięczny obecnym paniom dyrektorkom...

Należy w tym miejscu dodać, iż od dłuższego czasu Zbigniew Gapik działał już sam – przygotował stosowny napis, dopilnował wykonania tablicy i jej zawieszenia, pokrył koszty.

Ostateczne zakończenie sprawy Romka

Wydawało się, że sprawa Romka została zakończona definitywnie. Tymczasem 7 czerwca 2019 roku Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Łodzi niespodziewanie poinformowała Zbigniewa Gapika o... wszczęciu śledztwa

> w sprawie zbrodni komunistycznej [...] polegającej na udaremnieniu postępowania karnego przez funkcjonariuszy państwa komunistycznego w osobach prowadzących śledztwo oraz wykonujących czynności procesowych w sprawie dokonanego w dniu 4 listopada 1957 r. w Zelowie zabójstwa Romana Gapika oraz usiłowania zabójstwa [tu nazwiska poranionych] przez Tadeusza Bajocha, poprzez zaniechanie podejmowania czynności procesowych zmierzających do wszechstronnego wyjaśnienia tej sprawy oraz pomagając sprawcy uniknąć odpowiedzialności karnej[141].

140 Notatki z rozmów, w zbiorach autora.
141 IPN Łódź, S 25/2019. Zk z 7.06.2019, pismo w zbiorach autora.

Zaskakująca decyzja, zrozumiałe pytania – czy IPN postanowił „naprawić" bezrefleksyjne podejście do sprawy swojej pani prokurator, która chyba zbyt pośpiesznie i bez należycie zebranego materiału dowodowego oraz jego analizy podjęła decyzję o zamknięciu sprawy, bo wystąpiła *negatywna przesłanka procesowa powagi rzeczy osądzonej, zgodnie z którą nie wszczyna się postępowania, a wszczęte umarza, gdy postępowanie karne co do tego samego czynu tej samej osoby zostało prawomocnie osądzone?*[142]. Czy też ktoś z jej przełożonych w IPN dopatrzył się istoty sprawy w uzasadnieniach pisanych przez Z. Gapika? A może spowodowała to niewidzialna ręka… szefa łódzkiego IPN, rodowitego zelowianina i absolwenta miejscowego liceum? To tylko spekulacja, zapewne nieuprawniona.

Śledztwo zajęło prowadzącemu prokuratorowi pół roku i zakończyło się umorzeniem śledztwa. Blisko trzydziestostronicowe uzasadnienie zasługuje na uwagę[143].

Z pewnym zaskoczeniem odkryłem, iż opis wydarzeń 4 listopada 1957 roku, jak i sprawozdania medycznych biegłych oraz ustalenia prokuratury w owym czasie zostały zaczerpnięte z moich publikacji o Romku i Bajochu. Tym niemniej przeprowadzono czynności procesowe, m.in. przesłuchano siedmioro świadków, dotarto do wskazanych przeze mnie akt sprawy i świadectw medycznych.

Oceniając pracę asesora i prokuratora z Prokuratury Powiatowej w Łasku w 1957 roku uznano, iż *czynności procesowe były przeprowadzone prawidłowo – nie były prowadzone stronniczo.* Fakt, iż prokurator wojewódzki przesłał odpis postanowienia o umorzeniu śledztwa wobec Bajocha pokrzywdzonym, posłużył do oceny, iż *stanowi to dowód, że nie byli w żaden sposób szykanowani.*

Decyzje prokuratorów wojewódzkich były prawidłowe – konkludował IPN – postępowanie zmierzało w kierunku aktu oskarżenia, *do tego jednak nie doszło z powodów od prokuratorów niezależnych* – przesądziła jednoznaczna opinia sądowo-psychiatryczna. *Nie ujawniono w toku analizy akt sprawy żadnych danych mogących wskazywać, iż prokuratorzy zatajali materiał dowodowy lub gromadzili go w sposób nierzetelny czy stronniczy w celu polepszenia sytuacji procesowej podejrzanego* – brzmi końcowa ocena. Podobnie odniesiono się do opinii medycznych: *były jednoznaczne i pełne*, wystawione przez osoby *nie pozostające w stosunkach towarzyskich z T. Bajochem.*

Finalny wniosek: *brak jest danych uzasadniających podejrzenie, iż umorzenie śledztwa stanowiło skutek poplecznictwa na rzecz T. Bajocha, celowych działań*

---

142 Dot. postanowienia Prokuratury Wojewódzkiej z 1958 r.
143 Postanowienie z grudnia 2019 r., pismo w zbiorach autora.

prokuratorów czy biegłych zmierzających do zapewnienia T. Bajochowi uniknięcia odpowiedzialności karnej[144].

Zabił go zbrodniczy system i układ pewien bezkarności

Zbigniew Gapik wiązał co prawda pewne nadzieje z ponownym wszczęciem śledztwa przez IPN, ale ostatecznym werdyktem nie był zaskoczony.

– Spodziewałem się takiego rozstrzygnięcia, natomiast zastanawia mnie takie bardzo prawnicze, doktrynerskie chyba podejście do tej sprawy, przez odniesienie się do ewentualnej winy konkretnych funkcjonariuszy organów ścigania...[145].

– Bo to jest komisja ds. ścigania zbrodni komunistycznych, a więc ich sprawców...

– Rozumiem, ale po szyldzie IPN oczekiwałem czegoś więcej...

– Oskarżenia reżimu, systemu...

– Właśnie, tym bardziej, że IPN takie oceny i opinie prezentuje, niekiedy bardzo dosadnie, może nie zawsze sprawiedliwe; produkuje całe masy książek na temat zbrodniczego systemu komunistycznego, i jego funkcjonariuszy gorliwie wykonujących rozkazy.

– Zwykle dotyczą one funkcjonowania systemu, mechanizmów działania ówczesnej władzy, przywódców, nazywania ich np. grupą przestępczą, jak w przypadku twórców stanu wojennego...

– Bo to najłatwiej oskarżyć, a zbrodniczy system to nie tylko stolica i żołnierze podziemia powojennego, ten system działał na każdym szczeblu administracyjnym, lokalnie także w powiecie łaskim i w Zelowie. Chronił swoich towarzyszy i ich czyny, czuli się bezkarni, tak właśnie jak Bajoch. Przecież nadal nie wiemy, jak to było możliwe, że zdegradowany i skazany oficer KBW tuż po wyjściu z więzienia został kierownikiem szkoły podstawowej, a potem awansował na dyrektora liceum. W uzasadnieniu przeczytałem, że nie znaleziono podstaw, że prokuratorzy i biegli psychiatrzy *mogli podejmować czynności mające na celu uniknięcie odpowiedzialności przez T. Bajocha z tego powodu, że był on członkiem Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego.* Albo, że *jego pozycja jako członka KBW stała się marginalna po degradacji.* Czy to przekonanie prokuratora IPN – jeśli tak, to na jakich przesłankach oparte: wiedzy historycznej czy znajomości struktur i procedur operacyjnych ówczesnych służb? To dziwne, niejasne stwierdzenie...

– ?

144 Tamże.
145 Notatki z rozmów.

– W każdym razie oczekiwałem, że prokurator dokona swoistej wiwisekcji lokalnego układu funkcjonującego w Zelowie, odkryje widoczne nawet dla postronnych obserwatorów powiązania ludzi władzy: przewodniczącego rady, sekretarzy partii, dyrektorów i prezesów, komendantów milicji i innych służb – nazwie ten układ i oskarży system, w którym mogli bezkarnie działać przez lata.

– Najwyraźniej to nie ten adresat...

– Romek zginął z ręki Bajocha, ale faktycznie zabił go układ, zbrodniczy system – w tym sensie postrzegam śmierć brata jako zbrodnię komunistyczną.

Bez prawa powrotu na ziemię łódzką

Sprawca szkolnej tragedii dyrektor Tadeusz Bajoch ostatecznie nie poniósł kary. Po umorzeniu spraw przez prokuraturę nadal pozostawał w więziennym szpitalu. Pisał do sądu: *Trzy lata wśród wariatów to gorsze niż więzienie, proszę więc o przywrócenie mnie zdrowemu społeczeństwu*[146]. Przywoływał opinie personelu szpitalnego, że *wykonywał bez zarzutu prace administracyjne* [...] *prowadził z pacjentami zajęcia gimnastyczne* [...] *prowadził bibliotekę*.... Składał oświadczenia, że *nie będzie używał alkoholu pod żadną postacią*. Rodzina dokładała wszelkich starań, żeby go zabrać ze szpitala. Złożyli wiele deklaracji pomocy i opieki nad ojcem (starszy syn Marek) i bratem (siostra Leokadia z Pabianic), w końcu wystąpili o jego zwolnienie, żona, która „wróciła" do męża, zobowiązała się do formalnego nadzoru nad nim.

Sąd wojewódzki w Łodzi areszt formalnie uchylił, ale nie wyraził zgody na opuszczenie szpitala. Dopiero Sąd Najwyższy w 1962 roku zdecydował o powrocie Bajocha „do społeczeństwa". Pod warunkiem, że powstrzyma się od spożywania alkoholu, będzie omijał restauracje, gospody i bary, podda się nadzorowi osoby wskazanej przez sąd oraz nadzorowi poradni psychiatrycznej w miejscu zamieszkania.

I bezwzględnie zakazał Tadeuszowi Bajochowi przebywania na terenie województwa łódzkiego oraz przekroczenia w przyszłości jego granic.

T. Bajoch mieszkał z żoną i córką w Szczawienku, potem w Słupcy koło Kłodzka, wreszcie osiadł na stałe w Nowej Rudzie. Żona formalnie sprawowała nad nim nadzór sądowy i co kwartał składała sprawozdanie w miejscowym sądzie. Przynajmniej początkowo wszystko układało się poprawnie, chyba nawet dobrze.

Z czasem Bajoch podjął pracę w... wydziale oświaty, został kierownikiem ds. planowania dydaktycznego, podjął zaoczne studia ekonomiczne. Wystarał się o rentę.

146 Sąd Okręgowy w Łodzi IV 13/58, akta sprawy Bajocha.

Zdarzały się trudne momenty. Jak wynika z dokumentacji sądowego nadzoru, w 1963 roku żona zwróciła się do sądu o zwolnienie jej z nadzoru nad mężem. Na pół roku Bajoch trafił znów do zakładu zamkniętego. Ośmioletnia córka pisała: *tatuś jest dobry i chcę, żeby był ze mną, żeby wrócił do domu*[147].

Gdy tak się stało, opiekę nad nim objął sam prezes miejscowego oddziału Związku Nauczycielstwa Polskiego (ZNP). Chyba skutecznie dyscyplinował Bajocha, skoro ten wrócił do pracy w wydziale oświaty. Z czasem żona znów przejęła rolę kuratora męża...

W 1967 roku Janina Bajoch przeszła na emeryturę i postanowiła wrócić z 14-letnią córką do rodzinnych Pabianic. Tadeusz Bajoch nie mógł tam zamieszkać, bo wciąż obowiązywał go sądowy zakaz przekraczania granicy województwa łódzkiego. Po wyjeździe rodziny nadzór nad Bajochem przejął ponownie ZNP, ze sprawozdań wynikało, że podopieczny nie stwarzał kłopotów. Sąd w końcu zawiesił obowiązek nadzoru nad Bajochem, ale na jego wyjazd do Pabianic, aby mógł połączyć się z rodziną, nie wyraził zgody.

Tadeusz Bajoch zmarł w Nowej Rudzie 4 maja 1984 roku i tam został pochowany. Wydawało się, że choć po śmierci uda się wrócić do rodzinnych Pabianic. Tak się nie stało, z rodzinnych przekazów wynika, że to żona T. Bajocha po śmierci została pochowana w Nowej Rudzie.

Informacja o losach Bajocha przyjęta została w Zelowie ze zdziwieniem, a nawet zdumieniem: *To wygląda, jakby całe życie ktoś go chronił...*

147 Tamże.

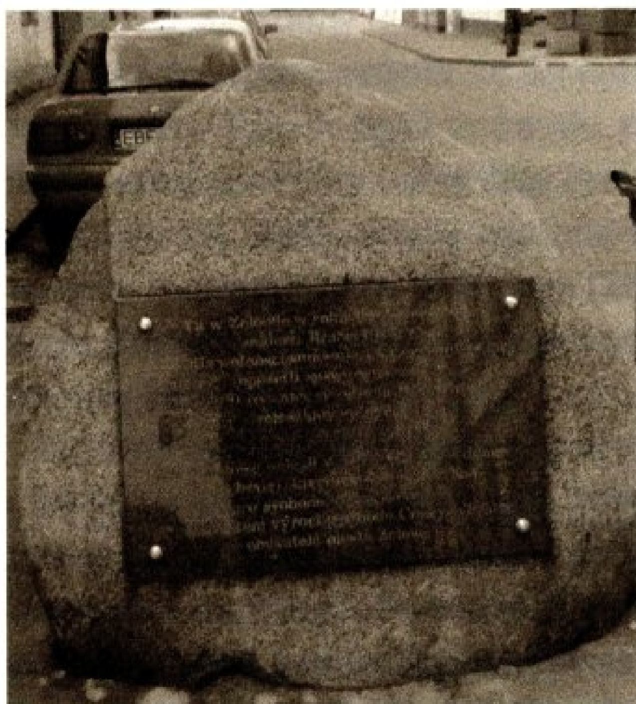
Posłowie

Zelów w 2022 roku dawno zapomniał, że był kiedyś „wieżą Babel", wytarły się polskie i czeskie litery na kamieniu upamiętniającym pierwszych czeskich mieszkańców osady w samym środku Polski. Niewielu pamięta, że budynek poczty przy głównej ulicy to dawna synagoga, nic nie przypomina obecności Żydów, którzy przez 100 lat byli drugą co do wielkości narodowością w miasteczku. Kościoły ewangelików reformowanych i ewangelików augsburskich, kaplice baptystów i świadków Jehowy wciąż funkcjonują, są otwarte dla każdego, ale dla Polaków-katolików są jak wyrzut, zdają się czuć jak ich przodkowie na początku XIX wieku *otoczeni dziwnem w Polsce jedynem środowiskiem sekt religijnych, mających swoje świątynie i domy modlitwy*[148].

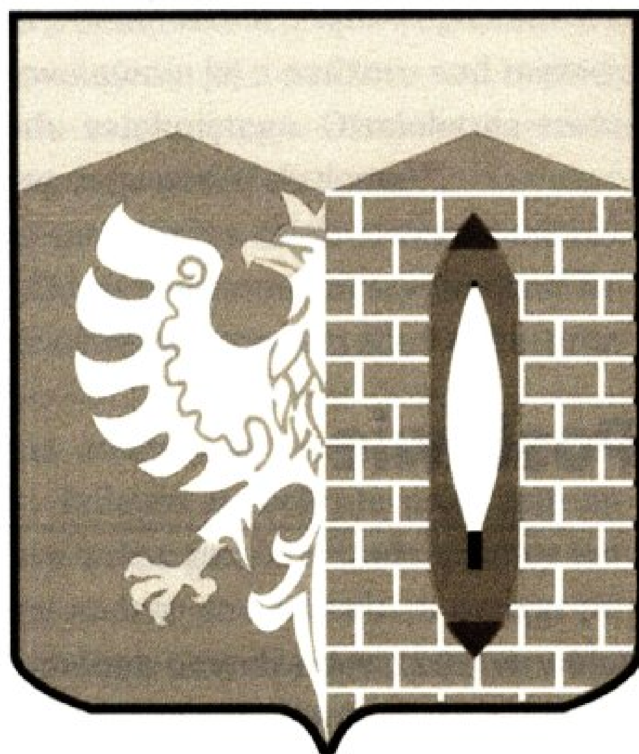
W herbie miasta wciąż jest czółenko przypominające tkacką, fabrykancką i włókienniczą przeszłość, gdzieniegdzie w podwórkach zachowały się parterowe domki z czerwonej cegły, pozostałość po kilkuset manufakturach, z których szły w świat purpur i wielobarwne tkaniny. Po największej fabryce (w okresie największej prosperity zatrudniała ponad trzy tysiące ludzi) nie został kamień na kamieniu.

Największymi pracodawcami są miejski urząd, szkoły i przedszkola. Na każdej ulicy jest po kilka sklepów mięsno-wędliniarskich, piekarniczo-cukierniczych i owocowo-warzywnych. Po większe zakupy nie jeździ się jak przed laty do Łodzi, bo nie ma już ani jednego połączenia autobusowego, ale do pobliskiego Bełchatowa. Usługi to niemal wyłącznie zakłady fryzjerskie. Na stadion, który znów zaczyna przypominać zwykłe boisko, na mecze nawet nieźle grających piłkarzy, nie przychodzi trzy tysiące kibiców, jak przed wojną i przez kilka lat po niej, ale ledwie… 20–30 kolegów i dziewczyn piłkarzy. W ruinie jest sztuczne lodowisko. Znajdujący się na przeciwległym krańcu miasta dom kultury służy głównie posiedzeniom rady miejskiej i spotkaniom seniorów. Jak przez dziesiątki lat

148 K. Czesek, *75 lat parafii MBCz w Zelowie 1926–2001*, Zelów 2001.



Tablica upamiętniająca przybycie Czechów do Zelowa – odsłonięta w 2000 roku; nieczytelny napis, jakby zapomniana...



Herb Zelowa

miasteczko ożywia się na kilka godzin w środę „w dzień dyszla", choć konia już się nie zobaczy, ale królika, gołębia i wszelaki drób jak najbardziej. Popularnością cieszą się starocie, zwożone z Niemiec i Holandii zużyte bibeloty.

Urząd dba o najuboższych, co kwartał kilkaset osób otrzymuje paczki żywnościowe, a przed świętami specjalne, dodatkowe. Do tradycji należą spotkania z okazji 50-lecia pożycia małżeńskiego, podczas których burmistrz wręcza prezydenckie medale. Za szczególne osiągnięcie 2021 roku burmistrz uzn*aje stworzenie pojemnika w kształcie serca przeznaczonego do zbierania plastikowych nakrętek, dzięki któremu pomagamy potrzebującym.* Podkreśla: *To moja inicjatywa.*

Wśród zelowian dość powszechna jest opinia, że od 1990 roku Zelów nie miał szczęścia do władzy. Zaraz po przełomie najwięcej do powiedzenia miał... proboszcz, w którego opinie się wsłuchiwano i któremu chętnie pozwalano decydować o miejskich sprawach. Pod jego wpływem kolejni prominenci zacieśniali sojusz urzędu z plebanią, i w tym związku należy upatrywać konfrontacyjnego kursu władz wobec prób przywoływania pamięci o zelowskich Żydach, roli czeskich kaznodziejów i protestanckiej społeczności w rozwoju osady.

Nikt na urzędzie burmistrza nie wyrastał ani jako kandydat, ani po wyborze ponad innych zelowian, nie próbował tchnąć więcej życia w opustoszałe ulice i gwarny niegdyś Rynek, pomóc ludziom pozbawionym życiodajnej fabryki, którzy niespodziewanie, z dnia na dzień potracili pracę. Żaden nie podjął nawet próby zmierzenia się z bezrobociem i nasilającym się małomiasteczkowym marazmem, skupiali się

na kreowaniu własnego wizerunku, czemu najbardziej służyły i nadal służą msze w „intencji" i patriotyczne wzmożenie z okazji rocznic oraz świąt państwowych. Wyremontowano pofabryczny biurowiec i urządzono w nim siedzibę władz gminnych, notable się mościli, okopywali na posadach i oddalali od problemów miasta. Jeśli Zelów trafiał na łamy prasy czy ekrany telewizorów, to z powodu pożarów śmieci zwożonych *skądsiś*. I corocznej iluminacji z okazji Bożego Narodzenia.

Doskonale pamiętam rozmowę sprzed kilku lat z ówczesnym wiceburmistrzem Zelowa, z wykształcenia administratywistą (!). Było to w maju, przed wakacjami, więc zagadnąłem, jak zamierza zapobiec wakacyjnej nudzie w miasteczku. Zgadzaliśmy się co do diagnozy, ale na propozycję, żeby w Rynku zorganizować np. piwny ogródek, zareagował gwałtownie, żachnął się, niczym Piotr Skarga na obrazie Jana Matejki: *Nie! Nie! To niemożliwe!*. Nie przekonała go argumentacja, że to swoista mody, która od lat, w wakacje, opanowuje centra miast, od Szczecina do Sanoka, i że nawet w pobliskiej Łodzi słynna Pietryna (ul. Piotrkowska) zamienia się w ogród piwny: *Wszędzie, ale nie w Zelowie!*

Tenże wiceburmistrz, przywieziony do Zelowa w tzw. teczce, niemający wcześniej żadnych związków z tym miasteczkiem, przez kilka lat nie wyróżnił się jakąkolwiek inicjatywą, utrwalił się jako „przyspawany do biurka urzędnik"; pożegnano go z ulgą.

W kampanii przed ostatnimi wyborami do samorządu w 2018 roku pojawił się kandydat miejscowy, wychowanek liceum, które przed nim kończyli jego rywale, z programem ofensywnym, stawiającym na przedsiębiorczość i odwołujący się do ambicji młodych mieszkańców; własnym przykładem przekonujący, że niemożliwe jest możliwe[149]. Czy główny rywal, urzędująca burmistrzyni, wystraszyła się impetu 45-latka? Nie wiadomo, ale ostatecznie nie stanęła do rywalizacji. Za to zrobiła wiele, żeby pomniejszyć jego szanse, i choć popierany przez nią kandydat nie wygrał, to otworzyła drogę innemu, któremu pomógł przede wszystkim partyjny szyld, a nie osobiste walory.

Minione dwulecie po zmianie burmistrza potwierdziło, niestety, obawy związane z tym wyborem.

Wiele sobie obiecywano po 2022 roku, w którym przypada kilka ważnych rocznic:

– 65. rocznica uzyskania przez Zelów praw miejskich,
– 220 rocznica przybycia potomków Braci Czeskich,
– 100-lecie klubu sportowego „Włókniarz",
– 80-lecie „zniknięcia" zelowskich Żydów,

149 Stworzył i w latach 2017–2019 prowadził w Zelowie, w Rynku, pierwszy w historii miasteczka klub-winiarnię „Lans", w którym organizowano spotkania i koncerty muzyczne.



Tak zwany biurowiec Piekielnego – obecnie siedziba władz Zelowa

- 65-lecie powstania liceum,
- 65-lecie szkolnej tragedii.

W programie obchodów 65-lecia uzyskania przez Zelów praw miejskich, przewidziano jedynie uczczenie 45-lecia przedszkola samorządowego.

Każda z tych rocznic, z osobna, a najlepiej w jednym wspólnie przyjętym programie, byłaby dla zelowian, zwłaszcza najmłodszej generacji, okazją do prawdziwej lekcji historii, poznania jego nietuzinkowej przeszłości. Nie będzie –program obchodów koncentruje się wyłącznie na 65-leciu uzyskania praw miejskich, przewiduje głównie konkursy plastyczne dla przedszkolaków i fotograficzne dla uczniów szkół podstawowych; wyznaczone miejsca okolicznościowych spotkań z góry ograniczają liczbę zainteresowanych tymi wydarzeniami. Potańcówka w stylu wczesnych lat peerelowskich to nie najgorszy pomysł, szkoda, że jedyny. Niewątpliwie zachęcająco brzmią zapowiedzi spotkań z autorami.

Parafrazując Mikołaja Reja: „Zelowianie nie gęsi, też swój rozum mają" – mam więc mimo wszystko nadzieję, że podobnie jak czescy poprzednicy 220 lat wcześniej tchnęli nowe życie w „laski, piaski i karaski", władze Zelowa z równą energią tchną nadzieję w senny obecnie pejzaż miasteczka.

Nie bądź obojętny!

Nie przypisuję sobie roli sędziego ani nie zamierzam ingerować w życie sennego miasteczka, a co najwyżej odkrywam jego zapomniane dni chwały i tajemnice; pochylam się z niepokojem, refleksyjnie nad upływającą w beznadziei współczesnością „szarego miasta".

Brzmią mi w uszach zdania wyczytane w jednej z publikacji sprzed lat: *Rozrywka? Tu się nic nie dzieje! Nuda!!!* – wykrzyczały dwie dziewczyny spotkane w „Lilipucie"; i pana Zdzisia spotkanego przez reportera w „Zaciszu": *Zwiedziłem już kawał świata, pracowałem na niejednej budowie i dotarłem w końcu do Zelowa. Dla mnie to koniec świata, dziura dechami zabita. Stąd już nie ma ucieczki. Miasto na szarym końcu, jak ostatnia litera w alfabecie, zaczynająca jego nazwę*[150].

W Zelowie już dawno nie ma „Gospody ludowej", nie ma kawiarni o wdzięcznej nazwie „Liliput", nie ma restauracji „Zacisze" ani słynnych swego czasu zabaw „na dechach" opodal strażackiej remizy. Może szkoda? No bo gdzie mają dojść do *głosu przekonania zelowian i kształtować się ma opinia publiczna?* – powtarzam niemal przewrotnie za cytowanym wielokrotnie redaktorem Karolem Badziakiem.

Przytłaczające, że kiedy dziś wychodzi się na miasto po godzinie 18.00, idzie się główną ulicą Kościuszki do Rynku, czyli do centrum, a potem ulicą Sienkiewicza, mijając trzy kościoły i nienaturalnie pochyloną figurę wiadomego papieża – wszystko jest zamknięte. Z wyjątkiem Biedronki (jest czynna do 20.00) i jednego z kościołów. Gdzie wykrzyczeć lub co najmniej wykrztusić swoje osobiste traumy, lęki, niepokoje, ale też nadzieje?

Karol Badziak, znany łódzki dziennikarz z czasów Gierka, często przyjeżdżał do rodzinnego miasteczka; pisał o nim raczej krytycznie, wyznawał z rozpaczą: *[illegible] je nienawidzę* i zaraz dodawał: *ale, jak ja je kocham*. Ten sam problem ma [illegible] Andrzej Dębkowski[151], który w 1995 roku, pisząc o swoich potyczkach z rodzinnym miasteczkiem pod tytułem *Dlaczego nie lubię Zelowa?*, krzyczał pod

---

150 „Głos Robotniczy" nr 244, 10.12.1982.

151 Zelowianin z urodzenia, na co dzień starszy instruktor w zelowskim domu kultury, ceniony poeta, autor książki, fotografuje, od kilkunastu lat redaguje i zapełnia łamy „Gazety Kulturalnej", miesięcznika o uznanej renomie, literat, animator kultury, laureat wielu konkursów literackich, nagradzany przez uznawane instytucje i gremia (po odbiór tych wyróżnień na kilka chwil opuszcza miasto) – jest pierwszoplanową postacią „piekielnego miasteczka", która jak nikt inny sprawuje pieczę nad jego przeszłością. Z własnego wyboru i na przekór trudnościom, z którymi się niekiedy zmaga. Naraża się prominentom. Bez względu na polityczne barwy „trzymających władzę" nie owija problemów w bawełnę, ale z wdziękiem rasowego dyplomaty omija rafy i pokonuje przeszkody. Wielki człowiek – widok poety w wozie ciągnionym przez konie i opowiadającego gromadce dzieci, choć nie tylko, historie zelowskich kamieniczek, kościołów, ulic i ludzi to coś fascynującego i wzruszającego. [illegible] – przez kilkanaście lat zyskał miano kustosza zelowskiej historii. Warty przypomnienia [illegible], o którym nie wszyscy wiedzą, o nadanie jednej z ulic imienia Zygmunta Wysockiego, uczestnika wojny polsko-bolszewickiej, odznaczonego Krzyżem Walecznych, powojennego wójta [illegible] – to pierwszy zelowianin utrwalony w ten sposób. Dzięki Dębkowskiemu.



Andrzej Dębkowski w akcji...

adresem lokalnych władz: *Ludzie! Co wy robicie?* i z rozpaczą wyłuszczał, co go boli. Zaraz potem pisał: *Możesz więc zapytać mnie, drogi Czytelniku, cóż zatem tu robię? A ja na to. Tu się urodziłem, tu żyję i tu zapewne umrę. Tak jak większość z nas.* [...] *Jak można być obojętnym?*[152]

O dwie dekady uprzedził słynny wywód redaktora Mariana Turskiego z „Polityki", choć przy innej okazji, zakończony dramatycznym apelem: *Nie bądźcie obojętni, jeżeli widzicie kłamstwa historyczne. Nie bądźcie obojętni, kiedy widzicie, że przeszłość jest naciągana na poczet aktualnej polityki. Nie bądźcie obojętni, kiedy jakakolwiek mniejszość jest dyskryminowana*[153].

Karol Badziak, Andrzej Dębkowski – teraz ja? Z Zelowa po maturze wyfrunąłem z rodzinnego gniazda; nigdy nie zapomniałem, skąd wyszedłem, wróciłem po latach i poczułem, że jestem u siebie. I zaraz potem zderzenie z historią, z codziennym problemami miasteczka, które nie bardzo poradziło sobie z cywilizacyjnymi przemianami. W swoich książkach odkryłem zelowianom ich zapomnianą przeszłość, jeszcze bardziej zapomnianych bohaterów, ale też mroczne sprawy. Tylko garstka ludzi przyklasnęła moim odkryciom, lokalni prominenci powiedzieli ludziom, co mają myśleć o autorze.

152 *Dlaczego nie lubię Zelowa?*, „Wieści Zelowskie", nr 2/12, 1995.
153 Wypowiedź ze stycznia 2020 r., podczas obchodów 75-lecia wyzwolenia Auschwitz.

[illegible]

11 1995

[illegible]aczego nie lubię Zelowa?

Kiedy dwóch siedzi na koniu,
jeden musi być z tyłu.
SZEKSPIR

[illegible] Małachowski [illegible], że ludzie dzielą się [illegible] i ciekawych, mądrych i [illegible], rzetelnych i mało rzetelnych, [illegible] i antypatycznych, [illegible] i nerwowych. [illegible] ludzie zamiast żyć [illegible], próbują za [illegible] narzucić pozostałym [illegible], swoje racje, [illegible] i w ogóle swoje [illegible].

[illegible] kolejny rok nowej Pol[illegible] odrodzonej, jak mówią [illegible], więc powinno być nieco [illegible] rzeczy niesprawdzone i nie[illegible] odrzucić, tak jak [illegible] przekładle, że nie dwa [illegible]. Ale nic bardziej [illegible]. Nie u nas. Tu pewne sy[illegible], że się powtarzają [illegible], to zdobywają miano [illegible] obowiązujących, [illegible] konsultacji z inny[illegible].

[illegible] w Zelowie można łatwo [illegible], że egzystencja tu jest [illegible] i trudna. A związane [illegible] z historią założenia miasta, [illegible] rodo[illegible], nietolerancją, brakiem [illegible] edukacji. Kiedy [illegible] sobie z niczego [illegible], ludzie ze starszego pokolenia [illegible] o całej niechlubnej [illegible] tego miasta. O Cze[illegible] nie chcieli pozwolić [illegible] kaplicy, o Czechach będących wartownikami w zelowskich obozach pracy w czasie II wojny światowej, o Polakach prześladujących Żydów, o Polakach zajmujących bezprawnie poczeskie ziemie i budynki w czasie bierutowsko - gomułko- wskich czystek. To wszystko naprawdę miało miejsce i to wszystko drzemie głęboko gdzieś w nas. Nikt o tym nie mówi i dusi w swoich bezsensownych i niedostępnych gniazdach nienawiści. Przykładem niech będą tzw. "Tygodnie Ekumeniczne", które spełzły na niczym. Zostały zadeptane różnicą interesów kościelnych hierarchów.

Prawidłowy rozwój społeczeństwa, to dobrze rozwijająca się kultura, oświata, sport. To zrozumienie władz, ludzi, którzy decydują o przyznawanych środkach na te, jakże ważne, dziedziny życia, bez których żaden normalny naród nie może się prawidłowo rozwijać.

Nie wiem, czy zawsze tak było, ale w dzisiejszym świecie ten, kto uprawia sztukę, niekoniecznie musi być artystą. Znane są nawet wypadki, że nie-artysta za artystę uchodzi i dochodzi do wielkich zaszczytów. Ale czy to w ogóle jest najważniejsze? Czy każdy musi nim być? Zresztą nie można ustalić, kto artystą naprawdę jest, a kto się nim tylko wydaje. Często jest nim ten, kto robi rzeczy istotne dla ludzi żyjących gdzieś na odludziu, z dala od wielkiego świata. I to właśnie dzięki niemu sztuka jest jedyną szansą intymnej, między ludźmi, znajomości. Przełamaniem bariery, jaka każdego z nas dzieli od wszystkich innych. Gdyby nie kultura, oświata, bylibyśmy nieodwołalnie już i bez ratunku skazani na totalną samotność. To dzięki temu mamy wspólny świat, nie ten zewnętrzny, który się nie liczy, ale ten jedyny - świat każdego z nas, osobisty.

Mogę wyrazić jedynie swoje osobiste zdanie. Podstawowym obowiązkiem każdej publicznej osoby, szczególnie w trudnych czasach, wobec umęczonego społeczeństwa, jest służenie swoją pracą. Służenie poprzez przekaz prawdziwej świadomości narodowej. Przypomnijmy sobie, jak było w czasie najcięższych dla Polski lat. Dzisiejsza postawa władz przerywa ciągłość kulturową, zadaje gwałt społeczności lokalnej, a w konsekwencji kulturze narodowej.

Rozsądek naszych lokalnych władz powinien polegać dziś na tym, żeby trafnie oceniać sytuację polityczną i społeczną Zelowa i mieć odwagę głośno wypowiedzieć wniosek, który niekoniecznie musi być trafny. Cóż to za rozwój, kiedy na każdym kroku widzi się tylko zachodnich szpiegów i materiały wyjściowe dla obcych wywiadów, a chrześcijanin innego wyznania jest czartem z piekła rodem. Nie wspomnę już o lokalnej prasie, która gdyby była nie wiem jak rzetelna, to i tak nie będzie miała racji bytu, bo gazeta jest w Zelowie niepotrzebna, jak ostatnio zostało stwierdzone. Może nadszedł już czas, żeby zająć się prawdziwymi problemami, z którymi naprawdę boryka się zelowska kultura, oświata i sport. Przecież każdy rozumie, że muszą być miejsca pracy, drogi, woda, kanalizacja. Ale bez kultury, oświaty i sportu ani rusz. Ludzie! Co wy robicie? Przecież to wy kształtujecie przyszłe pokolenia. Lekką ręką zabieracie pieniądze przeznaczone na te, jakże ważne, dziedziny życia. Jak możecie wiedzieć, jakie są potrzeby kulturalne i sportowe? Na palcach jednej ręki można zliczyć, kto z członków rady uczestniczy w imprezach kulturalnych czy sportowych organizowanych w Zelowie.

Jak można przejść obojętnie wobec faktu, kiedy bibliotece miejskiej na książki przeznacza się śmieszne 20 mln zł na cały rok, a wniosek o podwyższenie tej kwoty neguje i próbuje odrzucić blisko połowa radnych? Pewnie, że tak jest łatwiej. Naród głupszy - naród pokorniejszy.

I znowu koniec epoki! Tym razem bolesny, nieprawdopodobny, wstydliwy. Niech się nad tym zastanowią ci, którzy do tego doprowadzają. A zrzucić tym razem nie będzie na kogo.

Możesz więc zapytać mnie, drogi Czytelniku, cóż zatem tu robię? A ja na to. Tu się urodziłem, tu żyję i tutaj zapewne umrę. Tak jak większość z nas.

Andrzej Dębkowski

P.S. Na ostatniej, X sesji, Rada Miejska w Zelowie poczyniła "oszczędności" w budżecie, zabierając ponad 550 mln starych złotych z działów kultura i sport.

[illegible] Ja go kocham!

[illegible]owani, na posadach, beneficjenci przywileju późnego urodzenia, jakby [illegible] innych ważnych spraw: lustrują, szydzą, nie szczędzą epitetów. Urzyg – [illegible] już wcześniej użyte przez Andrzeja.

[illegible] Zelów! Taki, jaki jest, choć chcę, żeby był lepszy, pełen werwy [illegible], kolorowy. I nie zgadzam się ze zdaniem: *żeby było jak najciszej*, jak mówił [illegible] wcześniej pastor (choć akurat w tym przypadku jego uwaga doty[illegible] zelowskich Czechów, których chciał chronić przed potencjalną opresją). [illegible] obawy czeskiej mniejszości i rozumiem niechęć do grzebania w ich [illegible], lękam się niewiadomego, boję się o nich, ale idę własną drogą. Najczę[illegible] pod prąd, czego przykładem jest także ta książka: *Zelów. Zdarzyło się.* Nie [illegible] być cicho, jak chcieliby zelowianie, gdy mowa jest o ich przeszłości [illegible]ności. Będę krzyczał: *Zelów, jak Paryż, wart jest mszy!*[154]

[illegible] za cyniczną wypowiedź Henryka IV, pretendenta do tronu Francji, który ratując przed [illegible]tów, choć przy okazji i koronę, zmienił religijną tożsamość i został katolikiem.

ŹRÓDŁA ILUSTRACJI

s. 11, 17 – rys. Andrzej Kobalczyk
s. 12, 15, 48, 54, 58, 86, 90, 150, 163, 200, 202 – fot. Sławoj Kopka
s. 19 – Wojskowe Biuro Historyczne CAW I. 482-64-5547 (po lewej), z archiwum Bogdana Wysockiego (po prawej)
s. 27, 29 – www.zelandia.pl (dostęp: 2004 r.)
s. 35 – akta gminy Zelów, Archiwów Państwowe Łódź, Sieradz.
s. 40 – karta pocztowa z 1968 r., fot. M. Pietruszka, BW „Ruch" (z archiwum autora)
s. 43 – Dziennik Ustaw, 1957 r.
s. 45, 73, 74, 77, 78, 102, 148, 154, 158, 166, 179, 182 – z archiwum autora
s. 47 – pocztówka z Wystawy Rzemieślniczo-Przemysłowej w Łodzi w 1912 r.
s. 52 – AAN 2/1587/0/7.8/50/904
s. 59, 63, 64 – „Głos Robotniczy" nr 18–30, wrzesień 1957
s. 66 – „Prawo i Życie", 20.09.1957
s. 88, 93, 112, 121 – akta Sądu Okręgowego w Łodzi, sygn. IV 13/58
s. 103, 104, 105 – z archiwum Zbigniewa Gapika
s. 107 – „Głos Robotniczy", 6.11.1957
s. 119 – APŁ, zespół KP PZPR w Łasku, Protokół z Egzekutywy KP PZPR w Łasku z 14.11.1957
s. 140 – „Głos Robotniczy" nr 9–15, styczeń 1958
s. 152, 164 – zbiory Sławoja Kopki
s. 160 – „Informator Zelowski" XII, 2007
s. 185, 204 – z archiwum Domu Kultury w Zelowie
s. 187 – „Informator Zelowski" nr 4/154, 2017
s. 189 – „Newsweek" 6/2018
s. 193 – fot. Andrzej Dębkowski (u góry), fot. Marek Kimmer (pozostałe)
s. 205 – „Wieści Zelowskie" nr 2/12, 1995

BIBLIOGRAFIA

Akta gminy Zelów, zespół 29, 35, APŁ.

Gminna Rada Narodowa w Zelowie (1946–1954), zespół 245, APP.

Rada Narodowa Miasta i Gminy Zelów (1976–1990), nr zespołu 425, APP.

„Informator Zelowski", miesięcznik, 2000–2021, Urząd Miejski w Zelowie.

Sprawozdania Komitetu Gminnego PPR w Zelowie, 1945–1946, APŁ.

„Gazeta Kulturalna", miesięcznik, 2009–2021, Dom Kultury Zelów

Krótki zarys dziejów Zelowa, maszynopis nn autora z 10.10.1945.

Księga Pamiątkowa Światowego Kongresu Potomków Braci Czeskich – 200 lat w Zelowie, Parafia Ewangelicko-Reformowana w Zelowie 2004.

„Przewodnik po Muzeum", Muzeum w Zelowie – Ośrodek Dokumentacji Dziejów Braci Czeskich, Zelów 2006.

Wczoraj, dziś i... Życie, dzieje i teraźniejszość braci czeskich w Zelowie, Muzeum w Zelowie 1998.

„Wieści Zelowskie", miesięcznik gminny, 1995–2000, Dom Kultury Zelów.

*

Ciosek Kazimierz, *75-lecie parafii Matki Boskiej Częstochowskiej 1926–2001*, Parafia MBCz., 2001.

Debich E., Adamus H., Wołdański K., *Młodzież pabianicka w walce z okupantem 1939–1945*, Pabianice 1997.

Giral Jan, Kotewicz Ryszard, Tobjański Zbigniew, *Zarys dziejów Zelowa*, 1987.

Dębkowski Andrzej, *85 lat dla miasta – historia Zelowskiego Klubu Sportowego Włókniarz*, Wydawnictwo Autorskie Andrzej Dębkowski, 2007.

Jadwiszczak Jacek, *Różnorodność religijna, etniczna i kulturowa Zelowa*, 2008.

Klimek Jan, *Polska Organizacja Wojskowa na terenie powiatu łaskiego*, w: „Jednodniówka P.O.W. powiatu łaskiego", Pabianice 1938.

Kriegseisen Wojciech, *Zbór ewangelicko-reformowany w Zelowie w latach 1803–1939. Zarys dziejów*, Warszawa 1994.

Martuszewski Edward, *49 listów z powodu braci czeskich*, WŁ 1971.
Mikołajczak Marek, *Zelów w jubileuszowym roku: 40-lecie nadanie praw miejskich*, UM Zelów 1997.
Niewieczerzał Jarosław, *Wertepy*, Parafia Ewangelicko-Reformowana, Zelów 2003.
Olejnik Leszek, *Społeczność czeska w regionie łódzkim w latach 1945–1957*, Rocznik Łódzki 1997.
Papuga Sławomir, Gramsz Andrzej, *Zelów. Wspólnota nacji, wyzwań i kultur*, Grako 2003.
Papuga Sławomir, *Czeska historia Zelowa*, „Wędrownik" nr IV (370), 2001.
Pospisil Vlastimil, *Powrót do domu ojców*, Zelów 2014.
Rogut Dariusz, Pierwsze lata władzy ludowej w Zelowie (1945–1947), „Gazeta Kulturalna" nr 10 i 11, 2002.
Seidler Barbara, Panowie na Zelowie, „Prawo i Życie" z 20.09.1957.
Stejskał Jarosław, *Skończył się dzień utrapień*, „Gazeta Kulturalna" nr 4–9, 2012.
Štěřikova Edyta, *Zeme otcu*, Praga, 1995, fragm. w tłumaczeniu Wiery Pospiszył.
Tranda Zdzisław, *Zarys dziejów zboru ewangelicko-reformowanego w Zelowie*, „Strażnica Ewangeliczna" nr 17, 1953 i nr 5, 1954; tenże, *180-lecie parafii ewangelicko-reformowanej w Zelowie 1803–1983*, „Jednota" nr 3, 1984.
Tranda Zdzisław, *150-lecie poświęcenia kościoła w Zelowie*, „Jednota" nr 10, 1975.
Wodziński Józef, *Ludwik Danielak. Legenda tej ziemi*, Bełchatów 2007.
Wróblewski Piotr, *Społeczność czeska w Zelowie*, Warszawa 1996.



Zelów – choć to niewielkie, wydawałoby się prowincjonalne miasteczko – potrafi budzić emocje. Ważne dla miasta i jego mieszkańców wydarzenia zainspirowały autora do odkrywania przeszłości tego wyjątkowego miejsca, do poznawania jego historii, skomplikowanych losów społeczności czy tragicznych wydarzeń sprzed lat.

Wielokulturowość i wielowyznaniowość, tworzące obraz najpierw wsi, później osady, a w końcu miasteczka, należą już do przeszłości. Tę odległą historię Sławoj Kopka przywołał w opowieści o zelowskich Czechach, którzy do dziś stanowią największą w środkowej Polsce mniejszość czeską. Autor wspomina też rok 1957, kiedy Zelów zyskał prawa miejskie. W wydarzeniu tym niemałą rolę odegrała delegacja miejscowych notabli u ówczesnego premiera Józefa Cyrankiewicza. Rok 1957 zapadł w pamięci wszystkich zelowian. To wtedy doszło do spektakularnego procesu uznanego za „pierwszą [...] aferę gospodarczą w państwie ludowym". Na ławę oskarżonych trafiło wówczas z zarzutami malwersacji kierownictwo największego lokalnego zakładu. Wkrótce całą społecznością wstrząsnęło inne tragiczne zdarzenie. Bezbronni uczniowie nie byli w stanie obronić się przed okrutnymi ciosami miotającego się w szale kierownika szkoły.

Powrót po latach do tamtych czasów nie jest łatwy. Nasza pamięć zawodzi, a o złych sprawach i ludziach nie chcemy sobie przypominać. Zelów nadal trwa, mieszkańcy zmagają się z codziennością, ale i z nadzieją patrzą w przyszłość. Bo czy inny scenariusz jest możliwy?

Sławoj Kopka – zelowianin obecnie mieszkający w Warszawie, doceniający urok rodzinnego miasteczka. Zafascynowany jego przeszłością i wielokulturowością ukształtowaną przez Czechów, Żydów, Niemców i Polaków. Od lat zainteresowany sprawami miasta. Za osobisty sukces uważa nadanie jednej z ulic imienia pierwszego rodowitego zelowianina, bohatera wojny polsko-bolszewickiej, pierwszego po II wojnie światowej wójta i odważnego strażaka. Autor książek: *Wszyscy się nas boją; Szare miasto; Wizytownik zelowski; Żołnierze komendanta. Chłopcy malowani z Zelowa; Pierwsi zelowscy licealiści.* Ponadto *10 dni, które wstrząsnęły Rakowiecką* i *Trzeba było spalić ich w tej chałupie.*